ROZMOWA Z OŁEKSIJEM ARESTOWYCZEM

Widziałem z bliska hipokryzję Zełenskiego – mówi były doradca Biura Prezydenta Ukrainy



Jaki TVN zastąpi obecny, lewicowy TVN?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 11/671 9–15 MARCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

POLSKA KATASTROFA DEMOGRAFICZNA – WŁADZE MIAST ZAMYKAJĄ ŻŁOBKI I PRZEDSZKOLA



Janusz Korwin-Mikke o tym, jak doszło do wybuchu II Wojny Światowej

ISRAEL FIRST!

Dlaczego prezydent Trump tak wysoko stawia interes swojego sojusznika?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

Partnerzy

IZBA GOSPODARCZA
BLOCKCHAIN I NOWYCH TECHNOLOGII

eprasa.pl 29d687f464

RADA PROGRAMOWA



Łukasz Smółka
Marszałek Województwa Małopolskiego



Anna Maria Anders
Polska polityk, dyplomata, działacz polonijny



prof. Andrzej Nowak
Historyk, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytutu Historii PAN w Warszawie



Íjgyártó István
Ambasador Węgier w Polsce, dyplomata



dr Tibor Gerencsér
Konsul Generalny Węgier w Krakowie, historyk, polonista, dyplomata.



dr Pál Attila Illés
Historyk, dyplomata, wykładowca akademicki



Zbigniew Zborowski
Przedsiębiorca i strateg współpracy gospodarczej Polska–USA



prof. Andrzej Janusz Zybertowicz
Doradca Społeczny Prezydenta RP, socjolog, profesor nauk społecznych



dr Józef Orzeł
Polityk, filozof, ekonomista, publicysta i menedżer



dr Jacek Saryusz-Wolski
Doradca Prezydenta RP ds. Europejskich



Barbara Nowak
Nauczycielka historii, radna Sejmiku Województwa Małopolskiego



Daniel Obajtek
Poseł do P.E. w latach 2018-2024 Prezes Grupy ORLEN



Tomasz Obszański
Doradca Prezydenta RP ds. rolnych; Przewodniczący NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych



dr hab. Robert Stawarz
Prorektor ds. Kształcenia i Rozwoju Uniwersytetu K.E.N w Krakowie



Rafał A. Ziemkiewicz
Pisarz, dziennikarz i konserwatywny influencer polityczny



Michał Maciej Lisiecki
Twórca PMPG Polskie Media S.A., wydawca tygodników „Wprost" oraz „Do Rzeczy"



Paweł Lisicki
Redaktor naczelny i założyciel tygodnika „Do Rzeczy"



Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy"



Karol Gac
Szef portalu DoRzeczy.pl oraz publicysta tygodnika „Do Rzeczy"



dr Miklós Szánthó
Prawnik, Dyrektor Generalny Centre for Fundamental Rights



Sebastian Kęciek
Zastępca Dyrektora w Biurze Polityki Międzynarodowej KPRP, dyplomata, Ambasador RP na Węgrzech w latach 2022–2025



dr Réka Földváryné Kiss
Przewodnicząca Komitetu Pamięci Narodowej w Budapeszcie, historyk



Péter Lőrincze
Współprzewodniczący Konfederacji Węgierskiego Biznesu, ekspert w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych Węgier



Mihály Rosonczy-Kovács
Członek zarządu Fundacji Wacława Felczaka, dyrektor międzynarodowego think tanku Nézőpont Intézet w Budapeszcie



dr Rajmund Fekete
Historyk, dyrektor Węgierskiego Instytutu Badań nad Komunizmem

Partnat medialny: TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · Radio Wnet · Biały Kruk · HSH · Do Rzeczy · wprost

eprasa.pl 29d687f464



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wola mocy Izraela

Na przełomie czerwca i lipca 2025 r., po tzw. wojnie dwunastodniowej, wyglądało to optymistycznie. Stany Zjednoczone dokonały całkowitego unicestwienia irańskiego programu nuklearnego, a Izrael i Iran miały żyć w pokoju. Przypomnę, że w nocy z 21 na 22 czerwca w przemówieniu wygłoszonym w Białym Domu Donald Trump ogłosił niebywały wręcz sukces i zapewniał, że cele irańskie – instalacje, które mogły produkować broń nuklearną – zostały doszczętnie unicestwione.

„Naszym celem było zniszczenie możliwości wzbogacania uranu przez Iran i zatrzymanie zagrożenia nuklearnego ze strony głównego sponsora terroryzmu. Dziś mogę ogłosić światu, że atak był całkowitym sukcesem" – tak mówił z kolei Pete Hegseth, sekretarz obrony (obecnie wojny) USA. Zdaniem Hegsetha Iran został zmiażdżony i państwo to nie ma żadnych możliwości produkcji broni atomowej. „Wielu prezydentów marzyło o zadaniu ostatecznego ciosu irańskiemu programowi nuklearnemu. Nikomu się to nie udało przed prezydentem Trumpem. Operacja, którą zaplanował, była odważna i wspaniała, pokazała światu, że amerykańskie odstraszanie wróciło [...]. Gdy prezydent Trump coś mówi, świat powinien słuchać" – piał w zachwycie.

Prezydent USA tylko mu wtórował. Porozumienie Iranu z Izraelem „będzie trwać wiecznie" – dowodził. Wojna – dodawał – „jest całkowicie zakończona". Według prezydenta Trumpa (uwaga, to Trump sprzed dziewięciu miesięcy) Izrael i Iran nigdy nie będą „do siebie znowu strzelać". Przeciwnie, za sprawą Ameryki oba kraje, to jest Iran i Izrael doświadczą w przyszłości niesamowitej „MIŁOŚCI, POKOJU I DOBROBYTU" (tak w oryginale).

Najwyraźniej wieczność, o której mówił amerykański prezydent, trwała raptem dziewięć miesięcy. W ogóle ktoś, kto chciałby zrozumieć, dlaczego w sobotę rano przed tygodniem USA i Izrael zaatakowały razem Iran, musiałby wymyślić nowy słownik. Dlaczego – ilekroć czy to sam amerykański przywódca, czy też ktoś z jego współpracowników próbuje cokolwiek sensownego powiedzieć – natychmiast wikła się w sprzeczności?

Jedynym wyjściem okazuje się w takiej sytuacji zmiana znaczenia słów. Nie jest to operacja łatwa i żeby ją przeprowadzić, potrzebna jest zmasowana akcja propagandowa. Dlatego nowa wojna, do której dochodzi po erze wiecznego pokoju, staje się starą wojną, a rzucony na kolana i zmiażdżony Iran staje się największym i egzystencjalnym zagrożeniem dla potęgi USA. Ajatollah Chamenei, który jeszcze dziewięć miesięcy temu był partnerem dla zawarcia dziejowego pokoju, stał się przywódcą najbardziej krwawego reżimu w dziejach. Nic tu się nie zgadza i nie klei.

Podobnie nic nie klei się w całej, prowojennej machinie propagandowej. Podawane przez Amerykanów motywy wyskakują jak króliki z cylindra maga: raz chodzi o rzekome zagrożenie bronią atomową, raz o rakiety balistyczne, raz o flotę irańską, rzekomo tak bardzo niebezpieczną. Za nic nie daje się nic spójnego powiedzieć. Jak to zatem zwykle bywa, kiedy nie ma się dobrej odpowiedzi na konkretne pytania, propagandyści odwołują się do abstrakcji. Okazuje się zatem, że USA i Izrael zaatakowały Iran, żeby w ten sposób zadać cios osi zła, czyli Chinom i Rosji. To się nazywa w języku zwolenników wojny „bigger picture". Ale i tu zbudowanie uzasadnienia jest wyzwaniem na miarę Herkulesa. W jaki sposób uwikłanie Ameryki na Bliskim Wschodzie, przeznaczanie coraz większych zasobów na walkę z irańskim reżimem, rosnący rozlewający się na świat chaos, skokowy wzrost cen surowców, których głównym eksporterem jest Rosja, a więc ropy i gazu, ma osłabić Rosję, dalibóg nie pojmuję.

Pojmuję natomiast jedyne szczere i prawdziwe wyznanie amerykańskiego sekretarza stanu, Marca Rubia, który uzasadniając decyzję o ataku, powiedział, że Ameryka nie mogła postąpić inaczej, bo wiedziała, że Iran i tak zostanie zaatakowany przez Izrael, a Iran odpowie na to, atakując USA. No i pięknie. Nikt nie wyraził celniej tej oczywistej prawdy: prawdziwe centrum decyzyjne znalazło się nie w Waszyngtonie, ale w Jerozolimie. Warto zauważyć, że amerykańskiemu politykowi nawet nie przeszło przez myśl, że cała jego argumentacja może być słuszna tylko wtedy, jeśli przyjmie się, że USA nie miały prawa powstrzymać Izraela. Ot, skoro Beniamin Netanjahu zdecydował zadać cios, to USA musiały iść za nim jak cielę za panią matką.

W przeciwieństwie do plączących się w zeznaniach polityków USA premier Izraela (i jego poplecznicy) mają cel jasno zdefiniowany: jest nim całkowita hegemonia Izraela na Bliskim Wschodzie. Dlatego należy wyeliminować potencjalne przeszkody, w tym przypadku Iran. Można to zrobić albo wprowadzając przychylny sobie reżim (nieprawdopodobne), albo rozbijając irańskie państwo (wersja realna). Jak w przypadku każdego polityka, któremu przyświeca jedna tylko maksyma, a więc wola mocy, konsekwencje i możliwe ofiary nie mają znaczenia. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
ISRAEL FIRST!
Dlaczego prezydent Trump tak wysoko stawia interes swojego sojusznika?

18 MICHAŁ KRUPA
MISJA JAREDA KUSHNERA

22 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
POLACY NABIJANI W IRAN

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZARNE SNY TUSKA
Jaki TVN zastąpi obecny, lewicowy TVN?

26 PIOTR SEMKA
POLIN – MUZEUM NA WYŁĄCZNOŚĆ

30 RADOSŁAW WOJTAS
POLSKA KATASTROFA DEMOGRAFICZNA. WŁADZE MIAST ZAMYKAJĄ ŻŁOBKI I PRZEDSZKOLA

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
POD NIEBEM DUBAJU

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
GIGANCI TAŃCZĄ
Wielka fuzja na rynku mediów

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SIENKIEWICZ W DRUGIM OBIEGU

38 MONIKA MAŁKOWSKA
POPYT NA HARPIE

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 ŁUKASZ WARZECHA
BRZYDKA PANNA WCIĄŻ NA WYDANIU
Polska polityka zagraniczna A.D. 2026

47 ARKADIUSZ SIWKO
BROŃ ATOMOWA POLSKĄ RACJĄ STANU

50 FILIP MEMCHES
NA LEWO OD LENINA. SPÓR O RÓŻĘ LUKSEMBURG

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KONIEC NIEMIECKIEJ REWOLUCJI

HISTORIA

56 JANUSZ KORWIN-MIKKE
JAK DOSZŁO DO II WOJNY ŚWIATOWEJ
1922–1941: Kalendarium przyczyn i skutków

ŚWIAT

60 ROZMOWA Z OŁEKSIJEM ARESTOWYCZEM
WIDZIAŁEM Z BLISKA HIPOKRYZJĘ ZEŁENSKIEGO
Możliwy jest rozpad Ukrainy

64 MACIEJ SZYMANOWSKI
FIDESZ ZNÓW MOŻE WYGRAĆ

68 WITOLD REPETOWICZ
WYRZUT SUMIENIA ŚWIATA

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
TARGI PRZYSZŁOŚCI. WERSJA 2.026
Największe przeboje MWC w Barcelonie

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 29d687f464

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Suma oddechów

Szanowna Redakcjo,
jestem właścicielem niewielkiej firmy usługowej. Nie zatrudniam sztabu prawników, działu compliance ani komisarza do spraw różnorodności – mam za to samochód w leasingu, księgową i coraz grubszy segregator z papierami, które – jak się okazuje – produkuję głównie po to, żeby ktoś w urzędzie mógł spać spokojnie.

Kilka dni temu dostałem od biura podatkowego uprzejme przypomnienie, że do 31 marca muszę sporządzić sprawozdanie z ochrony środowiska, ponieważ... używam samochodu. Samochód, jak wiadomo, emituje spaliny. A spaliny – według nowoczesnej filozofii zarządzania światem – wymagają raportu, tabelki i archiwizacji dokumentacji.

Najlepsze jest jednak to, że opłaty nie trzeba wnosić, jeśli wynosi mniej niż 800 zł, a wykazu nie trzeba składać, jeśli wychodzi mniej niż 100 zł. Czyli w praktyce: trzeba sporządzić sprawozdanie, którego nie trzeba składać, aby udowodnić, że nie trzeba płacić. Dokument trzeba jednak przechowywać, bo jego brak może skutkować sankcjami. Innymi słowy – państwo wie, że nic mu się nie należy, ale chce mieć dowód na to, że nic mu się nie należy.

Samo sporządzenie tego dokumentu kosztuje mnie 319 zł netto (jeśli oddam to w ręce mojego biura podatkowego). Nie za emisję spalin – za opisanie emisji spalin. Ostatecznie pewnie zrobię to sam. I tak oto przedsiębiorca w XXI w. nie zajmuje się pracą, usługą ani klientem, tylko liczeniem litrów paliwa, które spalono, aby w tabelce Excel można było zapisać, że spalono paliwo. Podejrzewam, że gdyby średniowieczny chłop musiał płacić za sporządzenie raportu o liczbie oddechów jego wołu roboczego, też uznałby to za pewien postęp cywilizacyjny.

Ale przecież to dopiero początek. W kolejce stoją już kolejne wielkie projekty cywilizacyjne. Wkrótce dowiemy się zapewne, że firma hydrauliczna powinna posiadać strategię neutralności klimatycznej, raport ESG, plan różnorodności płciowej wśród kluczy francuskich oraz harmonogram redukcji śladu węglowego w użyciu młotka. Być może powstanie także obowiązek sporządzania sprawozdania z emisji dwutlenku węgla podczas oddychania przedsiębiorcy w biurze – oczywiście z możliwością niewnoszenia opłaty, jeśli suma oddechów nie przekroczy limitu rocznego. Nie zapominajmy również o parytetach. [...]

Przedsiębiorca w Europie coraz bardziej przypomina księgowego własnej egzystencji gospodarczej – prowadzi dokumentację wszystkiego, co zrobił, zanim jeszcze zdąży cokolwiek zrobić. Jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo największym sektorem gospodarki w Europie nie będzie przemysł, handel ani usługi, lecz... wypełnianie formularzy.

Z wyrazami szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Łagodna tresura

Szanowni Państwo,
klasyczna teza filozofii politycznej: prawica rozumie naturę ludzką, lewica chce ją zmieniać, sprawdza się na naszych oczach.

Wygląda na to, że tradycyjni komuniści, jak również naziści, byli idealistami, skoro naiwnie wierzyli, że dekretem da się wprowadzić zmiany z dnia na dzień. Jak wymyślili, tak zrobili, a następnie każdego, kto nie rozumiał rewolucyjnej idei, zwyczajnie mordowali lub zamykali w łagrze.

Obecni reformatorzy, nazywani dla niepoznaki neoliberałami, będąc mistrzami inżynierii społecznej, podchodzą do sprawy dużo bardziej perfidnie: pod różnymi pretekstami powoli, acz skutecznie, tresują ludzki umysł, po czym wtłaczają w niego najdzikse nonsensy, podlane sosem z Netflixa. Zaczęło się od energooszczędnych żarówek, a skończyło na absurdalnym twierdzeniu, że ze związku homoseksualnego może urodzić się dziecko. Normalnie „koń by się uśmiał", gdyby nie strach przed sankcją z mowy nienawiści oraz zatrważający procent Polaków popierających adopcję dzieci przez homoseksualistów.

Trzeba dysponować niezwykłym hartem ducha, by się temu nie poddać.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełmiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jim Watson/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl 29d687f464



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Make love, not war?

Gdy pół roku temu, z pewnym przymrużeniem oka, zapytałem, czy Konfederacja Grzegorza Brauna podejmie tradycje antywojennych marszów generacji 1968 r. z pacyfami na sztandarach, reakcją wielu osób w sieci było oburzenie. Jak to? Braun i tradycja pacyfistyczna? Co za absurd! Jednak od tego czasu kolejne marsze pod hasłem „Polska za pokojem" weszły do stałej praktyki Konfederacji Korony Polskiej.

Piszę te słowa kilka dni przed niedzielą 8 marca, na który to dzień Korona zapowiedziała swój wielki marsz pokojowy w centrum Warszawy. Na zachęcającym do udziału w marszu filmie Karolina Pikuła, która przedstawia się na swoim profilu jako „przewodnicząca Korony Rzeszów", mówi: „Nie można się bać powiedzieć czegoś, co jest po prostu głosem rozsądku, czyli Polska za pokojem. Spotkajmy się w Warszawie [...], by jeszcze raz zamanifestować swoje przywiązanie do normalności i by głośno wybrzmiało, że Polska chce być orędownikiem pokoju w Polsce, na Ukrainie i na świecie".

Hasła o pokoju zawsze brzmią dobrze, ale Korona i jej lider bardzo rzadko rozwijają ten temat. Bo bez ustalenia, jak zakończyć np. wojnę na Ukrainie, powtarzanie sloganów o „przywiązaniu do normalności" niewiele daje.

Jak zakończyć wojnę na Ukrainie? Jakie siły mają nadzorować zawieszenie broni na linii frontu, jeśli konflikt zostanie zamrożony? Czy w skład takich sił „białych hełmów" mają wchodzić także polscy żołnierze? Czy zdaniem Korony obecność amerykańskich garnizonów na terenie Polski to element umocnienia pokoju czy nie? Grzegorz Braun nie wypowiada się w tej sprawie jasno. Ale sądząc po jego ostatnich deklaracjach typu: „Teheran – Warszawa wspólna sprawa", postrzega on Amerykę jako zagrożenie dla pokoju, przynajmniej w wypadku konfliktu z Iranem. A w naszej części Europy?

Braun do perfekcji opanował sztukę wygłaszania efektownych przemówień z chwytliwymi hasłami odwołującymi się do emocji i zapadającymi w pamięć. Takie jest np. braunowe hasło: „Jeśli Polska pójdzie na wojnę, to nie wróci w jednym kawałku". Nikt nie lubi nie być „w jednym kawałku". Ale co zrobić, gdy zostanie zaatakowany? Jak ma uniknąć takiego ataku? Rozbroić się? Już chcą tego niektórzy rosyjscy politycy, głoszący, że polskie zbrojenia stanowią niebezpieczeństwo dla Rosji.

Bartosz Kopczyński, wyrazista postać „frontu gaśnicowego", od dłuższego czasu nie mówi na Amerykę inaczej jak USrael. Skoro według zwolenników Korony USA jest zagrożeniem dla pokoju – to czy dalszy alians Polski z Ameryką jest dla nas zagrożeniem pokoju? Ale jeśli odwrócimy się do Trumpa plecami, na kogo możemy liczyć w obronie naszego kraju? Na Unię Europejską, która potrzebowała aż czterech dni, aby odnieść się do ataku na Iran, bo był weekend?

Łatwo mówić ogólnikowo o pokoju, trudniej wyjaśnić, jak konkretnie budować swoje bezpieczeństwo. Grzegorz Braun woli używać idealistycznych haseł: „Polska za pokojem". Wygodne to, ale niewiele wyjaśnia. ©℗



FOT. NBP

OBNIŻKA STÓP PROCENTOWYCH

Wojna na Bliskim Wschodzie nie wystraszyła członków Rady Polityki Pieniężnej (RPP). Pomimo chaosu na globalnych rynkach i ostrego osłabienia złotego RPP skupiła się na krajowych danych i postanowiła w ubiegłym tygodniu obniżyć stopy procentowe o 0,25 p.p. do 3,75 proc. Pierwsza w 2026 r. obniżka stóp to dobra wiadomość dla kredytobiorców – powinni wkrótce płacić niższe raty – i zła dla oszczędzających w bankach. ©℗

SKOKOWY WZROST CEN ROPY I GAZU

Ekonomiczne konsekwencje amerykańsko-izraelskiej inwazji na Iran są coraz bardziej odczuwalne w Polsce. Gwałtowny wzrost cen ropy naftowej na światowych rynkach sprawił, że na niektórych stacjach benzyna 95 kosztowała w ubiegłym tygodniu niemal 7 zł za litr, a cena diesla zbliżała się do 8 zł za litr. W ciągu tygodnia mocno wzrosły też w Europie ceny gazu ziemnego. Według analityków nowa wojna może doprowadzić do najpoważniejszego wstrząsu na rynkach gazu od inwazji Rosji na Ukrainę. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zero jak złoto

Proponuję każdemu, kto się zgodzi, taki interes: dam ci kasę na remont mieszkania. Ogromną kasę za nic. Skąd wezmę? Jeśli musisz wiedzieć, to pożyczę w banku na twoją hipotekę. Ale się nie martw, bo rozłożę spłaty na wiele lat, wystarczająco wiele, żebyś mógł na razie się cieszyć, że pieniądze z nieba spadły, odsetkami i ratami będziesz się martwić kiedyś tam. Aha, jest jeden tylko warunek: wydasz te pieniądze wyłącznie na materiały i narzędzia ze wskazanych przeze mnie sklepów. W przeciwnym razie i w ogóle, gdybyś mi w jakikolwiek sposób podskakiwał, pieniędzy z pożyczki ci nie przekażę. Ale oczywiście spłacać ją będziesz nadal.

Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek zgodził się przyjąć taki „podarunek", gdyby zaproponować mu go prywatnie. Ale gdy sprawa dotyczy państwa polskiego – sondaże pokazały coś wręcz przeciwnego. Dają kasę, to brać! Spłaci kto inny! Można się na to zżymać, ale kto zna mental Polaków – a Tusk ma do tego sztab specjalistów – mógł taki efekt przewidzieć. W ten sposób SAFE, podarunek od Unii Europejskiej, tak właśnie jak powyżej skonstruowany, stać się miał „pułapką na Nawrockiego". Jeśli prezydent podpisze, to zostanie złamana cała jego narracja i tożsamość, jeśli nie podpisze – to się poszczuje na niego tłuszczę oburzoną, że takie „pinięgze" nam Europa dawała, a ten, frajer, zawetował, pewnie na złość.

Zaproponowany przez prezydenta z pomocą prezesa NBP program „polski SAFE zero procent" zaskoczył. Rozbija skutecznie rządową narrację, bo w świecie prymitywnych odruchów, do których odwołał się świadomie Tusk, oferuje „kasę" jeszcze bardziej za nic niż europejski kredyt. Czy to dobre merytorycznie – nie wiem, nie jestem finansistą. Nie ma to znaczenia, bo nie merytoryka się tu liczy, tylko owe słowa z języka reklam: „za zero" i „złoto".

Oczywiście cieszę się, że szwindel z SAFE, który wydawał się eurokratom jakimś „podwójnym nelsonem", został skutecznie rozbrojony. Tylko trochę żal, że PR, pic i propaganda zasłaniają realne problemy. Ale cóż… ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Abraham i algorytmy

W tle napaści Izraela i USA na Iran toczy się spór Departamentu Wojny z dostawcą technologii sztucznej inteligencji. Na długo przed atakiem firma Anthropic wycofała zgodę na wykorzystanie jej narzędzi do prowadzenia całkowicie autonomicznych działań wojennych. Tymczasem Centralne Dowództwo na Bliskim Wschodzie, zanim wdroży nowy system od Open AI, teraz, przy użyciu narzędzi Claude AI firmy Anthropic, prowadzi ocenę danych wywiadowczych, identyfikację celów i symulację scenariuszy bitewnych.

Według „The New York Times" szkoła podstawowa, gdzie w ataku rakiety zginęło 160 osób, mogła być takim celem. Tragedii rodzin, które w ostrzale straciły dzieci, nie umniejsza to, czy rakietę naprowadzał algorytm czy człowiek. Pentagon zaprzeczył, że brał udział w bombardowaniu, a Marco Rubio oświadczył, że USA nie zaatakowałyby celowo szkoły. Wojna jest akceleratorem rozwoju nowych technologii, a szybkość, z jaką AI wdarła się w nasze życie, wyprzedzając polityków i legislatorów, przyprawia o zawrót głowy. Nie jesteśmy przygotowani na to, co nadchodzi, i nie ma śmiałka, który zapewni, że potrafimy rozwój AI kontrolować. W tej wojnie ujawnia się szczególny paradoks – zderzenie technologii przyszłości i starożytnego tekstu Biblii.

W jednym z wywiadów ambasador USA w Izraelu, pastor Mike Huckabee, przywołując Księgę Rodzaju, opisał aspiracje i cele terytorialne Izraela jako ziemię obiecaną przez Boga – od Nilu po Eufrat. Wygląda na to, że Izrael, wspierany herezją chrześcijańskich syjonistów z USA, moralną rację do prowadzenia wojny czerpie z historii Abrahama. Jest jednak istotna różnica. AI zabiera nas w nieznane, gdzie znaczne obszary życia przekazujemy robotom w czarnych skrzynkach, kontrolowanym przez grupkę technologicznych oligarchów. Abraham wyruszył w nieznane, pokładając całkowitą ufność w Bogu. ©℗

eprasa.pl 29d687f464

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Plaskacz roku



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ja wiem, że dopiero marzec, a ja tu z kandydaturą „Plaskacza Roku", ale po pierwsze czas szybko płynie, a po drugie plaskacz (zwany też liściem lub przez starowinki policzkiem) był sążnisty, mięsisty oraz echo, echo... Stop. Na cudzym koniku postanowił pohasać Tusk i napisał na X: „Podjąłem decyzję o wykorzystaniu samolotów będących w dyspozycji Sił Zbrojnych do wsparcia ewakuacji Polaków z Bliskiego Wschodu. Odpowiedni wniosek w tej sprawie trafił już do prezydenta". Stop. Z konika oratorskim plaskaczem strącił go Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta Nawrockiego: „Panie Premierze. Użycie Sił Zbrojnych RP do ewakuacji polskich obywateli z państw niebędących członkami UE i NATO odbywa się WYŁĄCZNIE na mocy postanowienia Prezydenta RP. Rolą Premiera jest WYŁĄCZNIE sformułowanie wniosku do Prezydenta RP, Zwierzchnika Sił Zbrojnych". Stop. Proszę o chwilę ciszy... O! Echo dalej plaskacza niesie!

Po tym, jak rząd przez kilka pierwszych dni po ataku na Irak nie zrobił nic dla Polaków, którzy utknęli w niebezpiecznym rejonie Zatoki Perskiej, usłyszeliśmy mnóstwo głosów ludzi, którym udało się mimo wszystko wrócić do Polski. Stop. Brutalnie krytykowali Tuska i Sikorskiego. Stop. W pamięci utkwił mi komentarz jednego z anonimowych internautów, którego niestety nie zrozumiałem, może państwo mi pomogą? Stop. Brzmiał: „A dlaczego Tusk miałby coś robić dla Polaków?".

Wojciecha Sadurskiego, znanego antypisowskiego hejtera, który namawiał wprost do łamania prawa (przypomnijmy choćby wywiad z nim „Nieprzekraczanie przepisów konstytucji doprowadzi do tragedii"), ekipa Tuska, Sikorskiego i Żurka ulokowała w Komisji Weneckiej. Stop. To o tyle ważne, że praktycznie obala mit, że jak się leży, to nie można upaść.

Oj, wrzucę państwu informację nieświeżą, ale ważką, którą teraz podzielono się ze mną, dlatego dla mnie jest świeża i odkrywcza. Stop. Geniusz rządowy w randze wiceministra klimatu i ochrony środowiska o nazwisku Zielińska Urszula wlała optymizm w serca Polaków potencjałem. Stop. Cytuję dokładnie jej słowa: „Polska to kraj o największym dzisiaj potencjale dla rozwoju branży odnawialnych źródeł energii. Zwłaszcza dla rozwoju wiatru czy to lądowego, czy morskiego na polskim Bałtyku". Sprawa jest prosta: wiatraki trzeba montować między uszami pani Uli, wiatr hula tam z całą mocą. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PANI CZUPIRADŁO

Restauratorka i gwiazda TVN Magda Gessler w jednym z ostatnich wywiadów zasugerowała, że zaangażowanie Dody w akcję na rzecz psów miało przede wszystkim wymiar PR-owski – Rabczewska miała chcieć przykryć ciemniejsze karty swojego życia działalnością dobroczynną. Te słowa mocno wkurzyły piosenkarkę, która stwierdziła, że Gessler „wszędzie upatruje biznes, jeżeli zacznie coś robić za darmo dla kogoś, nawet właśnie dla psów". – Nie mówię, że 1,5 miesiąca, tak jak ja, dzień w dzień, rzucając wszystkie swoje sprawy zawodowe, pracę, przyjaciół, chociaż ze dwa–trzy dni – to dopiero będzie miała mandat do tego, żeby się tak obrzydliwie wypowiadać. A póki co jest wrednym czupiradłem – skomentowała. Do wojenki blond celebrytek odniósł się piosenkarz Ralph Kaminski podczas gali Bestsellerów Empiku. Zapytany przez dziennikarza portalu Kozaczek.pl o swoje zdanie na temat konfliktu przyznał, że niedawno odwiedził restaurację Gessler U Fukiera. – Byłem w zeszły weekend w restauracji U Fukiera i tak zażartowałem do kelnera: „Czy pani czupiradło jest tutaj dzisiaj?". Myślę, że to jest śmieszne, ale to są takie dramy, że za miesiąc nie będziemy o tym pamiętać. Jest głośno i o to chodzi – podsumował Kaminski. Petycja do stacji TVN – może zmieńcie nazwę programu Gessler na „Kuchenne rewolucje pani czupiradło"? Skoro i tak właściciel będzie nowy, to okno możliwości jest.



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

CIĘŻKA ROBOTA

A w TVN się dzieje. Na razie nie chodzi jednak o wielkie prawicowe zmiany. Julia Wieniawa, która zasiada w fotelu jurorki w programie „Mam talent!", przyznała, że ocenianie uczestników wymaga od niej pełnej koncentracji przez wiele godzin. Castingi trwają nawet 13 godzin, a gwiazda musi być przez cały ten czas w najwyższej formie. – Bycie jurorem np. jest oczywiście ogromną nobilitacją i czymś absolutnie wyjątkowym. Mało kto może być jurorem w czymkolwiek w swoim życiu, więc cieszę się, że dostałam taką szansę. Jest to ogromna odpowiedzialność i nie ukrywam, że jest to taka najtrudniejsza dla mnie fizycznie i umysłowo praca, jaką mam [...]. Szczególnie castingi, one trwają po 12–13 godzin, czasem nawet dłużej. I trzeba być bardzo skupionym tu i teraz na każdym uczestniku, trzeba dać szacunek każdemu z nich. A nawet jak już jesteśmy zmęczeni, trzeba po prostu to przejść i tak jak mówię, dać każdemu tyle samo uwagi – powiedziała w wywiadzie dla „Dzień dobry TVN". Julka dodaje, że dodatkową trudnością jest nieprzewidywalność programu, która wymusza spontaniczne i jednocześnie przemyślane reakcje. – U nas nie ma czegoś takiego jak scenariusz [...]. Wszystko jest dla nas totalnym spontanem. I też nasze wypowiedzi, budowanie tych wypowiedzi, żeby one były konstruktywne. To wszystko się dzieje podczas tych dwóch minut występu każdego uczestnika, więc to jest naprawdę w sumie ciężka praca – podsumowała. Górnicy, murarze, operatorzy wózków widłowych słyszą?

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Skoro o trudach... Dorota Szelągowska, córka znanej pisarki Katarzyny Grocholi, zapewniła, że jej dzieciństwo nie było usłane różami. – Ja jej naprawdę wszystko zawdzięczam – mówiła. – Przede wszystkim życie. I to, kim jestem, jak wyglądam, i to, że mam zgrabne nogi. Ale też pierwsze większe pieniądze i pierwsze mieszkanie. A wcześniej bardzo trudną historię, ale bardzo ważną i dobrą w tym wszystkim. Pochodzę z rodziny, w której totalnie nie było kasy. Wiem, co to znaczy iść kawał drogi do szkoły przez zaspy śniegu przy minus 15 stopniach. Wiem, co to znaczy nie mieć nic w lodówce, a pierwsze pensje oddawać mamie, żeby pomóc w domu – opowiedziała. Dziś jej życie wygląda zupełnie inaczej. – Spotkało mnie niesamowite szczęście, że dzisiaj jestem tu, gdzie jestem – tłumaczy Szelągowska, prezenterka TV kojarzona głównie z programami o urządzaniu wnętrz. – Pewnie, że ciężko pracowałam na to, co mam, ale to nie wystarczy. To przecież szczęście, że na swojej drodze spotkałam takie, a nie inne osoby. Że byłam w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Na wiele rzeczy zapracowałam, a wiele po prostu mi się udało i nie ma w tym nic złego. Żeby wygrać na loterii, też trzeba kupić los. A reszta to szczęście, rachunek prawdopodobieństwa, przeznaczenie? Zależy, w co kto wierzy – ocenia. Dorota Szelągowska odniosła się do oskarżeń o nepotyzm. – Nie będę się wypierać mamy i narzekać, jak jest ciężko być dzieckiem znanego rodzica. Co prawda, moja mama zaczęła być znana, jak już byłam dorosła i pracowałam w telewizji, ale żyjemy w czasach, kiedy oskarżamy się nawzajem o nepotyzm i nie lubimy, jak się komuś coś udaje. I tracimy przyjaciół, gdy odnosimy sukces – zakończyła gorzko. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z zainteresowaniem i zatroskaniem śledzimy losy różnych polskich influencerów, którzy utknęli na Bliskim Wschodzie, iż nie czytają mediów, nie byli zorientowani w planach Trumpa i potem mieli problem, a zawistne janusze oczywiście się ucieszyły, że komuś jest gorzej niż im, choć to sprawa dyskusyjna, czy gorzej utknąć w hotelu w Dubaju czy w fabryce snopowiązałek pod Kielcami na minimalnej. Tymczasem kaman – w planach Trumpa pewnie do końca nie był zorientowany sam Trump.

Kiedy tak obserwujemy, jak ten polski motłoch rzucił się na osoby influencerskie, widzimy stadium rosnącej nienawiści i nie możemy pozostać obojętni. Pamiętacie pewnie ten słynny wiersz, parafrazując: Kiedy przyszli po influencerów nie protestowałem/am, nie byłem/am influencerem/ką/osobą influencerską.

Otósh my of kors jesteśmy influencerami, jeszcze nie na tyle dużymi, iżby ubieganie się o złotą wizę w Dubaju wchodziło w grę, ale pamiętamy, iż bieda to stan umysłu, a my każdego wieczora afirmujemy sobie tę wizę i rezydencję podatkową gdzieś na karaibskich wyspach (ale samą ideę wysokich podatków ofc popieramy).

Dlatego też musimy zabrać głos i zaprotestować przeciwko dyskredytowaniu osób influencerskich w przestrzeni publicznej. Domagamy się wpisania influencerstwa na listę zawodów zaufania publicznego, iż bez nich wiele osób nie wiedziałoby, co ma myśleć, co kupować, co czytać i jakie mieć zdanie na wiele różnych tematów – od kultury, przez geopolitykę, po newsy z życia osób gwiazdorskich.

Nie ma też absolutnie co szydzić ze słów, iż ktoś nie śledzi mediów, bo przecież teraz nikt nie śledzi gazet, tylko ogląda się rolki influencerów, a jedne



osoby influencerskie korzystają z innych osób influencerskich jako źródła wiedzy i tak nawzajem od siebie chłoną. Stąd też absolutnie o to nie mielibyśmy pretensji i nie zgadzamy się z krytyką, a najgłośniej o tym wrzeszczą wąsate janusze, które media co prawda śledzą i może wiedzą, iż Irak i Iran to nie to samo, że jest gdzieś wojna, iż istnieje coś takiego jak Oman i nie ma to związku z narkotykami, ale tak naprawdę, to co im z tego, skoro wiedzą to wszystko gdzieś pod Tarnowem, Zamościem czy Krosnem xD.

Co prawda, nie oglądaliśmy całego wywiadu Rafała Trzaskowskiego dla Żurnalisty, ale widzieliśmy sporo prawicowego szyderstwa na X (dawniej Twitter), co tylko nas utwierdziło w przekonaniu, iż skoro jest takie wycie, to Rafał wyszedł znakomicie.

Aby zweryfikować pozytywnie tę intuicyjną myśl, obejrzeliśmy sporo rolek głównie z tymi „bekowymi" dla prawactwa fragmentami i musimy przyznać, iż Rafał wypadł nawet lepiej, niż się spodziewaliśmy, iż nie dość jak zawsze – z charyzmą, polotem i dowcipem, to jeszcze teraz z taką prawdziwą energią i mocą, która aż udzieliła się nam siedzącym w tramwaju ze smartfonem.

To już nie był tylko vibe kampanijnego Rafała opowiadającego o swoich przygodach z rekinami, to był Rafał pewny siebie i kiedy mówi, iż mógłby wyprowadzać celne kontry w mediach społecznościowych i być cztery razy bardziej błyskotliwy, to my mu po prostu wierzymy i bardzo chcielibyśmy to zobaczyć.

Bo wiecie, jedni mają argument siły, a inni siłę argumentów. A naszym zdaniem Rafał te wybory Nawrockiemu po prostu pozwolił wygrać, iżby się nie szarpać z sami wiecie kim. O ile of kors ten drugi naprawdę je wygrał, bo głosy chyba nadal nie zostały dokładnie policzone… ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Ślepy los

Mariusz, chodź no tutaj.
Zamieszaj w tym słoiku i wyciągnij los jako sierotka.
A co to jest, Jarku? Mogę coś wygrać?

Ty to akurat nie, bo ciebie tam w końcu jednak nie wpisałem.
Ale ktoś może: to jest losowanie kandydata na premiera.
A czemu mnie tam nie ma?

Bo ty mi jesteś potrzebny tutaj.
A to ostatecznie zdajemy się na ślepy los?

Jasne. Przecież to i tak nie ma znaczenia, kto tam wyjdzie.
Ja nawet swojego kuzyna tam wsadziłem.
Ciemny lud to kupi, a potem zrobimy oczywiście całkiem inaczej. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ciemnota go wybrała, ciemnota popiera, ciemnota kupi i ten najnowszy bullshit".

TOMASZ LIS, *publicysta, na X o złożeniu przez prezydenta Karola Nawrockiego propozycji alternatywy dla SAFE*

eprasa.pl 29d687f464

dwaj panowie g

W tym tygodniu nasi czytelnicy są w o wiele lepszej sytuacji od nas, gdyż wiedzą już, kogo szeregowy poseł Jarosław Kaczyński ogłosił w sobotę kandydatem na premiera. My swoje przecieki opublikowaliśmy w zeszłym tygodniu: że na pole position trafił Lucjusz Nadbereżny. Ale oczywiście możemy dodać, że w ostatnich dniach przed ogłoszeniem bardzo mocno o swoją pozycję walczył Przemysław Czarnek. A jak wyjdzie? Nie mamy wątpliwości: jak zawsze.

Zabawna (choć w sumie i smutna) historia: kiedy rozpytywaliśmy tu i ówdzie w PiS o rozmaite rzeczy w związku z prezentacją, zadziwiająco liczna okazała się frakcja osobników przekonanych, że nie ma się co ekscytować, bo i tak nie ma to znaczenia. Przyznajemy, takich nastrojów w partii nie pamiętamy od czasu przegranych wyborów w 2011 r.

I dodatkowa ciekawostka: na finiszu pojawiło się w bębnie maszyny losującej jeszcze jedno nazwisko: „Paweł Szefernaker". Uznano jednak podobno, że potrzebna jest jakość jeszcze bardziej nowa od nowej jakości Szefernakera.

Skoro nowy kandydat na kandydata, to może i nowe hasło? Najlepszymi nowymi hasłami są stare hasła, dlatego przypomniało nam się hasło dawnej premier Bełaty Szydło: „Wystarczy nie kraść". Chcieliśmy zadedykować je oczywiście obecnej kołalicji rządowej, ale nie możemy ze względów procesowych. Więc nie dedykujemy. Ale możemy je skrócić: „Wystarczy nie kr…". Oczywiście chodzi nam o kredytowanie. A skoro kredytowanie, to piszemy o tym w kontekście niespodziewanego ruchu prezydenta Karola Tadeusza oraz prezesa NBP – żeby zamiast kasy z programu SAFE wziąć na zbrojenia forsę z NBP na zero procent.

Złośliwi pismacy już wywąchali, że takie rozwiązanie zaproponował kiedyś m.in. trzeci co do wielkości największy polski geniusz ekonomiczny, czyli Grzegorz Kołodko. On już dwa lata temu mówił, żeby zamiast zadłużać państwo, brać forsę na broń z NBP.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Oczywiście w obecnych czasach oznacza to, że nie wie, co mówi. Aha, gdyby ktoś ciekawski pytał o tych pozostałych polskich geniuszy ekonomicznych. Numer dwa to Balcerowicz. A numer jeden? To chyba oczywiste – Morawiecki.

W MSZ bardzo ważna zmiana. Nowym dyrektorem generalnym została była wiceminister Henryka Mościcka-Dendys. Brzmi jak spadek do niższej ligi. Ale nic z tych rzeczy. Dyrektor generalny, szczególnie w resorcie dyplomacji, to drugi po Bogu. Wiceministrowie mogą tylko o takiej władzy pomarzyć. Przede wszystkim daje panowanie nad wielką karuzelą kadrową, która w MSZ zawsze kręci się jak szalona. Uważamy, że nowa obsada tego stanowiska w dyplomacji to akurat dobra zmiana. Więcej nie napiszemy, żeby pani dyrektor nie zaszkodzić.

Natomiast poprzednik pani Henryki na stanowisku, czyli Rafał Wiśniewski (nie mylić z tym Rafałem Wiśniewskim, który kiedyś był w NCK), szykuje się, by zostać kierplacem w Londynie. O stanowisku pełnego ambasadora marzyć nie może. Podobnie jak Klich czy Schnepf. Chociaż akurat Wiśniewski z innych niż oni względów. Chodzi o tzw. pamięć instytucjonalną Pałacu Prezydenckiego, w której bardzo mocno zapisane jest, że to właśnie Wiśniewski po powrocie sikorek do władzy przeprowadzał rzeź pełnoprawnych ambasadorów.

Co ciekawe, Wiśnia, bo tak nazywany jest w gmachu MSZ, będzie przełożonym swojej żony. Chociaż formalnie na pagonach będą mieli tę samą rangę: kierownika placówki. Jednak pani Wisienka będzie w Londynie urzędowała na innej placówce, a mianowicie ma szefować tamtejszemu Instytutowi Polskiemu. Ten zaś formalnie podlega ambasadzie.

Natomiast słyszeliśmy, że oddala się wyjazd Pawła Wrońskiego na ambasadora czy raczej kierplaca w Sofii. Złe języki mówią, że Radek stracił do niego sympatię, a w dodatku chłop nie zna bułgarskiego. I w innych lengłydżach też nie jest orłem. Tak czy inaczej, etat w MSZ sobie wychodził, co oznacza, że raczej się doczłapie do ochrony emerytalnej. Nie żałujemy mu, widząc, jak matka Agora traktuje Czuchnowskiego.

Były szef Agencji Wywiadu płk Piotr Krawczyk to żywe potwierdzenie teorii, że nieszczęścia chodzą parami. Ledwo wyleczył się po wypadku na rowerze, udał się na narty. Niestety, skończyło się podobnie jak z rowerem. Facet połamał się, napotkawszy muldy na swej drodze. Dobrze, że tylko muldy. Przed laty zaliczył bowiem wypadek, którego sprawcą był kierowca ciężarówki narodowości białoruskiej, który potem rozpłynął się w powietrzu. Na komisji śledczej niektórzy zastanawiali się, skąd blizny na głowie Krawczyka. Właśnie stąd. Nie wiemy natomiast, jakiej narodowości były muldy. Jak tak dalej pójdzie, to Krawczyk będzie mógł sobie nucić fragment słynnego songu Stachury: „cały zbudowany jestem z ran".

Mamy obawę, że pokiereszowany jest też Rafcio Trzaskowski, ale nie są to blizny fizyczne, lecz mentalne. Zastanawia nas bowiem jego nietypowe podejście do języka polskiego. W wywiadzie u Żurnalisty opisując szok przegranej w noc wyborczą, uparcie używał konstrukcji nieznanych językowi polskiemu. Na przykład „dostałem między zęby" albo „uderzenie prosto w czoło". Informujemy, że istnieją natomiast frazeologizmy „dostać w zęby" oraz „trafić prosto między oczy". Od ucznia Bronisława Geremka oraz Edgara Morina wymagamy jednak więcej. ©℗

eprasa.pl 29d687f464

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 29d687f464



Israel first!



Wojciech Golonka

Zbyt wiele okoliczności i ich chronologiczny zbieg w ostatnich miesiącach zbyt wyraźnie wskazują na żydowskie oraz syjonistyczne motywy polityki zagranicznej Donalda Trumpa na Bliskim Wschodzie, by nie spuentować, że w relacjach USA – Izrael to ogon merda psem, wyznaczając politykę amerykańskiego imperium

Wraz ze wznowieniem przez Donalda Trumpa wojny amerykańsko-żydowsko-perskiej, zamrożonej od 24 czerwca 2025 r., świat medialny i mediów społecznościowych zalał potok spekulacji co do powodów i celów oraz perspektyw i konsekwencji, które niesie ze sobą ten brutalny konflikt. Z pewnością perspektywa czasu, dystans emocjonalny i ustanie propagandy – kiedy po obu stronach opadnie już pył z gruzów, rany zabliźnią się, a łzy po zabitych zostaną otarte – umożliwią wydawanie pewniejszych osądów. Niemniej już teraz można i niestety należy wskazać te istotne okoliczności, nie tylko jako istotny temat z domeny stosunków międzynarodowych, lecz także w ramach uwarunkowań określających nasze specyficzne, polskie położenie.

Polska bowiem nie okazała się w tej wojnie w ogóle postronna. Jeśli prezydent Rzeczypospolitej i minister obrony narodowej już na samym początku wojny składają stronie amerykańskiej publiczne kondolencje z powodu śmierci trzech żołnierzy, którzy zginęli w ramach irańskiej

eprasa.pl 29d687f464



Premier Izraela Beniamin Netanjahu (z prawej) buńczucznie deklarował w pierwszych dniach wojny, że Ameryka ze swoim jedynym w swoim rodzaju prezydentem Donaldem Trumpem zdołała ziścić 40-letnie marzenia Izraela

FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

reakcji na zabójstwo przywódcy Iranu, to oznacza to, że z punktu widzenia militarnego jesteśmy do cna wasalem Ameryki, a ich deklaracje mają głęboki sens polityczny. Ameryka zaś dokonuje na chwilę obecną kolosalnej interwencji zbrojnej, a przede wszystkim politycznych egzekucji bez jakiegokolwiek mandatu, nawet ze strony amerykańskiego Kongresu, wbrew wyborczym i powyborczym deklaracjom prezydenta Donalda Trumpa.

Innymi słowy: w praktyce władze Rzeczypospolitej przyklaskują amerykańskiej wojnie przeciw Iranowi, tak jakby ta wojna napastnicza, skądinąd stygmatyzowana jako taka przez polski porządek prawny, była częścią naszej racji stanu, podczas gdy powody tej wojny, ze strony USA, niepopieranej przez większość Amerykanów, równie dobrze mogą być o wiele bardziej „osobiste", niż wynikać z amerykańskiego interesu narodowego. Wojna żydowsko-perska z udziałem USA okazuje się zatem, niestety, kolejną wojną, którą wiodący politycy Rzeczypospolitej czynią deklaratywnie „naszą wojną", bagatelizując najwyraźniej ryzyka z tym związane, począwszy od faktu, że już choćby cichy aplauz dla zabójstw głów państw jest obosiecznym mieczem o możliwie horrendalnych skutkach.

W chwili publikacji tego artykułu będzie już wiadomo więcej niż podczas jego pisania na temat rozwoju samej wojny, w szczególności czy w ogóle osiągnięto cel w postaci zmiany reżimu w Teheranie (poza wymianą kadr na stanowiskach tej islamskiej republiki), na ile odwet irański okazał się dla Izraela i USA dotkliwy, czy wojna ta będzie eskalować czy może wygasać, a przede wszystkim: czy i jak głęboko Donald Trump swoją decyzją zdestabilizował Bliski Wschód, z możliwymi konsekwencjami dla całego świata, od realiów gospodarczych poczynając. Wobec tych niewiadomych najwyższej wagi trzeba przypomnieć, że to właśnie Donald Trump, jak i wiele znaczących ludzi z jego bliskiego otoczenia, od lat, w bardzo mocnych słowach przestrzegał przed ryzykiem związanym z interwencją zbrojną w Iranie, traktując ją nawet jako niedorzeczność wprost sprzeczną z amerykańskim interesem narodowym. Wprawdzie propagandyści Białego Domu oraz ich pudła rezonansowe w kraju i na świecie tłumaczą obecnie za pomocą zabiegów retorycznych, że ta zmiana poglądów amerykańskiego prezydenta w rzeczywistości nie jest zmianą, jednakże ich wysiłki tym samym potwierdzają, iż tak diametralny zwrot po prostu musi mieć jakieś wytłumaczenie proporcjonalne do podjętego ryzyka i poprzednio podawanych racji. Stanowisko Donalda Trumpa, choć chwilami niezwykle twarde, było bowiem, w kwestii możliwości wojny z Iranem, jednoznaczne na przestrzeni ostatnich lat, a mianowicie stricte negatywne.

W rzeczy samej Internet zalany jest zestawieniem stosunkowo licznych, autentycznych wypowiedzi ówczesnego obywatela Trumpa, oskarżającego prezydenta Baracka Obamę o przygotowanie podobnego ataku. Świetnym przykładem, dziś mocno zastanawiającym w obliczu niepowodzeń i napięć na gruncie amerykańskiej polityki wewnętrznej, mógłby być ten wpis z 9 października 2012 r. na Twitterze, w którym Donald Trump pisał: „Teraz, gdy notowania lecą Obamie w dół, zobaczycie, że zaatakuje on Libię lub Iran, bo działa w desperacji". Również, ubiegając się o nominację partii republikańskiej w wyborach prezydenckich w 2016 r., w jednej z debat Trump niezwykle ostro atakował Jeba Busha za interwencjonistyczną politykę jego brata: „Wojna w Iraku… otóż wydaliśmy na nią dwa biliony dolarów, zginęły tysiące ludzi, a teraz Iran przejął kontrolę nad Irakiem – krajem z drugimi co do wielkości rezerwami ropy na świecie. Irak był ewidentnie grubym błędem. George Bush popełnił błąd – zdarza się popełniać błędy, ale ten to był prawdziwy majstersztyk. Nigdy nie powinniśmy byli tam wchodzić i destabilizować Bliskiego Wschodu […]. Oni kłamali: mówili, że jest tam broń masowego rażenia, ale jej nie było – i oni o tym wiedzieli".

„NIE DAMY SIĘ WCIĄGNĄĆ"?

Prawdą jest, że polityka irańska Donalda Trumpa za jego pierwszej prezydentury była twarda i stricte proizraelska – wycofał on USA z porozumienia z Iranem i zarządził przecież egzekucję gen. Solejmaniego, odpowiedzialnego za działania irańskich sił zbrojnych poza granicami kraju – niemniej, mimo nacisków amerykańskich neokonserwatystów, stronił od otwartego konfliktu, a nawet w 2024 r. powrócił do Białego Domu na kanwie obietnic o wycofaniu Ameryki z cudzych wojen rujnujących jej budżet i inwestycje krajowe, czemu dał uroczyście wyraz w swym przemówieniu inauguracyjnym w styczniu 2025 r. (co zresztą zostało nagrodzone gromkimi brawami zgromadzonych): „Będziemy mierzyć nasze sukcesy nie tylko zwycięskimi bitwami, lecz także, co być może najważniejsze, wojnami, w które nie damy się wciągnąć".

Co więcej, na pokład swej administracji, na bardzo prestiżowe, a zarazem kluczowe stanowisko dyrektora wywiadu narodowego wziął on Tulsi Gabbard, ongiś polityk z Partii Demokratycznej, która w ostatnich latach swoją karierę polityczną budowała na stanowczej krytyce interwencjonizmu – w tym

eprasa.pl 29d687f464

ewentualnego interwencjonizmu Trumpa – zwłaszcza względem Iranu. Podobnie w przededniu wyborów z listopada 2024 r. J.D. Vance, dziś wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, pytany w popularnym podcaście Tima Dillona o stanowisko USA względem wojen Izraela po 7 października, twierdził: „Izrael ma prawo do samoobrony, ale interesy Ameryki czasem będą różne, czasem będą się pokrywać [z tymi Izraela]. Myślę, że pójście na wojnę z Iranem naprawdę nie leży w naszym interesie, nieprawdaż? Byłoby to ogromne rozproszenie niezwykle kosztownych dla naszego krajów środków", po czym otwarcie i dosłownie skrytykował prowojenne, pozbawione roztropności zapędy amerykańskich środowisk proizraelskich.

Być może na długo domeną różnych spekulacji pozostanie fakt, dlaczego dokładnie Donald Trump tak wyraźnie i ostentacyjnie zaprzeczył swym głównym obietnicom i deklarowanej orientacji, natomiast ogólne ramy tego zwrotu są powszechnie znane i bez wątpienia należy tu wskazać wpływ Beniamina Netanjahu oraz żydowskich miliarderów będących w bliskim kręgu darczyńców, doradców, a zwłaszcza przyjaciół Trumpa, dających mu najwyraźniej to, czego najbardziej łaknie u możnych tego świata, a mianowicie uznania.

To wytłumaczenie niezwykle głębokich, a zarazem jawnych wpływów środowisk proizraelskich nie wyklucza innych możliwych przyczyn i racji, natomiast po ludzku mówiąc, to właśnie jego nieskrywane oddanie sprawie mocarstwowości wciąż rozrastającego się Izraela (bo nie chodzi przecież o samą jego egzystencję) zdaje się najbardziej pasować do obecnej sytuacji, gdzie, powiedzmy to szczerze, podawane oficjalne powody okazują się mętne i nieprzekonujące, wymagające w każdym razie zbyt wielu oficjalnych komunikatów mających uporządkowywać spójność narracji.

Jeśli bowiem dopiero po trzech dniach wojny sekretarz stanu Marco Rubio ostatecznie klarownie wskazał na militarne cele interwencji – zniszczenie arsenału rakiet średniego zasięgu oraz, co stanowiło nowość, floty morskiej – to wcześniej mowa była raz to o ukaraniu władz irańskich (na jakiej podstawie?) za zabicie uczestników niedawnych demonstracji,

Polityka „Po pierwsze Izrael" na sterydach, kiedy amerykańscy żołnierze giną i przelewają krew w ramach budowania regionalnej hegemonii Izraela, zdążyła dogłębnie podzielić trumpowy ruch MAGA

które przerodziły się w wymierzone w rząd rozruchy, raz to o „zakończeniu na dobre wojny, której USA nie wywołały" (chodziło zatem o niepodległościowy przewrót z 1979 r. i 47 lat napięć na linii USA – Iran), raz to o pomszczeniu w ogóle amerykańskiej krwi, raz to o unicestwieniu irańskiego programu nuklearnego (który przecież miał już być unicestwiony na dziesięciolecia w czerwcu ubiegłego roku, podobnie jak przez dziesięciolecia był rzekomo na finiszu skonstruowania bomby atomowej)…

Ten silnie emocjonalny, a zarazem chaotyczny przekaz Białego Domu mierzył się zresztą zarówno z oficjalnym dementi – kiedy np. Pentagon oświadczał, że Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla USA – jak i z półoficjalnym, choć twardym zaprzeczeniem ze strony świata dyplomacji: amerykański atak miał bowiem miejsce w trakcie negocjacji porozumienia amerykańsko-irańskiego, które, jeśli wierzyć ministrowi spraw zagranicznych Omanu, pośredniczącemu w tych rozmowach, były wielce obiecujące.

Rzeczywiście zbyt wiele okoliczności i ich chronologiczny zbieg w ostatnich miesiącach zbyt wyraźnie wskazują na żydowskie oraz syjonistyczne motywy polityki zagranicznej Donalda Trumpa na Bliskim Wschodzie, by nie spuentować, jak to uczynił prof. Czaputowicz – w końcu nasz były minister spraw zagranicznych, ale nie tylko on, bo ten komentarz jest na świecie powszechny, a zwłaszcza w USA – że w relacjach USA – Izrael to ogon merda psem, wyznaczając politykę amerykańskiego imperium. Widać to, jak wspomniałem, zarówno w bieżącej sytuacji, jak i w ogóle z perspektywy długofalowego izraelskiego (w zasadzie: syjonistycznego) lobbingu w USA.

Zacznijmy od tego drugiego wątku, co prowokacyjnie, acz dobitnie nazywał po imieniu w latach 90. Pat Buchanan, paleokonserwatysta, który zrobił karierę jako doradca w administracjach prezydentów Nixona, Forda i Reagana, mówiąc wprost o okupacji wzgórza Kapitolu w Waszyngtonie przez Izrael. W tej przenośni bardzo łatwo dostrzec clou, a mianowicie fenomenalną wręcz skuteczność wyborczego lobbingu, skutkującą ponadpartyjną większością w amerykańskim Kongresie na rzecz Izraela i syjonizmu, na czele z komitetem AIPAC: American Israel Public Affairs Committee, zwanym ongiś, co znaczące i wymowne, American Zionist Public Affairs Committee. Z kolei bliżej nas wystarczy wspomnieć wielu amerykańsko-żydowskich miliarderów mających bezpośredni wpływ na amerykańską politykę zagraniczną bądź jako wiodący wysłannicy prezydenta (np. Jared Kushner, jego zięć, czy Steve Witkoff, zaufany przyjaciel), bądź jako skrajnie hojni darczyńcy, jak Miriam Adelson – darczyńcy, którym się po prostu nie odmawia. Akurat w jej zaskakującym przypadku Donald Trump sam zresztą potwierdza symbiozę między jej wielomilionowymi darowiznami wyborczymi a jego proizraelską polityką, podając skądinąd surrealistyczne detale, ponieważ pani Adelson, która w jego mniemaniu bardziej kocha sam Izrael niż USA, całkiem na poważnie gotowa jest wesprzeć go „bagatelną" sumą 200 mln dol., jeśli zdecydowałby się on – wbrew 22. poprawce do konstytucji – kandydować na trzecią kadencję do Białego Domu.

PO PIERWSZE IZRAEL

Jeśli prożydowska i syjonistyczna orientacja na dobre naznaczyła ród Trumpa – jego ojciec był znaczącym przyjacielem i darczyńcą środowisk żydowskich, co w ówczesnym Nowym Jorku nie było znowu czymś zupełnie nadzwyczajnym – to nie trzeba zbytnio szukać innych, dodatkowych przyczyn niż te wymienione, skądinąd teoretycznie możliwych, jak głośne akta Epsteina, by wytłumaczyć to skrajnie proizraelskie nastawienie Trumpa. Ma się rozumieć, o sprawie Epsteina mówi się obecnie podwójnie, zadając pytanie, czy cała ta wojna w Iranie nie służy właśnie temu, aby przykryć tę otwartą puszkę Pandory,

eprasa.pl 29d687f464

odwrócić uwagę od możliwej kontroli politycznej elit anglosaskich poprzez zbierane na nich kompromaty w postaci gwałcenia nieletnich, jeśli nie wręcz tortur czy innych mrocznych bezeceństw. Ponadto, mimo postępującej w tych aktach przejrzystości, nie ma przekonujących dowodów na umoczenie Trumpa przez Epsteina, poza szkodami wizerunkowymi w wyniku ich znajomości w pewnym okresie życia.

Innymi słowy, Donald Trump, ze swymi koneksjami, darczyńcami i specyficznym temperamentem mieszającym autentyczną wielkoduszność z nieskrywanym narcyzmem, nie musi być czyimkolwiek agentem, by dać się w końcu przekonać, a być może i wmanewrować, do wyreżyserowanych rozwiązań, które wcześniej oceniał, zdaje się, że szczerze, jako szaleństwo. Wspomniany już Marco Rubio, tłumacząc dziennikarzom w poniedziałek 2 marca powody wojny po raczej fatalnym pod względem komunikacji weekendzie otwierającym atak na Iran, wskazywał dość sensownie, że USA były w zagrożeniu bezpośredniego ataku Iranu (co umożliwia prezydentowi działania zbrojne przez dwa miesiące bez zgody Kongresu), ponieważ było wiadomo, że to Izrael zaatakuje Iran, co spowoduje odwet Iranu na amerykańskie bazy wojskowe w regionie. Rubio nie dodał jedynie, dlaczego USA nie mogły tym razem, w przeciwieństwie do czerwca ub.r., powstrzymać Izraela przed zabiciem Alego Chamenei, choć zapewne regularnie odwiedzający Trumpa szczwany lis „Bibi" Netanjahu zdołał go w tym czasie przekonać, dlaczego tym razem ruch ten jest dla Izraela – a w konsekwencji i dla USA – bezwzględnie konieczny i nieunikniony. Ten sam „Bibi" następnie buńczucznie deklarował w pierwszych dniach wojny, że Ameryka z jedynym w swoim rodzaju prezydentem zdołała ziścić 40-letnie marzenia Izraela.

Ta polityka „Po pierwsze Izrael" na sterydach, kiedy amerykańscy żołnierze giną i przelewają krew w ramach budowania regionalnej hegemonii Izraela, zdążyła dogłębnie podzielić trumpowy ruch MAGA z jego hasłem „Po pierwsze Ameryka". Bez wsparcia bazy swego elektoratu Trump z pewnością nie zdoła wygrać listopadowych wyborów uzupełniających do Kongresu, którego utrata oznaczałaby dlań marazm drugiej połowy jego prezydentury, z kolejnym widmem procedury impeachmentu, czyli usunięcia z urzędu. Ryzyko podjęte przez Trumpa i jego otoczenie jest zatem ogromne, tym bardziej że nikt z pewnością nie wie, kiedy i w jaki sposób zakończy się obecna wojna, ponieważ wojny, o czym nie chcą pamiętać ich inicjatorzy, raz odpalone kierują się najczęściej własną logiką. Trudno powiedzieć, czy w wojnie perskiej ziszczą się dla USA czarne scenariusze, ale warto je przytoczyć w chwili, gdy władze Rzeczypospolitej bezmyślnie cieszą się z amerykańskiego uderzenia w Iran – bo przecież chodzi o zniszczenie sojusznika Rosji, która toczy wojnę z Ukrainą! Otóż uderzenie w gospodarkę państw Zatoki Perskiej nie tylko może spowodować światowy kryzys cen ropy i gazu, co niestety odczujemy również my, lecz także załamanie gigantycznych inwestycji finansowych tych krajów w sztuczną inteligencję na rynku amerykańskim, wywołując z kolei kryzys tamtejszej gospodarki.

Bycie częścią Zachodu, bliskim sojusznikiem i partnerem USA, nie zobowiązuje przedstawicieli Rzeczypospolitej do pochwalania reguł Dzikiego Zachodu

Eskalacja tego konfliktu jest także możliwa z bardziej przyziemnych przyczyn: nikt nie podaje, jakie są dokładnie, po stronie amerykańskiej, dostępne liczby niezwykle kosztownych rakiet przechwytujących drony i rakiety irańskie, a jak zasobny jest gromadzony latami arsenał po stronie Iranu, niemniej Marco Rubio wskazał, że w przypadku miesięcznych zdolności produkcyjnych dotychczasowa przewaga wynosiła 100 do 6 na korzyść Iranu. Co, jeśli Iran będzie nadal ripostował, a wystrzelane ze swych zapasów USA nie będą miały już czym bronić siebie i swoich partnerów w regionie, ogołociwszy wcześniej swe inne rezerwy na świecie? Co, jeśli Europa zostanie poproszona o pomoc w koszmarnej inwazji górzystego Iranu, co byłoby jedynym sposobem na rzeczywistą, choć może jedynie tymczasową zmianę reżimu w Teheranie? Co, jeśli Izrael sięgnąłby po broń jądrową jako ostateczny środek przeciw dalszemu ostrzałowi prowadzonemu przez Iran? To niewyobrażalne jeszcze niedawno pytanie trzeba sobie przecież dziś zadać wobec logiki i uwarunkowań tego konfliktu.
I w końcu, jak aprobowanie między wierszami – co czyni swoimi wypowiedziami prezydent Rzeczypospolitej – zabójstwa głowy państwa, z którym utrzymujemy stosunki dyplomatyczne tylko dlatego, że Tel Awiw z Waszyngtonem wyjęły go spod prawa w imię walki z terroryzmem – jak to się ma do naszych wartości, nie wspominając o rycerskim etosie naszego polskiego oręża?

WIELKA NIEWIADOMA

Ma się rozumieć, Polacy indywidualnie, w zależności od swych preferencji, inklinacji, doświadczeń, przemyśleń, przekazów medialnych, będą potępiać lub pochwalać ten atak, postrzegać go jako uzasadniony lub barbarzyński. Ta rozbieżność w percepcji jest naturalna, choć wszyscy powinniśmy się zgodzić, że ryzyko podjęte tym ruchem przez USA, dokonanym przede wszystkim na rzecz regionalnej hegemonii obcego państwa, jest ogromne, z możliwymi dotkliwymi konsekwencjami dla nas włącznie. Jak mawiał Donald Trump, ludziom zdarzają się błędy i być może właśnie popełnił on, na własne życzenie, istny majstersztyk w tym zakresie, podparty, jak w przypadku George'a Busha, świadomymi kłamstwami. Otóż bycie częścią Zachodu, bliskim sojusznikiem i partnerem USA, nie zobowiązuje przedstawicieli Rzeczypospolitej do pochwalania reguł Dzikiego Zachodu, a tym bardziej do bicia brawa na wyrost dla czynów, które równie dobrze mogą okazać się dla USA ich własnym Carrhae. Wprawdzie premier Netanjahu kadzi Donaldowi Trumpowi, że jest nowym Cyrusem ratującym dziś naród żydowski, trudno jednak odgonić się od paraleli, że amerykański prezydent, podobnie jak ongiś Marek Krassus, pochopnie postanowił do blasku swego bogactwa i potęgi władzy dodać tytuł pogromcy współczesnych Partów, a rezultat tego starcia pozostaje na razie wielką niewiadomą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Misja Jareda Kushnera



Michał Krupa

Zięć Donalda Trumpa wywiera wpływ zza kulis na negocjacje dotyczące Gazy, Ukrainy i być może innych punktów zapalnych w świecie. Czyjej agendzie naprawdę służy? Przynajmniej jeśli chodzi o kwestie bliskowschodnie odpowiedź zdaje się oczywista – Izraelowi i własnej kieszeni



Jared Kushner i Beniamin Netanjahu, Jerozolima, 24 sierpnia 2017 r.

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

W często mrocznym świecie amerykańskiej polityki niewielu ludzi uosabia tak dobitnie mieszankę rodzinnej lojalności, ideologicznego ferworu i praktycznie niekontrolowanych wpływów jak Jared Kushner. Jako zięć Donalda Trumpa i doradca w czasie pierwszej prezydentury Trumpa (lata 2017–2021) Kushner stał się głównym kanałem, przez który mocno proizraelskie, syjonistycznie ukierunkowane priorytety – zwłaszcza te promowane przez premiera Izraela Beniamina Netanjahu – docierały bezpośrednio do Białego Domu. Powiązania rodzinne, jego nadzwyczaj szeroki zakres obowiązków dyplomatycznych mimo całkowitego braku stosownych kwalifikacji, wstrząsające zarzuty pochodzące z niedawno odtajnionych akt dotyczących miliardera kryminalisty Jeffreya Epsteina oraz ewidentny nepotyzm tworzą obraz jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci w obecnej amerykańskiej administracji, rzecz jasna, poza samym Donaldem Trumpem.

Relacje rodziny Kushnerów z obecnym izraelskim premierem Beniaminem Netanjahu sięgają znacznie dalej niż ślub Jareda z Ivanką Trump w 2009 r. Opierają się na wspólnym ideologicznym przywiązaniu do syjonistycznych idei oraz na znaczącym wsparciu finansowym ze strony Kushnerów. Charles Kushner, ojciec Jareda i odnoszący sukcesy (choć później uwikłany w skandale) potentat rynku nieruchomości, stał się hojnym darczyńcą na rzecz organizacji izraelskich i proizraelskich. Ta hojność zaowocowała osobistą przyjaźnią z Netanjahu. Bliskość ta osiągnęła niemal symboliczny wymiar podczas jednej z wizyt Netanjahu w Stanach Zjednoczonych w latach 90. Zamiast zatrzymać się w hotelu, izraelski przywódca został ugoszczony na noc w rodzinnym domu Kushnerów w Livingston w stanie New Jersey. Według licznych relacji – w tym bardzo szczegółowego artykułu „The New York Times" z 2017 r. – premier spał w sypialni nastoletniego wówczas Jareda, który na czas wizyty został uprzejmie przeniesiony do piwnicy. Ta anegdota jest od lat przytaczana w mediach jako żywy przykład tego, jak relacje osobiste płynnie przeszły w sferę polityczną.

DARCZYŃCA KAMPANII NETANJAHU

Jako młody człowiek Jared sam włączył się bezpośrednio w te relacje. Jeszcze jako student Harvardu towarzyszył Netanjahu w zagranicznych podróżach – najbardziej pamiętna była wspólna wizyta w Auschwitz-Birkenau w 1998 r.,

eprasa.pl 29d687f464

podczas której premier wygłosił mocne przesłanie o konieczności istnienia silnego państwa żydowskiego, by zapobiec kolejnym katastrofom, które mogły spotkać naród żydowski. Filantropia rodziny Kushnerów dodatkowo cementowała te więzi. Przekazywano miliony dolarów na izraelskie szpitale, projekty edukacyjne i inne inicjatywy żydowskie, w tym syjonistyczne. W 2007 r. wyciekła lista darczyńców kampanii wyborczej Netanjahu. Zawierała ona nazwisko samego Kushnera wśród najważniejszych potencjalnych donatorów – co dobitnie pokazuje skalę tych powiązań. To powiązania, które skłoniły Vicky Ward, autorkę głośnej książki „Kushner, Inc." do scharakteryzowania w niej Jareda jako kogoś, kto nie ma żadnej ideologii poza byciem proizraelskim.

Gdy Donald Trump wygrał wybory w 2016 r., te wieloletnie relacje natychmiast uczyniły Jareda Kushnera nieformalnym łącznikiem między nową administracją a rządem izraelskim. Jeden epizod z końcowych dni administracji Obamy dobitnie to ukazuje. Jak pisze Ward: „Jedynym tematem, na który Kushner był skłonny się rozgadywać, był Izrael. A przynajmniej tak to widział Ron Dermer, izraelski ambasador, który po konsultacjach z Netanjahu skontaktował się z Kushnerem pod koniec grudnia [2016 r.], prosząc go o pomoc. Administracja Obamy popierała rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ potępiającą budowę osiedli na Zachodnim Brzegu. Kushner był oburzony. „[Ludzie Obamy] mieli swoją szansę. Zawiedli. Dlaczego, odchodząc, próbują jeszcze utrudnić nam pracę?" – miał powiedzieć wedle „The New Yorker", w którym można było też o tej sprawie przeczytać: „To, co było naprawdę niezwykłe, to otwarta konfrontacja między zespołem przejmującym władzę a urzędującą administracją. Wyglądało to tak, jakby Kushner postrzegał Netanjahu jako swojego szefa, a Obamę jako wroga".

W okresie, gdy Netanjahu sprawował drugą (i najdłuższą) kadencję premiera, Kushner wykorzystywał te osobiste koneksje, by kierować amerykańską polityką bliskowschodnią w kierunku preferowanym przez Jerozolimę. Wielu obserwatorów i krytyków podkreślało, że tak głęboka osobista historia musiała naturalnie ustawić Kushnera de facto w roli rzecznika Netanjahu – często kosztem wyważonego dialogu z Palestyńczykami czy szerszego uwzględnienia arabskich punktów widzenia, czego skutkiem były słynne Porozumienia Abrahamowe.

W drugiej kadencji Trumpa, rozpoczętej w styczniu 2025 r., Kushnerowi ponownie przypadła ważna funkcja. Brał udział w rozmowach na najwyższym szczeblu dotyczących rozejmu w Gazie, towarzyszył Netanjahu podczas spotkań w Nowym Jorku i pomagał kształtować ramy powojennej odbudowy, po raz kolejny pokazując, jak trwałe i funkcjonalne pozostają te rodzinno-polityczne powiązania.

Jednym z najbardziej wybuchowych elementów dotyczących Kushnera było ujawnienie na początku 2026 r. kolejnych dokumentów związanych z Jeffreyem Epsteinem. Wśród nich znalazło się odtajnione memorandum FBI sporządzone pierwotnie w 2020 r. Dokument oparty na informacjach poufnego źródła ludzkiego (confidential human source) stawiał bardzo poważne zarzuty zagranicznej manipulacji sięgającej szczytów administracji Trumpa. Według tego raportu tajny współpracownik twierdził, że Donald Trump był „kontrolowany przez Izrael" przez znaczną część swojej pierwszej kadencji. Epstein – skazany przestępca seksualny z udokumentowanymi kontaktami z najpotężniejszymi osobami w świecie polityki, finansów i służb specjalnych – miał być przedstawiany jako potencjalny współpracownik izraelskiego wywiadu, przekazujący informacje dzięki takim pośrednikom jak prawnik Alan Dershowitz. Memorandum sugerowało ponadto, że Chabad-Lubawicz – ultraortodoksyjny ruch w obrębie judaizmu – aktywnie dążył do „przejęcia" prezydentury Trumpa lub głębokiego wpływania na nią od wewnątrz. Sam Kushner zaś został scharakteryzowany jako „prawdziwy mózg całej organizacji i prezydentury Trumpa" oraz oddany zwolennik celów Chabadu. Dokument odnotował pozornie drobny, lecz symboliczny szczegół: w dniu wyborów prezydenckich, 8 listopada 2016 r., Ivanka Trump i Jared Kushner udali się na grób rabina Menachema Mendla Schneersona – zmarłego przywódcy Chabadu, którego wielu wyznawców uważa za postać mesjańską. Nie mniej szokujące były zarzuty finansowe: poufne źródło oskarżało Kushnera o udział w praniu pieniędzy pochodzących ze źródeł izraelskich i rosyjskich za pośrednictwem różnych rodzinnych podmiotów charytatywnych i fundacji, wzywając federalne służby do wszczęcia śledztwa w tej sprawie. Choć ta złożona na ręce FBI relacja pozostaje niepotwierdzoną informacją wywiadowczą, a tożsamość źródła nigdy nie została ujawniona, to wpisuje się ona w wieloletnie doniesienia o powiązaniach Epsteina z izraelskimi politykami i służbami (w tym z byłym premierem Ehudem Barakiem) oraz w szersze podejrzenia dotyczące zagranicznych, szczególnie izraelskich, nacisków na Donalda Trumpa. Obecna wojna w Iranie wzmacnia jedynie wiarygodność tego przekazu.

SZEROKI ZAKRES ZADAŃ

Błyskawiczne wyniesienie Jareda Kushnera do roli jednego z najważniejszych dyplomatów administracji Trumpa pozostaje jednym z najjaskrawszych przykładów tego, jak osobista bliskość potrafiła zastąpić tradycyjne kwalifikacje. Przed wejściem do Białego Domu jego doświadczenie ograniczało się niemal wyłącznie do zarządzania rodzinną firmą deweloperską Kushner Companies – przedsiębiorstwem, które borykało się z poważnymi problemami finansowymi, w tym z fatalnie zadłużonym zakupem wieżowca przy 666 Fifth Avenue na Manhattanie. Kushner nie posiadał żadnego wykształcenia w zakresie stosunków międzynarodowych, nie miał doświadczenia w służbie rządowej ani żadnych udokumentowanych kompetencji w dziedzinie bliskowschodniej geopolityki czy dyplomacji. Mimo to prezydent Trump powierzył mu niezwykle szeroki zakres zadań: negocjacje pokojowe izraelsko-palestyńskie, reformę wymiaru sprawiedliwości karnej, walkę z epidemią opioidów, częściowe zarządzanie federalną reakcją na COVID-19 i wiele innych obszarów. Centralnym elementem jego dyplomatycznego dziedzictwa pozostaje tzw. Deal of the Century – plan pokojowy przedstawiony na początku 2020 r. we współpracy z Netanjahu. Chociaż ostatecznie nie zyskał poparcia Palestyńczyków, to właśnie Kushner odegrał decydującą rolę w doprowadzeniu do Porozumień Abrahamowych,

eprasa.pl 29d687f464

tj. normalizacji stosunków Izraela ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem, Sudanem i Marokiem. Wielu analityków regionu oceniało te porozumienia jako mocno przechylone na korzyść Izraela – normalizacja została osiągnięta głównie dzięki dodatkowym korzyściom oferowanym stronom arabskim, a nie dzięki realnemu postępowi w kluczowych kwestiach palestyńskich. Krytycy nazywali je „planem Bibiego", twierdząc, że nagradzały Izrael, jednocześnie odkładając w nieskończoność – a w praktyce marginalizując – rozwiązanie kwestii izraelskiej okupacji i państwowości palestyńskiej. „Palestyńczycy? Jacy Palestyńczycy?" – zdawało się być hasłem przewodnim tej inicjatywy.

W drugiej kadencji Trumpa Kushner ponownie objął wpływową (choć formalnie nieoficjalną) rolę doradczą. Współpracował blisko ze specjalnym wysłannikiem Steve'em Witkoffem przy negocjacjach rozejmu w Gazie, uwalnianiu zakładników oraz wstępnym planowaniu powojennej odbudowy i zarządzania terytorium. Brał również udział w niedawnych rozmowach z Iranem, które miały doprowadzić do porozumienia w sprawie programu nuklearnego Teheranu, a które były od jakiegoś już czasu podważane przez stronę izraelską poprzez odpowiednie naciskanie na Trumpa. Jak zauważa Aaron David Miller na portalu Foreign Policy: „Jest jasne, że Witkoff i Kushner zdawali się wyczuwać, czego chce Trump, i z jego polecenia realizowali strategię dezinformacji, prowadząc rozmowy z Iranem oraz wysuwając nierealistyczne żądania, podczas gdy Trump i izraelski premier Beniamin Netanjahu planowali wojnę". Co więcej, omańscy gospodarze i pośrednicy rozmów oraz inni arabscy dyplomaci w ostatnich dniach rozwiali złudzenie, że Witkoff i Kushner negocjowali w dobrej wierze.

Skutkiem było wyraźne osłabienie tradycyjnej roli Ameryki jako „uczciwego pośrednika", zastąpionej podejściem, które krytycy oceniali jako nieproporcjonalnie uległe wobec izraelskich priorytetów, co obecna wojna z Iranem, oparta m.in. na radach Kushnera, tylko pogłębiła, i to w sposób być może nieodwracalny.

Co więcej, oprócz koneksji izraelskich Kushnera związki z rządami z Półwyspu Arabskiego również stawiają wiele znaków zapytania o jego wiarygodność. Jest on założycielem i dyrektorem generalnym Affinity Partners, firmy inwestycyjnej, która pozyskała miliardy dolarów od zagranicznych rządów. Trzema największymi klientami firmy są rządy Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Kataru. Kushner co roku pobiera od tych państw dziesiątki milionów dolarów opłat za zarządzanie. Jako producenci ropy klienci Kushnera zdają sobie sprawę ze skutków złagodzenia sankcji na irańską ropę. Zwiększając podaż, doprowadzają do spadku cen surowca. OPEC nie patrzyłoby na to przychylnym okiem. Jak donosił „The Washington Post", w prywatnych rozmowach telefonicznych w ciągu ostatnich kilku tygodni saudyjski książę koronny Mohammad ibn Salman (MBS) miał namawiać Trumpa do ataku na Iran, co strona saudyjska zdementowała. Co nie zmienia faktu, że Saudyjski Publiczny Fundusz Inwestycyjny (PIF) jest największym inwestorem w Affinity. W 2021 r. PIF zainwestował w Affinity Partners 2 mld dol., mimo że komisja PIF odpowiedzialna za ocenę inwestycji rekomendowała odrzucenie propozycji Kushnera, powołując się na „brak doświadczenia" i „nadmierne" opłaty. Rekomendacja komisji została jednak unieważniona przez MBS, który przewodniczy Radzie Dyrektorów PIF.

Jednym z najbardziej wybuchowych elementów dotyczących Kushnera było ujawnienie na początku 2026 r. kolejnych dokumentów związanych z Jeffreyem Epsteinem

Szacuje się, że do sierpnia 2026 r. Kushner otrzyma z PIF łącznie 137 mln dol. opłat za zarządzanie. Co więcej, we wrześniu 2025 r. PIF, Affinity Partners i inni wspólnie przejęli firmę Electronic Arts, wydawcę kultowych gier wideo, takich jak The Sims i Madden NFL, za 55 mld dol. Transakcja, która jest największym wykupem lewarowanym w historii, prawdopodobnie przyniesie Kushnerowi dalsze ogromne zyski. W wywiadzie udzielonym w październiku 2025 r. dla programu „60 Minutes" Kushner twierdził, że jego powiązania finansowe czyniły jego i Witkoffa skuteczniejszymi. „To, co ludzie nazywają konfliktami interesów, Steve i ja nazywamy doświadczeniem oraz zaufanymi relacjami, które mamy na całym świecie" – powiedział Kushner bez mrugnięcia okiem. W tym kontekście jednak otwarte pozostaje pytanie o sens tej inwestycji bogatych arabskich monarchów, biorąc pod uwagę liczbę irańskich rakiet i dronów, które spadły na ich kraje od momentu rozpoczęcia przez Izrael i USA wojny z Iranem.

AGENT SPRAWDZONY W BOJU

Gdy Kushner nadal wywiera wpływ zza kulis w negocjacjach dotyczących Gazy, Ukrainy i być może innych punktów zapalnych w latach 2025–2026, podstawowe pytania pozostają bez odpowiedzi. Czyjej agendzie naprawdę służy? Przynajmniej w kwestii Iranu i Gazy odpowiedź zdaje się oczywista – Izraelowi i własnej kieszeni.

W 2001 r. Beniamin Netanjahu, wówczas poza władzą, został potajemnie nagrany podczas rozmowy z rodziną osadników w Ofra na Zachodnim Brzegu. Myśląc, że mówi w cztery oczy, otwarcie chwalił się, jak w czasie swojej pierwszej kadencji premiera sabotował Porozumienia z Oslo – obiecując Amerykanom minimalne ustępstwa, a w rzeczywistości cementując okupację i blokując drogę do państwa palestyńskiego. W pewnym momencie, z cyniczną pewnością siebie, wypowiedział słowa, które do dziś brzmią jak manifest pogardy wobec formalnego sojusznika: „Wiem, czym jest Ameryka. Ameryka to coś, co można bardzo łatwo poruszyć, skierować we właściwym kierunku. Nie będą nam wchodzić w drogę". Stany Zjednoczone nie są więc równorzędnym partnerem, lecz narzędziem – posłusznym, przewidywalnym i łatwym do manipulacji, gdy tylko się wie, które dźwignie nacisnąć. Mając takich sprawdzonych w boju agentów wpływu jak Jared Kushner, izraelski premier może być spokojny w swoich aspiracjach budowania „Wielkiego Izraela". Jared Kushner zaś będzie dalej uśmiechał się z pierwszych stron gazet, liczył kolejne zera na koncie i powtarzał, że „robi to dla pokoju".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

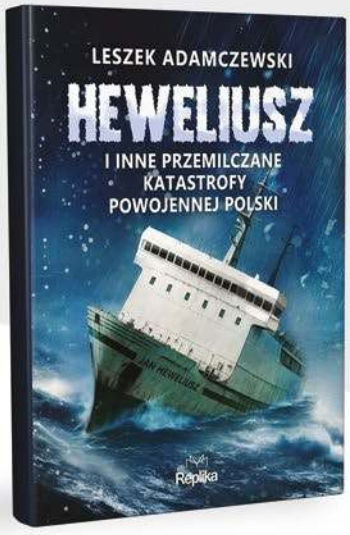
eprasa.pl 29d687f464

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI:
„HEWELIUSZ I INNE PRZEMILCZANE KATASTROFY POWOJENNEJ POLSKI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1301 ZŁ~~

547,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 754 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 29d687f464



Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polacy nabijani w Iran

Duża część polskich internautów uważa, że Polska powinna zachować neutralność podczas wojny między USA a Iranem. Na zdjęciu: gęste chmury dymu po bombardowaniu Teheranu

FOT. FATEMEH BAHRAMI/ANADOLU/GETTY IMAGES

RYSZARD GROMADZKI: W spontanicznej ankiecie, którą opublikował pan na platformie X, ponad 45 proc. uczestników opowiedziało się za neutralnością Polski w wojnie, którą USA i Izrael wszczęły z Iranem, więcej niż 36 proc. ankietowanych wzięło stronę Iranu, a tylko 18 proc. Izraela i USA. Ten wynik świadczy o zdrowym rozsądku większości Polaków, którzy nie dali sobie wmówić, że Iran był o krok od zbudowania własnej broni nuklearnej i bezpośrednio zagrażał USA i Izraelowi, co przedstawiane jest jako uzasadnienie napaści ze strony armii amerykańskiej i izraelskiej?

MARCIN PALADE: Ankieta nie jest oczywiście reprezentatywna dla dorosłej populacji Polaków. Intuicja, wsparta obserwacjami, podpowiada mi jednak, co na ten temat mówi od kilku dni sieć, że wyniki ogólnopolskiego sondażu, w którym Polacy wypowiedzieliby się na temat ataku USA i Izraela na Iran, nie byłyby zasadniczo różne. Bo z jednej strony widzimy i słyszymy polskich notabli partii systemowych, tych nazywających się demokratycznymi czy patriotycznymi, kibicujących wszystkiemu – jak w ostatnich ponad trzech dekadach – co robią Amerykanie czy Bruksela. Bez patrzenia, czy to jest w polskim interesie narodowym, a wszystko być nie musi i nie jest. Trochę jak z ZSRS, przez cztery dekady PRL, gdzie wszelkie dobro szło do nas, bezdyskusyjnie z ojczyzny robotników i chłopów. Z drugiej strony zaś mamy wielu Polaków zachowujących zdrowy rozsądek. Czyli przyjmujących postawę neutralną. Niewidzących powodu, dla którego Polska, państwo średniej wielkości, na dorobku, wielokrotnie w historii sponiewierane przez podobno sojuszników, od Napoleona po USA i Wielką Brytanię w Jałcie, miałoby angażować się w ten czy inny konflikt, z daleka od Polski. Względem kraju, który nigdy nie był nam nieprzyjazny, wrogi. Politycy, jak z Ukrainą czy Iranem, mówią: to jest nasza wojna. Wielu Polaków odpowiada – to nie jest na Ukrainie czy w Iranie nasza wojna. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy jesteśmy przedmiotem, a nie podmiotem w polityce międzynarodowej, z winy rodzimej klasy politycznej, składającej się w zdecydowanej większości z kelnerów usługujących placówkom dyplomatycznym w Warszawie wiodących państw świata. Argumenty używane przez tzw. świat zachodni, o konieczności przywrócenia wolności i demokracji narodom rzekomo uciśnionym, jak teraz słyszymy to o Iranie, wchodzą do milionów polskich uszu i szybko z nich wychodzą. Bo za tą grą słów, ubraną w kostium podobno naszych wspólnych wartości euroatlantyckich, kryje się wojna o surowce, wpływy i pieniądz. A wielu Polaków zdroworozsądkowo zakłada, że nawet gdyby Stany Zjednoczone miały wygrać konfrontację z Iranem, to Polsce nie przypadną nawet okruchy z pańskiego stołu. Dlaczego? Bo w pamięci milionów Polaków jest choćby amerykańska interwencja w Iraku, z polskim komponentem. Mówiono nam, że trzeba i robimy to dla dobra ludzkości, bo zły Saddam Husajn ma broń masowego rażenia i niecne zamiary z jej wykorzy-

eprasa.pl 29d687f464

staniem. Tyle tylko, że do dziś tej broni nie znaleziono. Amerykanie z Iraku mieli tanią ropę, a Polacy ordery.

Prezydent Nawrocki i szef MON Kosiniak-Kamysz wystosowali do władz USA kondolencje z powodu śmierci trzech amerykańskich żołnierzy, którzy mieli zginąć w odwetowym ataku Iranu. Czy ten gest był stosowny, w momencie kiedy wiadomo było, że w bombardowaniach Iranu, które przeprowadzili agresorzy, zginęły setki ofiar cywilnych, w tym uczennice szkoły dla dziewcząt?

Trudno oczekiwać innej postawy od polityków, których zdecydowana większość dzień bez podlizywania się większym i silniejszym uważa za dzień stracony. Bo wiecie, rozumiecie. Może ktoś tę naszą politykę wartości na zachodnich salonach zauważy. Może napiszą media, wymienią nazwisko i funkcję. Poklepią po plecach, a to dla wielu polskich polityków jest spełnieniem ich marzeń. Do tego mamy jakąś aberrację na osi moje lepsze – tamto gorsze. Ci, którzy nadskakują Berlinowi, wytykają nadskakiwanie przez konkurencję Waszyngtonowi. Ci, którzy nadskakują Waszyngtonowi, wytykają nadskakiwanie przez konkurencję Berlinowi. W tym samym czasie, kiedy zginęło trzech amerykańskich żołnierzy, bomba zrzucona na szkołę w Iranie zabiła 167 dziewczynek. Wielu Polaków może i pewnie zadaje sobie pytanie, dlaczego nad śmiercią jednych mamy się użalać, a nad innych przechodzić do porządku dziennego, jak gdyby nic się nie stało. To jest polityka wartości czy odczłowieczenie? Dlatego nie ma się co dziwić, że oficjalny przekaz, działania notabli, nie cieszą się powszechną akceptacją Polaków. To są dwa światy – ich polityków i nas – zwykłych ludzi. Coraz bardziej się oddalające od siebie. A to, co się dzieje wokół Iranu, tylko ten rozjazd pogłębia.

Budowanie wizerunku Iranu jako sojusznika Putina, do czego ucieka się część polskiej klasy politycznej na czele z prezydentem Nawrockim, to zabieg, który ma służyć usprawiedliwieniu agresji ze strony USA i Izraela? Atak na Iran i unicestwienie dużej części jego grupy przywódczej to przecież jaskrawe złamanie wszystkich standardów prawa międzynarodowego.

Duża część rodzimej klasy politycznej, bez konkretnych wskazań personalnych, bo chcę opisać pewne tragikomiczne zjawisko, głównie styropianowych solidaruchów i ich młodych teczkowych, żyje tylko po to, by walczyć z Rosją. Wszędzie, gdzie się tylko da. W Polsce, Europie, świecie, a nawet wszechświecie. Gdyby Rosja, z Putinem czy bez, zniknęła z mapy, wszyscy oni musieliby ją reaktywować. Bo bez niej są jak bez tlenu. Co gorsza dla Polski, bo to często osoby decyzyjne, to donkiszoteria walcząca, wierząca w trwałość sojuszy czy przyjaźń w relacjach międzynarodowych. Ludzie tkwiący wciąż mentalnie w czasach zimnej wojny. Którzy nad łóżkiem mają zdjęcie muru berlińskiego, na stole rozłożoną bibułę opozycyjną z lat 80. i modlą się do portretu pierwszego antykomunisty wszech czasów Ronalda Reagana.

To ci, których najtrafniej zdiagnozował Roman Dmowski, że bardziej nienawidzą Rosji, niż kochają Polskę. W myśl tej logiki skoro Iran to sojusznik Rosji, to ich zdaniem prawo międzynarodowe nie ma żadnego zastosowania. Można bombardować obiekty cywilne, zabijać cywilów. Wszystko jest usprawiedliwione, bo osłabia bezpośrednio czy pośrednio Rosję. Przypomnę choćby, że nasi permanentni antyrosyjscy powstańcy mocno kibicowali jakiś czas temu rebelii w Syrii, bo szefem państwa był zły, prorosyjski al-Asad. Miało się dokonać wyzwolenie narodu syryjskiego z rąk dyktatora, zakwitnąć dobrobyt i demokracja. A co mamy? Radykalny islam, w tym w konsekwencji dramatyczne pogorszenie sytuacji wciąż licznie tam zamieszkujących chrześcijan. No i wszechobecny chaos – jakże charakterystyczny w krajach, gdzie „porządki" robiły w ostatnich kilku dekadach USA, interweniując zbrojnie.

Na ile realny jest scenariusz wmanewrowania Polski w nie naszą wojnę w Iranie, tak jak miało to miejsce w Iraku czy Afganistanie? Szef NATO, Mark Rutte, namawia kraje członkowskie sojuszu do zaangażowania we wsparcie operacji USA i Izraela w Iranie.

Biorąc pod uwagę, że spora część naszej klasy politycznej o poranku zamiast od „Ojcze nasz" dzień zaczyna od „Za wolność naszą i waszą", to scenariusz z polskim udziałem w walce „z osią zła" z całą pewnością jest w ich głowach. Ale jak z Ukrainą, boją się opinii publicznej. Boją się konsekwencji obrazków z trumnami polskich żołnierzy, okręconych biało-czerwonymi flagami. Bo to pewnie prowadziłoby do sporej wywrotki w polskiej polityce. Jeszcze większego osłabienia duopolu szabelkowców z PO-PiS-u na rzecz prawicowego antysystemu, głównie wzrostu poparcia i tak rosnącej w siłę Korony Brauna czy Konfederacji. Tych, którzy – jak ostatnio w Sejmie – nie wstali i nie klaskali po przyjęciu uchwały przez PO-PiS, deklarującej pomoc Polski dla Ukrainy do końca świata i jeden dzień dłużej.

Premier Izraela, Netanjahu, zapowiada, że po pokonaniu Iranu na Bliskim Wschodzie nastanie „era pokoju". Czy ewentualny upadek Iranu otwiera drogę do budowy „Wielkiego Izraela"? Jaką polityczną cenę może zapłacić Donald Trump za napaść USA na Iran?

Trwający już konflikt może potrwać o wiele dłużej, niż zakładała to strona atakująca. A jego przedłużenie nie tylko oddala perspektywę budowy „Wielkiego Izraela", lecz także komplikuje wewnętrzną sytuację w USA. Trump ma za kilka miesięcy wybory połówkowe, których nie może przegrać. Po pierwsze, to komplikowałoby scenariusz na wybory prezydenckie 2028 i republikańską sukcesję. Po drugie, demokraci już ostrzą sobie zęby i zapowiadają uruchomienie procedury impeachmentu. Do tego Trump ma i będzie mieć – moim zdaniem – coraz większe problemy z własną bazą wyborczą. W jego otoczeniu jest dominacja środowiska judeochrześcijańskiej prawicy, co nie podoba się coraz bardziej wielu w Partii Republikańskiej. Wątpię, by pozycja tych pierwszych, czego dowodzi atak wspólnie z Izraelem na Iran, miałaby osłabnąć. Tyle tylko że ci drudzy mogą za kilka miesięcy, w proteście przeciwko nierealizacji przez Trumpa zapowiadanego „po pierwsze Ameryka", które przeszło – ich zdaniem – w „po pierwsze Izrael", nie pójść na wybory. Trump może wojny z Iranem nie wygrać, a do tego osłabić siebie i republikanów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Palade *– socjolog polityki. Od 1997 r. prowadził Ośrodek Badań Wyborczych, a w 2003 r. współtworzył Polską Grupę Badawczą.*

eprasa.pl 29d687f464

Czarne sny Tuska



Rafał A. Ziemkiewicz

Wystarczy, że broker TVN przejdzie na zasady rynkowe i zaprzestanie bojkotu mediów „prawicowych", a w czasie, który pozostał do kolejnych wyborów, rynek medialny w Polsce zmieni się diametralnie. To jest dla premiera najgroźniejsze



FOT. ADOBE STOCK

Nadchodzące przejęcie koncernu medialnego Discovery/Warner przez firmę Paramount Skydance jest znaczącym wydarzeniem na rynku amerykańskim – ale znacznie większe znaczenie może mieć dla Polski, i to nie w sferze biznesu, a polityki. Koncern przejmowany z rąk lewicowo-liberalnych sponsorów Partii Demokratycznej przez firmę republikanów popierających Donalda Trumpa jest bowiem m.in. właścicielem – poprzez swą spółkę córkę w Amsterdamie – telewizji TVN, głównej tuby propagandowej rządu Tuska i środowiska lewicowo-liberalnego, zwanego potocznie „salonem". Utrata przez obecną władzę tak ważnego narzędzia wpływania na wyborców, nie mówiąc już o możliwości zmiany linii programowej telewizji na niekorzystną dla dotychczasowych politycznych dysponentów, nie może nie spędzać Donaldowi Tuskowi snu z powiek.

Sama transakcja jest znakiem nowych czasów, w których nikt już nie ukrywa, że kapitał ma nie tylko narodowość, lecz także orientację polityczną. Prezes Discovery/Warner, David Zaslav, znany z liberalnych koneksji, użył wszystkich środków, by pogrążoną w kłopotach firmę przejął lewicowy Netflix, i kilkakrotnie nawet ogłaszał, że właściwie zostało to już ustalone. O tym, że ostatecznie stało się, jak się stało, przesądziła zdecydowana postawa administracji Trumpa. Wśród asetów Discovery/Warner najważniejszym jest serwis streamingowy HBO. Połączenie go z Netflixem stworzyłoby monopol, na który w innym politycznym rozdaniu być może przymknięto by oko, ale obecna administracja dała jasno do zrozumienia, że ona oka nie przymknie. To oznaczało, że nabywca, zamroziwszy w transakcji potężne środki, musiałby czekać na jej sfinalizowanie ok. trzech lat, nie wiedząc, czy ostatecznie zostanie ona sfinalizowana. Wobec tej perspektywy akcjonariusze Netflixa zadecydowali o wycofaniu się z negocjacji, a akcjonariusze Discovery/Warner, wbrew rekomendacji prezesa, o przyjęciu oferty Paramount, skądinąd nader hojnej. Dodatkowym smaczkiem jest to, że Paramount Skydance nabywa firmę, od której sam jest znacznie mniejszy, korzystając z lewara finansowego opartego nie tylko na środkach „dużego" Paramount, lecz także, podobno, na kapitale saudyjskim.

AKCJONARIAT SKOMPLIKOWANY

Gwoli ścisłości dodajmy, że liberałowie nie złożyli broni – lewicowy gubernator Kalifornii zapowiedział, że stan „z wielką determinacją" dążyć będzie do zablokowania transakcji na podstawie prawa o ochronie miejsc pracy (zapowiadana racjonalizacja zatrudnienia po połączeniu Paramount z HBO oznaczać będzie, zdaniem władz Kalifornii, zwolnienie kilku tysięcy pracowników przemysłu filmowego), ale większość komentatorów twierdzi, że to tylko opóźnianie nieuchronnego.

Sytuacja jest tym razem inna niż 10 lat temu, kiedy czołowa lewicowo-liberalna telewizja w Polsce kupowana była przez inny amerykański koncern Scripps. Rodzina Scrippsów, podobnie jak rodzina Ellisonów, właścicieli Paramount, również postrzegana była jako stronnicy religijnej prawicy, a mimo to pod ich krótkimi rządami linia polityczna „Faktów" i kanału TVN24 się nie zmieniła. Obecnie – dla ominięcia polskich i unijnych przepisów – właścicielem 100 proc. akcji TVN SA jest utworzona w tym celu Discovery Communications Benelux B.V., której akcjonariat jest skomplikowany – poza większościowym udziałem Discovery są tam tajemnicze podmioty z rajów podatkowych oraz rosyjska spółka Media Alliance, będąca pozostałością po interesach koncernu Davida Zaslava z Władimirem Putinem. Możliwe, że przejęcie holenderskiego podmiotu przez Paramount odsłoni jakieś sekrety, ale i bez tego ta struktura własnościowa TVN okazała się ze strony lewicowo-liberalnej „zakuglowaniem się", uniemożliwia bowiem kontrakcję rządowi polskiemu.

Jak pamiętamy, w połowie ubiegłego roku, gdy po raz pierwszy pojawiły się

eprasa.pl 29d687f464

pogłoski o możliwości sprzedania przez mający coraz większe kłopoty koncern Discovery/Warner spółki TVN SA, Donald Tusk wpisał ją na listę podmiotów strategicznych. Oznacza to, że z polskiego punktu widzenia sprzedaż spółki wymaga zgody rządu, przy której braku właściciel zbyć ją musi podmiotowi wskazanemu przez rząd (osobna sprawa, jak na taką sytuację zareagowałyby światowe trybunały arbitrażowe – z dużym prawdopodobieństwem można sądzić, że zastosowanie tego mechanizmu ściągnęłoby na Polskę wysokie kary). Oczywiście natychmiast po ogłoszeniu decyzji o sprzedaży Discovery/Warner odezwały się w obozie władzy głosy, że Tusk powinien transakcję zablokować, i profesorskie porady, że powinien ogłosić, iż za Paramount stoi „kapitał niewiadomego pochodzenia", najlepiej rosyjski albo chiński. Tyle że spółki TVN SA nikt przecież nie sprzedaje ani nie kupuje. Jej właścicielem nadal pozostanie Discovery Communications Benelux B.V. z siedzibą w Amsterdamie, będąca własnością „dużego", amerykańskiego Discovery/Warner. A że właściciela zmienia ta ostatnia firma – to tu uroszczenia Tuska do ingerowania w transakcję są nie tylko bezpodstawne, lecz także śmieszne. Równie dobrze mógłby zablokować ugodę rozwodową u państwa Gates, argumentując, że oprogramowanie spółek, których akcje przekazał Bill Gates byłej żonie, używane jest w polskich instytucjach o strategicznym znaczeniu.

PRZEKAZ PODŚWIADOMY

Jak ważna jest TVN dla obecnej władzy, to wielki, osobny temat, o którym już na tych łamach pisałem (polecam artykuł „TVN – anatomia manipulacji" w „Do Rzeczy" nr 7/2025, jak również film „TVN idzie pod młotek" na moim kanale YouTube). Nie ma wątpliwości, że właśnie dzienniki tej telewizji i jej kanału informacyjno-publicystycznego miały decydujące znaczenie dla rozpowszechnienia wszystkich założycielskich kłamstw, legitymizujących powrót do władzy Tuska – o „600 tysiącach wiz sprzedanych na afrykańskich targowiskach", rzekomych nadużyciach przy używaniu systemu Pegasus czy w Funduszu Sprawiedliwości, o „co najmniej 100 miliardach złotych ukradzionych przez PiS", „niekonstytucyjnym KRS", „neosędziach" etc. Odejście przez TVN od tej linii propagandowej to dla obecnej władzy prawdziwa katastrofa.

Nie chodzi wcale o jakąś gwałtowną reorientację „Faktów" czy TVN24 w stronę prawicy, zwiastowanej przez popularne dziś memy z Moniką Olejnik i Anitą Werner, witającymi widzów: „Szczęść Boże, Czołem Wielkiej Polsce". Bynajmniej, taka próba skończyłaby się tylko ucieczką widzów do telewizji państwowej czy patostreamerów Romana Giertycha – analogicznie, jak to się stało po bezmyślnym, siłowym przejęciu przez Tuska TVP. Wystarczy, że TVN przestanie sączyć podprogową histerię i pogardę metodami, które opisywałem dokładnie we wspomnianym już artykule. Siła propagandy nie opiera się bowiem na przekazie werbalnym, tylko przede wszystkim podświadomym – na nasyceniu odbiorcy złymi emocjami, tak by codziennie wyłączał TVN w przekonaniu, że PiS i obie Konfederacje to straszliwe zagrożenie, które za wszelką cenę trzeba pomóc władzy powstrzymywać. Ponieważ histeria ta sączona jest w sposób dla przeciętnego widza niezauważalny, poprzez aluzje, skojarzenia, metody programowania neurolingwistycznego, więc i wyłączenie tego przekazu będzie niezauważalne. Może ten i ów stwierdzi, że jakoś, o dziwo, od pewnego czasu mniej się przy telewizji denerwuje, może zauważy, że w „Szkle kontaktowym" zaczęto żartować z absurdów i nieudolności obecnych rządów – i tyle. Wystarczy z grona komentatorów usunąć po cichu najbardziej jadowitych propagandystów typu Jakuba Sobieniowskiego i Macieja Knapika, a w zasobie telewizyjnych ekspertów skrajnych oszołomów w rodzaju prof. Wojciecha Sadurskiego czy prof. Radosława Markowskiego zastąpić, powiedzmy, prof. Ryszardem Piotrowskim i prof. Genowefą Grabowską, by sondażowy słupek KO zaczął więdnąć w oczach.

Wdarcie się z łomami przez ludzi Tuska na Augustówkę, jak swego czasu na Woronicza, tym razem raczej nie wchodzi już w grę

Nie to jest jednak dla Tuska najgroźniejsze, ale ewentualna zmiana polityki Domu Medialnego TVN. Obecnie wespół z domem medialnym Polsatu, który po zmianie pokoleniowej w tej ostatniej formie również gra w orkiestrze Tuska, tworzy on duopol kontrolujący prawie cały rynek reklamy telewizyjnej (resztkę zajmuje dom medialny TVP, także spacyfikowanej). Właśnie dzięki temu możliwe było zablokowanie wejścia na rynek telewizji Krzysztofa Stanowskiego oraz duszenie bojkotem Telewizji Republika, która przy dominującej pozycji na rynku stale boryka się z kłopotami finansowymi, podczas gdy mniej oglądana prorządowa konkurencja zgarnia z reklam według szacunków branżowych od 80 do 90 mln zł miesięcznie. Wystarczy, że broker TVN przejdzie na zasady rynkowe i zaprzestanie bojkotu mediów „prawicowych", a w czasie, który pozostał do kolejnych wyborów, rynek medialny w Polsce zmieni się diametralnie. Zważywszy, że niebawem wchodzi nań jeszcze jeden amerykański podmiot – telewizja Newsmax, uchodząca za „ulubioną telewizję Donalda Trumpa" – i że Google oraz Meta w każdej chwili mogą pójść drogą należącego do Elona Muska „Iksa" i wypowiedzieć otwartą wojnę europejskiej cenzurze, rządowej narracji pozostaną tylko niemiecki Ringier Axel Springer Polska, TVP, podupadła Agora i wspomniani patostreamerzy. To za mało, żeby zbudować emocje porównywalne z tymi, które w październiku 2023 r. zagnały do urn dodatkowe półtora miliona wyborców, ustawiających się karnie w kolejki, by „odsunąć PiS od władzy".

Od spełnienia się tych wizji dzieli Tuska i lewicowo-liberalną klasę panującą tylko wątła nadzieja, że gubernator Kalifornii zdoła zablokować transakcję, względnie, że uda się jakoś dogadać z nowymi właścicielami sławnej skrytki pocztowej na holenderskim lotnisku. Bo wdarcie się na Augustówkę z łomami, jak swego czasu na Woronicza, tym razem raczej nie wchodzi już w grę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O PRZEJĘCIU DISCOVERY/WARNER PRZEZ PARAMOUNT SKYDANCE ***PISZE PIOTR GOCIEK NA STR. 34.***

eprasa.pl 29d687f464

Muzeum na wyłączność



Piotr Semka

Wypowiedzi Dariusza Stoli, który wrócił na stanowisko szefa Muzeum Polin, sprawiają wrażenie, jakby był on przekonany, że Muzeum Polin zostało mu nadane raz na zawsze i ma do niego wręcz naturalne – można rzec – dożywotnie prawa



Profesor Dariusz Stola wskutek decyzji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego ponownie obejmuje stanowisko dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich Polin. Z tej okazji „Gazeta Wyborcza" przeprowadziła wywiad z nowym-starym szefem tej placówki. Stola traktuje tę rozmowę jako okazję do swoistego triumfu i uczczenia swego powrotu do instytucji, którą kierował wcześniej w latach 2014–2019.

„Odszedłem z muzeum nie z własnej woli. W 2019 r., po upływie pierwszej kadencji, wystartowałem w konkursie na stanowisko dyrektora, który wygrałem. Nie zostałem nim przez nielegalną bezczynność ówczesnego ministra kultury. Bezprawnie zignorował wyniki konkursu, który sam ogłosił, sam ustalił jego reguły, sam powołał skład komisji konkursowej, ale odrzucił jej werdykt. Po kilku miesiącach przepychanki zrezygnowałem, żeby bronić niezależności instytucji [...]. Wycofałem się pod warunkiem, że nowym dyrektorem zostanie mój ówczesny zastępca Zygmunt Stępiński. I tak się stało".

Odnosząc się do zarzutów o upolitycznienie podległego sobie muzeum w latach 2014–2019, które skłoniły ministra Glińskiego do rezygnacji z mianowania Stoli na szefa Polin, sam zainteresowany odpowiada tak:

„Powody, które [minister Gliński – przyp. P.S.] publicznie ujawniał, były albo fałszywe, albo celowo mętne. Zarzucił mi na przykład, że upolitycznieniem muzeum, ale żadnego przykładu tego upolitycznienia nie podał. Według mnie to była tylko zasłona dymna, minister zwodził pozostałych założycieli muzeum i opinię publiczną, bo od początku zamierzał się mnie pozbyć. Cechą rządów PiS było rozszerzanie władzy polityków nad instytucjami, w tym instytucjami kultury, co oznaczało łamanie zasad ich autonomii. To tendencja autorytarna, zmierzająca do rozszerzenia władzy rządu i polityków osobiście".

Język Dariusza Stoli jest bardzo ostry. Zarzuty o łamanie prawa miesza z sugestią, że wszelkie próby wpływania na placówkę przez ministra kultury z definicji są czymś skandalicznym. Jak się więc mają te twierdzenia do faktów?

CZŁOWIEK Z MISJĄ

Dariusz Stola urodził się w Warszawie w 1963 r. Jego lata studiów przypadły na najbardziej ponury okres rządów ekipy stanu wojennego. W 1982 r. ukończył prestiżowe warszawskie liceum im. Tadeusza Rejtana, po czym podjął studia na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Był to jeden z najbardziej opozycyjnych kierunków na tej warszawskiej uczelni. Stola zapisał ładną kartę w opozycji studenckiej, wchodząc do redakcji podziemnego pisma „Wola" i podziemnego pisma studentów NZS „Refleksy". W tamtym czasie bardzo modną i budzącą zainteresowanie tematyką było odkrywanie na nowo historii polskich Żydów. Dlatego tematem pracy doktorskiej Stoli była postać Ignacego Schwarzbarta – przedstawiciela polskich Żydów w Radzie Narodowej RP na emigracji w latach wojny.

Później Stola był autorem paru istotnych publikacji, na czele z książką „Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989", której spora część poświęcona była emigracji polskich Żydów po wojnie, w latach 50. i w szczególności w marcu 1968 r. Wszystkie te prace cechował wysoki poziom merytoryczny. I pod tym względem Dariusz Stola miał wszelkie kwalifikacje, by w roku 2014 być silnym kandydatem do stanowisko dyrektora nowo tworzonego muzeum Polin.

Jak wiele instytucji w Polsce jest to placówka, nad którą sprawują nadzór Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także prezydent Warszawy i Żydowski Instytut Historyczny. Cechą środowiska historyków są wyraziste

eprasa.pl 29d687f464



Profesor Dariusz Stola ponownie obejmuje stanowisko dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich Polin

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

podziały polityczne. Na dodatek kwestie badań nad historią Żydów tradycyjnie były domeną raczej obozu liberalno-lewicowego. Nie jest przypadkiem, że Dariusz Stola był doktorantem prof. Marcina Kuli, który reprezentował wyrazistą tendencję liberalną, niechętną wobec tradycji prawicowych. Kula był wychowawcą całej grupy młodych historyków, którzy potem realizowali politykę historyczną obozu Platformy Obywatelskiej. Charakterystycznym reprezentantem tej szkoły historycznej, zawsze chętnie angażującej się w bieżące spory polityczne, był Paweł Machcewicz. To właśnie Machcewicz został mniej więcej w tym samym czasie dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej i odrzucając wszelkie sugestie o rzeczową debatę nad kształtem muzeum, sprowokował ostry konflikt wokół tej placówki.

Podobnie stało się z Dariuszem Stolą. W 2014 r., za rządów Platformy Obywatelskiej, został zgodnie wybrany przez Ministerstwo Kultury, którym zarządzał wówczas minister Bogdan Zdrojewski. W wypadku Stoli nie było żadnych problemów z jego wyborem. Zarówno bowiem Ministerstwo Kultury, jak i warszawski magistrat kontrolowała Platforma, a Żydowski Instytut Historyczny kierowany był w tym czasie przez Pawła Śpiewaka. Co prawda zdystansował się on w pewnym momencie od środowiska Donalda Tuska, ale Stola jako doktorant prof. Marcina Kuli jak najbardziej pasował do typu wrażliwości historycznej prezentowanej przez Śpiewaka.

Stola stworzył muzeum, które poszło drogą środka. Skupiło się na pokazaniu różnorodnych aspektów bytowania społeczności żydowskiej na ziemiach polskich. Z jednej strony nie przemilczano konfliktów, z drugiej strony zachowano pewien umiar w pokazywaniu negatywnych stron relacji polsko-żydowskich. I wydawałoby się, że działania dyrektora Stoli w tej kwestii nie powinny być powodem ostrych polemik. Ale o ile szef placówki zachował pewną moderację w kształcie i treści wystawy stałej, o tyle wzbudził kontrowersje na innym, choć pokrewnym polu. Dariusz Stola jako przedstawiciel środowiska liberalnej inteligencji bardzo często zabierał głos w rozmaitych dyskusjach publicznych. Niekiedy były to wystąpienia, które przynosiły mu uznanie nawet po stronie prawicowej, jak np. jego podpis pod apelem o zbadanie i upamiętnienie tragedii ofiar obławy augustowskiej z 1945 r. W innych wypadkach budziły sprzeciw po prawej stronie, jak np. wtedy, gdy w 2016 r. podpisał list sprzeciwiający się apelom o odebranie Janowi Tomaszowi Grossowi wysokiego odznaczenia państwowego z powodu jego twierdzeń, że „Polacy w czasie wojny zabili więcej Żydów niż Niemców".

Szczególnie okres po objęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę wywołał u Stoli rodzaj gwałtownego wzmożenia politycznego. W marcu 2018 r. w muzeum otwarto wystawę o rocznicy antysemickiej kampanii marca 1968 r. Na koniec ekspozycji wprowadzono elementy nawiązujące do aktualnego sporu politycznego. Stola zaakceptował, by wystawę kończyły cytaty z wypowiedzi znanych publicystów: Rafała A. Ziemkiewicza i Magdaleny Ogórek, które autorzy wystawy uważali za antysemickie.

W tym czasie w muzeum doszło do debaty o mowie nienawiści, której głównym bohaterem był Adam Michnik. Zaproszony redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" bardzo wyraźnie nawiązywał do rządów PiS, snując analogie między marcem 1968 r. a obecnymi rządami prawicy. Wyraźne zamienienie rocznicy Marca '68 w monolog jednej strony politycznej debaty było na tyle wyzywające, że nawet zazwyczaj unikający ostrych sądów Piotr Zaremba (skądinąd kolega Stoli z jednego roku historii UW) napisał wówczas: „Podczas marcowych obchodów Polin otworzył szeroko podwoje wyłącznie dla środowisk krytycznych wobec polskiej prawicy przekonanych, że Marzec '68 powraca właśnie teraz, niedbających nawet specjalnie o dokumentowanie tej tezy. Innych głosów, innych ludzi, tam nie było". W reakcji na takie opinie dyrektor Muzeum Polin, broniąc się przed zarzutami o bardzo jednostronny liberalno-lewicowy skład dyskutantów, wskazywał, że zapraszał do dyskusji Piotra Skwiecińskiego, wówczas publicystę tygodnika „Sieci". Poprosił nawet Skwiecińskiego o publiczne potwierdzenie faktu, że otrzymał takie zaproszenie.

eprasa.pl 29d687f464

W odpowiedzi Skwieciński na portalu wPolityce.pl zaripostował stanowczo, choć ważąc słowa. „Skoro Dariusz prosi, potwierdzam: tak jest, zostałem zaproszony i po zastanowieniu odmówiłem, ponieważ przedstawiony mi skład dyskutantów był wybitnie jednostronny. Bowiem zaproszeni już uczestnicy, i zwłaszcza prowadzący [Sławomir Sierakowski – przyp. P.S.], to była wyłącznie radykalna szpica opozycyjna, co w połączeniu z tematem spotkania w mojej ocenie stwarzało wielkie prawdopodobieństwo, że w panującej atmosferze stałoby się to okazją do nadania dyskusji charakteru nagonki w modelu trzy na jednego". I dalej: „A wywołany do tablicy muszę z przykrością stwierdzić, że nachalnie aktualizujące zakończenie umiejscowionej w Polin wystawy o Marcu '68 (umieszczono tam »antysemickie« obecne wypowiedzi osób znanych medialnie) uważam za nieuczciwe. Bo nieuczciwe jest wszelkie sugerowanie stanu równości czy bodaj traktowanie na równej płaszczyźnie tego, co działo się w warunkach monopartyjnej dyktatury, mającej monopol na środki masowego przekazu, z tym, co dzieje się dziś".

I jeszcze jeden przykład pseudoobiektywizmu Dariusza Stoli. Wiosną 2017 r. Ruch Społeczny im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego zaproponował Muzeum Polin zorganizowanie konferencji na temat relacji polsko-żydowskich ze szczególnym uwzględnieniem okresu prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Inicjatywa ta wynikała z faktu, że Lech Kaczyński jeszcze jako prezydent Warszawy był współautorem i gorącym zwolennikiem stworzenia muzeum opowiadającego o relacjach polsko-żydowskich w ciągu wieków. Jak relacjonuje Jerzy Milewski, wiceprezes ruchu: „Dyrektor nie wyraził zgody na zorganizowanie naszej konferencji, uzasadniając to tym, że Muzeum Polin nie dopuszcza do organizowania na jego terenie konferencji o charakterze politycznym". Tak więc widać, że zasada Kalego stosowana bywa w całej rozciągłości.

SPÓR O DYREKTORSTWO

W 2019 r. skończyła się pięcioletnia kadencja Dariusza Stoli na stanowisku dyrektora Polin. Minister Piotr Gliński powołał komisję, która zarekomendowała ponowny wybór dotychczasowego dyrektora. Tymczasem minister kultury w rządzie Zjednoczonej Prawicy nie miał ochoty na kolejne pięć lat dyrektorowania kogoś, kto na różne sposoby wspiera opozycję. Minister mimo werdyktu komisji nie przychylił się do wniosku o ponowną kadencję dla Stoli. Czy miał do tego prawo? Podobne sytuacje zdarzyły się już parokrotnie. I zawsze w takich wypadkach ministrowie podnoszą argument, że jest luka prawna. Owszem, komisja decyduje o zaproponowaniu ministrowi kandydata, ale ostateczną decyzję podejmuje on sam. A bez jego nominacji do objęcia stanowiska nie może dojść. W prawie nie ma wskazania, że wynik konkursu zobowiązuje w bezwzględny sposób ministra do nominacji.

W wypadku dyrektorowania Muzeum Polin bardzo użyteczny jest zarzut o antysemickie podłoże krytyk

Sam Gliński odnosi się do tej kwestii tak: „Czym innym jest konkurs, czym innym jest mianowanie. I tak było np. za rządów ministra Zdrojewskiego. Komisja konkursowa wybrała na wicedyrektora Centrum Sztuki Nowoczesnej Zamek Ujazdowski Wojciecha Kaczmarczyka. Mimo tego Zdrojewski nie powołał go na to stanowisko. Całkiem niedawno doszło do awantury wokół wyboru szefa Muzeum Literatury w Warszawie. Wygrała pani Agnieszka Celeda z Muzeum Historii Polski, ale pani minister powołała żonę burmistrza Wawra wywodzącego się z PO".

Co charakterystyczne, Dariusz Stola oburzający się na to, że ktoś może mu przypisywać sympatie polityczne, sam nie przebiera w słowach, gdy chodzi o etykietowanie tych historyków, których nie obdarza sympatią. Tak było w wypadku mianowania prof. Grzegorza Berendta na szefa Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Na temat tej nominacji w wywiadzie na łamach kwartalnika „Więź" Stola mówił: „Co do nowego przewodniczącego Rady, pana Grzegorza Berendta, to mogę tylko powiedzieć, że to bardzo lojalny współpracownik rządu PiS, zasiada w wielu radach instytucji kultury, które ten rząd powołuje".

Trzymając się logiki Dariusza Stoli, można zatem spokojnie nazwać go „bardzo lojalnym współpracownikiem rządu Platformy", bo właśnie, po raz drugi już, zasiadł on w fotelu dyrektora Muzeum Polin, na które to stanowisko został powołany przez rząd z głównym udziałem PO przepoczwarzonej w Koalicję Obywatelską.

MUZEUM NA WYŁĄCZNOŚĆ

Wypowiedzi Dariusza Stoli sprawiają wrażenie, jakby był on przekonany, że Muzeum Polin zostało mu nadane raz na zawsze i ma do niego wręcz naturalne – można rzec – dożywotnie prawa. To przekonanie pozwala mu jednocześnie na bardzo wyraziste angażowanie się w konflikty polityczne, oczywiście zamaskowane wymówką, że podpisuje rozmaite apele jako osoba prywatna lub też wyznacza skład dyskutantów w rozmaitych panelach, bo są to oczywiście ludzie dobierani według kompetencji, a nie, broń Boże, jakichkolwiek sympatii czy afiliacji politycznych. Wytwarza się zatem sytuacja, w której albo u władzy jest Platforma i wtedy otrzymuje on nominację, albo w wypadku, jeżeli rządzi prawica, to każde zakwestionowanie jego prawa do dyrektorowania ogłaszane jest jako represja polityczna i zamach na autonomię instytucji. Jednocześnie ten sam Stola, oburzając się na jakiekolwiek wiązanie go z opcjami politycznymi, etykietuje nielubianych przez siebie innych historyków obraźliwymi określeniami sugerującymi pełną podległość polityczną.

To sposób działania wręcz łudząco podobny do stylu zachowania niegdysiejszego dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku Pawła Machcewicza, a po nim jego następcy obecnego szefa tej placówki Rafała Wnuka. Przy tym sposobie działania wymusza się same pochwały, a jeśli następuje krytyka – to natychmiast przyjmuje się rolę ofiary zagrożonej kampanią nienawiści. W wypadku akurat dyrektorowania Muzeum Polin bardzo użyteczny jest zarzut o antysemickie podłoże krytyk. Ten przepis na długie trwanie na kierowniczych stanowiskach stał się sposobem na życie całkiem sporej grupy historyków o sympatiach liberalno-lewicowych. Słowem, żyć nie umierać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.

SALONIK ZIEMKIEWICZA



SOBOTA
16:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 29d6871464



FOT. ADOBE STOCK

Oddziały zamknięte



Radosław Wojtas

Warszawa już likwiduje miejskie przedszkola, włodarze innych największych polskich miast w większości jeszcze odwlekają tę decyzję, ale już teraz mówią, że ze względu na katastrofę demograficzną nieuniknione będzie zamknięcie części publicznych żłobków i przedszkoli

Zamykanie porodówek (a w zamian dyżury położnych na szpitalnych oddziałach ratunkowych) stały się w ostatnim czasie jednym z symboli zapaści demograficznej, w jakiej od lat pogrąża się Polska. Proces ten – i jego tempo: tylko w cztery pierwsze tygodnie 2026 r. zlikwidowano 18 z 284 działających wówczas porodówek – przemawia lepiej do wyobraźni niż dane GUS, które każdego roku alarmują, że liczba porodów drastycznie spada. Kolejnym namacalnym skutkiem demograficznej zapaści może za chwilę stać się masowa likwidacja żłobków i przedszkoli, a później szkół podstawowych, zwłaszcza w największych Polskich miastach.

WARSZAWA PODDAJE SIĘ PIERWSZA

Sięgając po wojenną retorykę – co w wypadku kryzysu demograficznego obecnej skali nie jest przesadą – można powiedzieć, że Warszawa poddała się pierwsza. Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski, a wraz nim rada miasta podjęli niedawno decyzję o likwidacji kilku przedszkoli z powodu zmniejszającej się liczby dzieci.

– Decyzje o likwidacji lub wygaszeniu poszczególnych placówek nie są łatwe i zawsze przemawiają za tym konkretne argumenty. Pierwsze decyzje zapadły w listopadzie ub.r. Rada miasta podjęła decyzję o likwidacji jednego przedszkola i przekształceniu drugiego w przedszkole specjalne w dzielnicy Bielany. Na sesji 15 stycznia podejmować będzie decyzję w sprawie pięciu placówek w dzielnicy Śródmieście: likwidacji czterech, w tym połączenia jednego z innym przedszkolem oraz przekształcenia jednej placówki w przedszkole specjalne w związku z olbrzymim spadkiem liczby dzieci rekrutujących się do przedszkoli w tej

eprasa.pl 29d687f464

dzielnicy. A także z możliwością zapewnienia opieki wszystkim dzieciom w bliskiej okolicy, bo na terenie Śródmieścia przedszkoli i wolnych miejsc jest bardzo dużo – tłumaczyła jeszcze przed głosowaniem Renata Kaznowska, zastępczyni prezydenta m.st. Warszawy.

Śródmieście jest jedną z tych dzielnic Warszawy, w których liczba dzieci z roku na rok maleje najszybciej. „Każdego roku liczba miejsc przygotowanych w śródmiejskich przedszkolach nie jest w pełni wykorzystana – wyjaśnia urząd. – Zmniejszająca się liczba dzieci ubiegających się o przyjęcie do przedszkoli spowodowała, że w latach 2021–2025 w przedszkolach nie otwarto 36 oddziałów. Przy 3356 miejscach dostępnych w 2020 r. przyjęto 3024 dzieci, a już w 2025 tylko 2075".

Perspektywy na kolejne lata dla całej Warszawy nie są pod tym względem pomyślne. Prognozy demograficzne pokazują, że w porównaniu z obecnym rokiem liczba dzieci trzyletnich, które rozpoczynają edukację przedszkolną we wrześniu 2026 r, będzie mniejsza o blisko 2 tys. W tej chwili do 362 miejskich przedszkoli uczęszcza blisko 43 tys. dzieci. Liczbę wszystkich dzieci w wieku przedszkolnym w roku szkolnym 2025/2026 szacuje się na 64 995. W kolejnym roku będzie ich tylko nieco ponad 59 tys., a w roku 2028/2029 – już niecałe 49,5 tys.

Warto zaznaczyć, że dziś Warszawa przedszkola zamyka, a jeszcze niedawno je budowała (wciąż pięć placówek jest planowanych, a dwie są w budowie). Od 2018 r. w stolicy wybudowano 29 nowych miejskich przedszkoli.

Likwidacja placówek w Śródmieściu jest częścią szerszego planu, jeśli o jakimś dalekosiężnym planie może tu być mowa. „W najgorszym stylu" – tak „Gazeta Wyborcza" opisywała ubiegłoroczną „pierwszą w Warszawie likwidację przedszkola z powodu braku dzieci". Chodzi o Przedszkole nr 162 „Saski Zakątek". Kiedy rodzice dowiedzieli się, że władze dzielnicy mogą nosić się z zamiarem jego likwidacji i stworzyli petycję w obronie placówki, dzielnica odpowiedziała apelem w mediach społecznościowych pod hasłem „Stop dezinformacji": „[...] zarząd dzielnicy Praga-Południe nigdy nie nosił się, nie nosi i nie ma zamiaru zamknięcia, likwidacji czy wygaszania Przedszkola Saski Zakątek [...]". Nieco później wybrzmiał inny komunikat: „Z uwagi jednak na postępujący niż demograficzny nie będą, póki co, prowadzone nabory kolejnych roczników. Jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, to prawdopodobne wygaszenie Przedszkola numer 162 nastąpi we wrześniu 2029 roku".

STRACH SAMORZĄDOWCÓW

Dzięki sprzeciwowi rodziców ostatecznie nie doszło do planowanej likwidacji czterech przedszkoli w Poznaniu. Przynajmniej na razie. Informacja o planach samorządu trafiła do rodziców tuż przed Bożym Narodzeniem i była dużym zaskoczeniem, bo – jak przekonywali w mediach – wcześniej rekrutacja była prowadzona normalnie. Od razu zaprotestowali, pojawili się na Komisji Oświaty i Wychowania, na której to miejscy radni odrzucili wniosek Wydziału Oświaty Urzędu Miasta Poznania. Nie powstał więc nawet projekt uchwały o zamknięciu wytypowanych przez magistrat placówek. Zamiast tego radni zaproponowali rozwiązania doraźne, takie jak tworzenie mniej licznych grup.

Trudne decyzje odkładają na razie władze samorządowe innych dużych miast. O plany w kilku samorządach zapytała „Rzeczpospolita". – Na razie miasto nie podjęło decyzji o likwidacji przedszkoli ani żłobków. Ostateczne decyzje będą poprzedzone analizą wyników rekrutacji, która rozpocznie się w kwietniu – poinformowała Łódź. Dodając jednak, że „jeżeli obecny trend demograficzny nie ulegnie zmianie, w perspektywie pięciu–dziesięciu lat liczba miejsc w żłobkach może okazać się zbyt duża w stosunku do liczby dzieci". Częstochowa: „Liczba miejsc w przedszkolach, dla których organem prowadzącym jest miasto Częstochowa, jest większa niż liczba dzieci w danym roczniku. Nawet biorąc pod uwagę, że z przedszkoli w mieście korzystają też dzieci z okolic Częstochowy, których rodzice pracują w mieście. Jeżeli niekorzystna tendencja demograficzna się utrzyma, na pewno samorząd czekają w przyszłości decyzje dotyczące zmian w sieci placówek oświatowych". Lublin nie planuje wygaszania przedszkoli i żłobków. Poznań, mimo niepowodzenia pierwszych prób likwidacji, informuje, że „liczba miejsc w przedszkolach będzie wymagała korekty".

Tam, gdzie w grę wchodzą pieniądze publiczne, tam pośpiechu nie widać. Inaczej jest w biznesie. Jeszcze niedawno stworzenie prywatnego żłobka w dużym mieście było niemal stuprocentowo pewną inwestycją. Klienci sami ustawiali się w kolejce. To już przeszłość. Tylko między 2022 a końcem 2024 r. liczba żłobków i klubów dziecięcych działających w Polsce zmniejszyła się o ok. 7,7 proc. (z 5,3 tys. do 4,89 tys.). Inaczej – jeszcze – wygląda sytuacja w mniejszych miejscowościach, gdzie miejsc w żłobkach i przedszkolach nadal brakuje. Tam kryzysu demograficznego wciąż nie widać, czemu sprzyja fakt, że młodych rodziców często nie stać na kupno nieruchomości w dużym mieście, w którym pracują, i uciekają do podmiejskich „sypialni".

UNIKNĄĆ NIEUNIKNIONEGO?

Samorządowcy próbują się ratować np. tworzeniem zespołów szkolno-przedszkolnych, Ministerstwo Edukacji Narodowej przygotowało projekt otwierający możliwość tworzenia w szkołach miejsc dla lokalnej społeczności, zarówno takich jak żłobki, jak i takich jak środowiskowe domy pomocy. Partia Razem przygotowała projekt zmniejszający liczbę dzieci w grupach przedszkolnych.

Tylko że to wszystko przypomina walkę z dymem zamiast z ogniem. A pożar z roku na rok nabiera rozmiarów coraz większego żywiołu. Liczba ludności Polski na koniec 2025 r. spadła do poziomu 37 332 mln osób, co oznacza ubytek populacji o 157 tys. obywateli w skali zaledwie 12 miesięcy. Zjawisko to jest bezpośrednio napędzane przez drastyczny spadek liczby urodzeń żywych, który w 2025 r. osiągnął historyczne minimum ok. 238 tys. Jeszcze niedawno prognozy GUS zakładały na 2025 r. ok. 294,2 tys. urodzeń. Rzeczywistość okazała się zatem gorsza od prognoz o ponad 56 tys. dzieci.

Te same środowiska, które martwią się o znikające żłobki i przedszkola, apelują o liberalizację przepisów dotyczących aborcji. Już teraz w szpitalach w Polsce życie przed narodzeniem w wyniku aborcji traci średnio dwoje–troje dzieci każdego dnia. Głównie z powodu „zagrożenia zdrowia psychicznego kobiet".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Pod niebem Dubaju



FOT. ADOBE STOCK



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Polscy influencerzy kochają słynącą z bogactwa metropolię w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Niektórzy nawet tam mieszkają lub planują przeprowadzkę. W tle są niemałe zyski

Czy wyprowadzamy się na stałe do Dubaju? Tak! Zaraz po moim porodzie. Jeszcze nie wiemy dokładnie, czy to będzie kwiecień, maj, czerwiec czy lipiec. Te miesiące są cały czas takie ruchome, bo wiecie, jak to jest z noworodkiem. A do takiej generalnej przeprowadzki to wiecie, że trzeba być dobrze zorganizowanym. To jest przeniesienie całego domu, całego dobytku, również samochodu. To wszystko płynie w kontenerze do Dubaju. A z noworodkiem może być różnie, więc pozostawiamy sobie taką rezerwę czasową, ale będzie się to działo w najbliższych miesiącach" – ogłosiła niedawno „Lil Masti", czyli Aniela Woźniakowska. Na Instagramie obserwuje ją prawie 1,5 mln osób i choć dziś pokazuje treści przede wszystkim parentingowe (poświęcone rodzicielstwu), to internetową rozpoznawalność zyskała poprzez przeseksualizowane, wyuzdane nagrania.

To przeszłość. Aniela i jej mąż uzyskali rezydenturę Zjednoczonych Emiratów Arabskich – Emirates ID. W styczniu 2026 r. wraz z córką wybrali się do Dubaju, a wyjazd obszernie relacjonowali w mediach społecznościowych. „Dubaj stawia przede wszystkim na rodzinę" – zachwycała się Woźniakowska, pokazując prywatny pokaz iluminacji dronowych, który sprezentował gościom hotel. Influencerka nie mogła nachwalić się, jak bezpieczne jest to miejsce. – Z ciekawostek, pierwszy wagon metra jest dla kobiet i dzieci, dalsze dla mężczyzn. Mężczyźni nie mogą wchodzić do tego pierwszego, bo dostaną mandat – 100 dirhamów, czyli ok. 100 zł – opowiadała. Później mąż Woźniakowskiej wyjaśniał, że nie chodzi o segregację. – Nie, to jest przywilej dla kobiet. Jeżeli nie chcą być blisko z mężczyznami w wagonie. Kobiety mogą być w całym pociągu – mówił Tomasz. „Tomasz zawsze zabiera nas do Dubai Mall, do świetnej księgarni, gdzie są książki o wszystkim i we wszystkich językach świata" – relacjonowała „Lil Masti". Internetową gwiazdę w Dubaju zachwyca wszystko i – jak twierdzi – miasto to „żyje w 2080 r.".

Obecnie Woźniakowscy przebywają w Polsce i uważnie śledzą sytuację na Bliskim Wschodzie. – To, co jest dla mnie najważniejsze, to to, że mam informacje od wszystkich osób, które tam znam, że są bezpieczne. Takie informacje są dla mnie najważniejsze, a nie ten natłok wszystkich informacji, które nie do końca są potwierdzone – powiedziała influencerka. Iran zaatakował lotnisko w Dubaju. Do eksplozji doszło także m.in. w pięciogwiazdkowym dubajskim hotelu Fairmont The Palm,

eprasa.pl 29d687f464

gdzie ranne zostały cztery osoby. Hotel jest położony w niezwykle popularnej wśród turystów dzielnicy – to sztuczna wyspa w kształcie palmy, The Palm Jumeirah. W tym samym nagraniu „Lil Masti" potwierdziła, że nie zmienia planów. – My jesteśmy w Polsce, wyprowadzamy się za kilka miesięcy. Mam nadzieję, że to wszystko się do tego czasu uspokoi – podsumowała.

GOTOWI DO EWAKUACJI

W Dubaju, w trakcie ataku Iranu, przebywała też aktorka Agnieszka Włodarczyk z mężem, sportowcem Robertem Karasiem, i pięcioletnim synem. W 2024 r. para pobrała się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Karaś i Włodarczyk od wielu lat podróżują do Dubaju nawet kilka razy w roku i spędzają tam sporo czasu. On trenuje, ona cieszy się luksusami. Po ostatnich atakach Włodarczyk zaapelowała do fanów o spokój. „Proszę was, przestańcie panikować, bo to złe emocje, a ja ich nie potrzebuję. Tu, gdzie jesteśmy, jest OK. Zabezpieczyliśmy się w podstawowe rzeczy do picia, jedzenia i ja z Milanem idę do domu. Na mieście bardziej pusto niż wczoraj, może ze względu na niedzielę, a może nie. Ale starajmy się zachować spokój" – podkreślała. Później zapewniła, że są gotowi do ewakuacji.

„Zostaliśmy powiadomieni, dokąd iść, gdy będzie sygnał alarmowy. Plecak ewakuacyjny spakowany, ale staramy się normalnie funkcjonować" – napisała.

Tuż przed wybuchem wojny na Bliskim Wschodzie do Dubaju przybyła uznawana za jedną z największych influencerek w Polsce Angelika „Andziaks" Trochonowicz z mężem Luką i dwojgiem dzieci. W chwili, gdy wzajemne ataki już trwały, oni publikowali na Instagramie beztroskie obrazki z drogiej restauracji. „Hello. Dziękujemy bardzo za troskę. Dostajemy setki wiadomości od naszych widzów, za co jesteśmy mega wdzięczni. Noc przespaliśmy spokojnie w hotelowym łóżku. Obserwujemy sytuację i może niedługo nagramy coś więcej. Jeszcze raz dzięki! Doceniamy to bardzo" – przekazał Luka, uspokajając obserwatorów. Do swoich fanów zwróciła się też modelka Marcelina Zawadzka, która od kilku miesięcy mieszka w Dubaju. Zawadzka podkreśla, że wraz ze znajomymi wspierają się i są bezpieczni. „Dużo osób u nas teraz jest. Staramy się wspierać, nie siać paniki, więc informacje, które sobie przesyłamy, staramy się, żeby były rzetelne. Ja tutaj też nie będę wrzucała żadnych informacji, liczb ani dokładnych statystyk, co tu się dzieje, bo my cały czas też nie jesteśmy w stu procentach wszystkiego pewni. Wolimy spokojnie obserwować sytuację i zostać w miarę bezpiecznych miejscach i nie wychodzić z domu. Jesteśmy tu u siebie" – przekazała.

Dubaj to jedno z nielicznych miejsc świata, gdzie osoby fizyczne nie płacą podatku dochodowego

SPRAWDZIĆ DEKLARACJE PODATKOWE

Co przyciąga do największego miasta Zjednoczonych Emiratów Arabskich polskie (choć oczywiście nie tylko) gwiazdy? Po pierwsze luksus, bogactwo, masa „spotów", w których warto zrobić zdjęcie i nagranie. Poczucie, że jest się w mieście elit i krezusów. Po drugie, o czym pisze serwis bezprawnik.pl, kwestie podatkowe. Dubaj to jedno z nielicznych miejsc świata, gdzie osoby fizyczne nie płacą podatku dochodowego. „W Polsce, dla porównania, influencer zarabiający kilkaset tysięcy złotych rocznie oddaje fiskusowi 15 proc., 19 proc., a czasem i 32 proc. od nadwyżki ponad 120 tys. zł, a do tego dochodzą składki ZUS (które w 2026 r. znowu wzrosły), składka zdrowotna i 23 proc. VAT od usług reklamowych. Łącznie realne obciążenie podatkowe potrafi sięgnąć 40–50 proc. przychodów. W Dubaju te same pieniądze trafiają prosto do kieszeni twórcy […]. Nie trzeba składać deklaracji podatkowej, nie istnieje rejestr podatników PIT, a VAT wynosi symboliczne 5 proc." – czytamy. Aby skorzystać z dobrodziejstw systemu, należy najpierw uzyskać wizę rezydencką ZEA. Sposobów jest kilka, np. założenie spółki w jednej ze stref wolnocłowych, zakup nieruchomości powyżej ustalonej kwoty lub uzyskanie wizy freelancera. Trzeba się wykazać pobytem w ZEA przez co najmniej 183 dni w roku. Kolejny warunek – trzeba dowieść, że żyje się w Dubaju na serio. To wymaga np. otwarcia konta w banku lub wykupienia ubezpieczenia zdrowotnego. Następnie trzeba zgłosić do skarbówki w Polsce zmianę rezydencji podatkowej. W 2015 r. w życie weszła kluczowa zmiana, w ramach zawartej w 1993 r. między Polską a ZEA umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania. Po nowelizacji za osobę mającą miejsce zamieszkania w ZEA uważa się wyłącznie osobę, która jest obywatelem Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Uzyskanie obywatelstwa jest niezwykle trudne. „Być może polskie służby ratujące teraz influencerów z bombardowanego Dubaju powinny przed wejściem na pokład prosić o polskie deklaracje podatkowe. Potem ich oczywiście uratować i przekazać od razu odpowiednim organom skarbowym" – zauważa bezprawnik.pl, dodając, że rdzenni Emiratczycy to obecnie zaledwie ok. 20 proc. mieszkańców kraju. Niemcy podjęli już walkę z influencerami, którzy unikają płacenia podatków w ojczyźnie.

Trzecim aspektem są agencje influencerskie. Prosty, przyjemny i niemały zysk. „Dubaj ma dedykowane aplikacje pod influencerów. Działa to mega prosto: Ty publikujesz Story/Reels, oni dają Ci darmową usługę" – opisuje schemat Wojciech Kardyś, ekspert do spraw mediów społecznościowych. I wymienia dwie popularne aplikacje. Jedna to BuzzBee. „Pozwala influencerom (zazwyczaj wymagane min. 5k obserwujących, tak, tyle wystarczy) rezerwować darmowe posiłki w restauracjach, zabiegi w salonach piękności czy wejścia na siłownię w zamian za content (stories/post)". Drugą aplikacją jest The Clapp App: „Platforma łącząca marki z twórcami. Skupia się na szybkich kampaniach i dostępie do ekskluzywnych eventów oraz produktów w Dubaju". Są jeszcze inne platformy – jak Expin (sieć twórców), Collabstr („marketplace, udostępniasz swoje konto i czekasz na »zlecenie«") czy Moontech". Kardyś wskazuje, że koszt po stronie internetowego twórcy to jedynie zakup lotów, bo reszta – hotel, wyżywienie, atrakcje – jest za darmo. I dodaje: „Dubaj dzięki temu stworzył trend – miejsca, które trzeba odwiedzić, bo wszyscy tam latają. Proste. I to jest ta tajemnica poliszynela, dlaczego influ tak często tam latają".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Giganci





Piotr Gociek

Paramount kupuje Warner Bros. Co to oznacza dla widzów? Na początek koniec marki HBO Max

Każdemu jego własne zmartwienie. Politycy i polityczni komentatorzy zastanawiają się nad przyszłym losem CNN, a w Polsce nad losem TVN. Ekonomiści zerkają na giełdę. Prawnicy i urzędnicy spierają się: krok ku monopolowi czy wręcz przeciwnie, udaremnienie groźby monopolizacji rynku? A branża filmowa martwi się, jak będzie wyglądał nowy porządek? Oczywiście widzowie powinni najuważniej przyglądać się wieściom podawanym przez tych ostatnich.

Wszystko to wywołane zostało przez wielką fuzję na rynku mediów. Koncern Paramount Skydance kupuje Warner Bros. Discovery (WBD) za ponad 110 mld dol. Jeszcze w grudniu wydawało się, że z walki o WBD zwycięsko wyjdzie inny gigant: Netflix. Jednak Paramount należący do Davida Ellisona ostatecznie przebił ofertę Netflixa. Co dalej? Jak duże zmiany szykują się dla widzów chadzających do kin, dla subskrybentów serwisów streamingowych, dla widzów kablowych kanałów?

BEZSENSOWNE JEREMIADY

Zacznijmy od pytania o nadmierną dominację. Według danych z początku 2026 r. (podaję za serwisem JustWatch) największym graczem streamingu w USA jest Netflix, który ma w nim 20 proc. udziału. Tuż za nim jest Amazon (19 proc.). Kolejni gracze to Disney+ (14 proc.), HBO Max (13 proc.), Hulu (12 proc.), Apple TV+ (9 proc.) oraz Paramount+ (5 proc.). Jest tu jeden haczyk, otóż Hulu należy do Disneya, więc de facto koncern Myszki Miki kontroluje poprzez te dwa serwisy 26 proc. amerykańskiego rynku.

Gdyby doszło do zapowiadanego w grudniu połączenia Netflixa i WBD, ten pierwszy (przejmując HBO Max) kontrolowałby już 33 proc. rynku, wychodząc zdecydowanie na prowadzenie. Oznaczałoby to też, że dwóch graczy (Netflix i WBD oraz Disney i Hulu) kontroluje razem ponad połowę rynku w USA (33 + 26 = 59 proc.). Fuzja WBD z Paramount (13 + 5 = 18 proc.) oznacza, że konkurencja jest o wiele bardziej wyrównana: trzech gigantów podzieli się tortem w miarę równo: Netflix 20 proc., Amazon 19 proc., Paramount/WBD 18 proc., wciąż pozostając w cieniu wyników duopolu Disney/Hulu (26 proc.).

Jak widać, jeremiady senator Elizabeth Warren z Massachusetts nie mają sensu. To właśnie ta przedstawicielka Partii Demokratycznej stwierdziła, że „fuzja Paramount Skydance i Warner Bros. to katastrofa antymonopolowa, która grozi wzrostem cen i mniejszym wyborem dla amerykańskich rodzin". Jest dokładnie odwrotnie, pozycja gigantów zostaje osłabiona przez powstanie nowego silnego konkurenta. Ale wiadomo, że nie chodzi w tej szarży o prawdę, tylko o szukanie pałki na prezydenta Donalda Trumpa, który przychylnie miał patrzeć na ofertę Paramount, a nie Netflixa. Tymczasem z podanych wyżej liczb wynika wyraźnie, że amerykański Wydział Antymonopolowy powinien bardziej martwić się planami Netflixa, a nie Paramount. Z jednym wyjątkiem: po przejęciu WBD grupa Davida Ellisona będzie kontrolowała nieco ponad 30 proc. rynku dystrybucji kinowej, a to już wbrew waszyngtońskim regulacjom. Z drugiej strony amerykańscy kiniarze nie kryli

eprasa.pl 29d687f464

tańczą



FOT. ADOBE STOCK

w grudniu obaw przed Netflixem, uważając, że jego wygrana w tej wojnie oznacza ostateczny cios dla dystrybucji kinowej.

Tyle, jeśli chodzi o czysto biznesową część wielkiej fuzji. Co do spraw politycznych sprawa jest jasna, histeria lewicowo-liberalnych salonów sięga zenitu – oczywiście nie po raz pierwszy, mają w tym doświadczenie. Nieustannie płynie zatem fala hejtu wobec Trumpa i Davida Ellisona. Demokraci zapowiadają falę pozwów, by uniemożliwić fuzję, rozgrzani dziennikarze (jak Rick Ellis) wzywają widzów (co ciekawe – w Europie), by dzwonili z interwencjami do swoich posłów, mnożą się oskarżenia o cenzurę i wendetę, krótko mówiąc, cyrk na kółkach. Tak się bowiem składa, że Paramount nabywając WBD, stanie się tym samym właścicielem CNN (a w Polsce grupy TVN). I może np. ich politykę programową zmienić. Może, ale nie musi. Pisze o tym szerzej w innym miejscu tego wydania „Do Rzeczy" Rafał A. Ziemkiewicz.

Ale jakie zmiany szykują się dla widzów, którzy nie muszą być świadomi tego, kto, z kim i za ile łączy się lub dzieli, natomiast ciekawi ich, co nowego w ich ulubionym serwisie streamingowym? Pierwsza sygnalizowana zmiana to prawdziwe trzęsienie ziemi: David Ellison chce połączyć serwis Paramount+ z serwisem HBO Max, co de facto oznacza likwidację tej ostatniej marki. Szczerze mówiąc, gdy spojrzeć głębiej, nie jest to wcale takie szokujące posunięcie, dotychczasowe władze Warnera same od dłuższego czasu kręciły powróz na własną szyję.

Wyglądało to tak: najpierw rozszerzono kablową markę premium HBO o część internetową, tworząc HBO GO. Następnie zamieniono ją w HBO Max. Potem odrzucono człon „HBO" i został tylko Max, za to zaśmiecony programami koncernu Discovery, który tymczasem dokonał fuzji z Warnerem. Popatrzmy, jak przebiegało to w Polsce: marka HBO, która niegdyś kojarzona była z ofertą telewizyjną na najwyższym poziomie i która była wręcz synonimem oferty premium, stała się domem dla wygłupów Wojewódzkiego, kabotyństwa Magdy Gessler oraz drugorzędnych seriali TVN.

„How David Zaslav Blew Up Hollywood?" („Jak David Zaslav wysadził w powietrze Hollywood?") zastanawiał się w listopadzie 2023 r. „The New York Times", podsumowując nieco ponad rok działalności nowego CEO Warner Discovery. Otóż prawda była brutalna: jego zadaniem nie było rozwijanie czegokolwiek, tylko agresywne cięcie kosztów. Wyrzucił do kosza wiele projektów filmowych i telewizyjnych (mimo że były na ukończeniu lub gotowe) i ogłosił nową strategię, której celem było gonienie Netflixa metodami Netflixa. Prestiżowe przedsięwzięcia poszły w kąt, to, co świadczyło o wyjątkowości Warner Bros i kanałów HBO, przestało się liczyć. Nagle najważniejsze były produkowane za psie pieniądze dokumenty true crime, reality shows, tanie seriale. Symbolem pogardy Zaslava wobec wielkiej tradycji kinowej jego firmy niech będzie fakt, że jako pierwszy szef tej firmy w dziejach nie dopuścił do kinowej premiery nowego filmu Clinta Eastwooda („Przysięgły numer 2"), wrzucając świetny skądinąd dramat legendy Hollywood od razu do streamingu i tnąc wydatki na jego promocję.

Na krótką metę strategia okazała się skuteczna: Zaslav oszczędził setki milionów dolarów i zmniejszył dług firmy. Ale jednocześnie mocno osłabił fundamenty własnej firmy, która z każdym kolejnym posunięciem traciła to, co świadczyło o jej wyjątkowości i stawała się klonem Netflixa, tyle że z trochę ciekawszym archiwum (dorobek HBO). Brutalnie mówiąc: gdyby Zaslav był tak wielkim

eprasa.pl 29d687f464

geniuszem biznesu, za jakiego go uważano, kiedy został CEO, to w ubiegłym roku nie trzeba byłoby w panice szukać kupców na aktywa WBD, a to przecież okazało się jedyną drogą wyjścia z finansowych kłopotów. Ostatecznie Zaslav jednak triumfuje – dzięki hojności Davida Ellisona. Bo fuzja z Paramount Skydance wypełni pieniędzmi kieszenie dotychczasowych udziałowców Warnera.

POWRÓT ZŁOTYCH CZASÓW?

Bez wątpienia w jednej ważnej kwestii David Ellison będzie chciał prowadzić politykę odmienną od Zaslava czy Netflixa. Otóż nie ukrywa on, że chce inwestować w produkcję i dystrybucję filmów kinowych. Nowych tytułów ma być więcej, a do streamingu trafić będą mogły nie wcześniej niż po 45 dniach od premiery kinowej. Czy oznacza to powrót złotych czasów dla wszystkich zatrudnionych w kinowych studiach produkcyjnych Warner Bros i Paramount, dwóch legendarnych przecież, wizytówek Hollywood? Otóż nie, bo nawet przy większych nakładach na filmy kinowe po co Davidowi Ellisonowi dwie dublujące się struktury? Cięcia w zatrudnieniu zatem na pewno będą, zwłaszcza że na coraz większą skalę do produkcji wykorzystywana ma być sztuczna inteligencja.

Przechodząc do sektora streamingu, najważniejszego obecnie dla widzów – ile to będzie kosztowało? Myślę, że rzeczą naturalną będzie ustalenie ceny subskrypcji nieco powyżej kwoty płaconej dotąd za każdy z dwóch serwisów osobno, natomiast grubo poniżej kwoty, która mogłaby wyniknąć z prostego dodania opłaty za HBO Max do opłaty za Paramount+. Wszystko zależało będzie od tego, jak kształtuje się wysokość opłat miesięcznych u konkurencji. Tu dobra wiadomość dla Davida Ellisona – Disney+ i Netflix ceny podnoszą, będzie więc pole manewru.

Jeśli chodzi o polskiego widza, to sytuacja jest nieoczywista. Nie działa u nas osobno serwis Paramount+, a część jego oferty dostępna jest za pośrednictwem SkyShowtime. Mamy natomiast w kablówkach płatny dodatkowo kanał Paramount Network (dawniej Paramount Channel). Żeby było jeszcze ciekawiej, dostęp do SkyShowtime można wykupić jako dodatkową subskrypcję, korzystając z Amazon Prime. Fuzja Paramount i Warnera oznacza, że ten model się zmieni, trudno sobie wyobrażać, żeby koncern Ellisona działał na rzecz poszerzenia oferty programowej jednego ze swych głównych konkurentów.

Zatem oglądać będziemy produkcje z bibliotek Paramount przez osobny serwis, kwestią techniczną i promocyjną jest to, czy połączone zasoby obu gigantów nazwane zostaną „HBO Max" czy „Paramount+". Jakie to zasoby? Robi się ciekawie: Warner oprócz gigantycznej biblioteki klasyki filmowej to przecież całe zasoby HBO, łącznie z prawami do uniwersum „Gry o tron". To całe uniwersum Harry'ego Pottera oraz prawa do wszelkich ekranizacji komiksów DC i ich bohaterów. A to znaczy Superman, Batman, Wonder Woman (a także Scooby-Doo). To całe archiwum kreskówek Looney Tunes. To wciąż bijący rekordy w streamingu serial „Przyjaciele" itd.

Rozumiem tęsknotę konserwatystów za wielką zmianą w rozrywce, ale ona nie nadejdzie dopóty, dopóki sami jej nie przeprowadzimy

Natomiast Paramount to królestwo dochodowej telewizyjnej rozrywki: kanały Nickelodeon, MTV, Comedy Central. To telewizyjne uniwersum Taylora Sheridana, od „Yellowstone" po „Króla Tulsy". To wreszcie prawa do popularnych franczyz takich jak Transformers, Sonic the Hedgehog czy Teenage Mutant Ninja Turtles. A także uniwersum Star Trek czy serii Mission: Impossible. Z programowego punktu widzenia fuzja z Warnerem to dla Paramount znakomity pomysł. Te zasoby po prostu się dobrze uzupełniają. No i pamiętajmy też, że na tych rynkach zagranicznych, gdzie dotąd obecność marki Paramount była ograniczona lub wręcz znikoma, teraz poprzez „nabycie subskrybentów" HBO otwiera się nowa droga ekspansji.

Jak dotąd mówimy o tradycyjnych drogach dystrybucji rozrywki: kino, telewizja, kanały kablowe, no i… streaming, tak, streaming jest już dziś oczywistością. Granice imperium Davida Ellisona i jego ojca Larry'ego Ellisona sięgają jednak dalej niż granice Paramount i Warnera. Poprzez firmę Oracle posiada także udziały w TikToku, a to produkcja krótkich rozrywkowych treści dla social mediów postrzegana jest dziś jako przyszłość Hollywood. To właśnie inwestycje w ten sektor postrzegane są jako najbardziej opłacalne.

KONIEC IDEOLOGICZNYCH KRUCJAT?

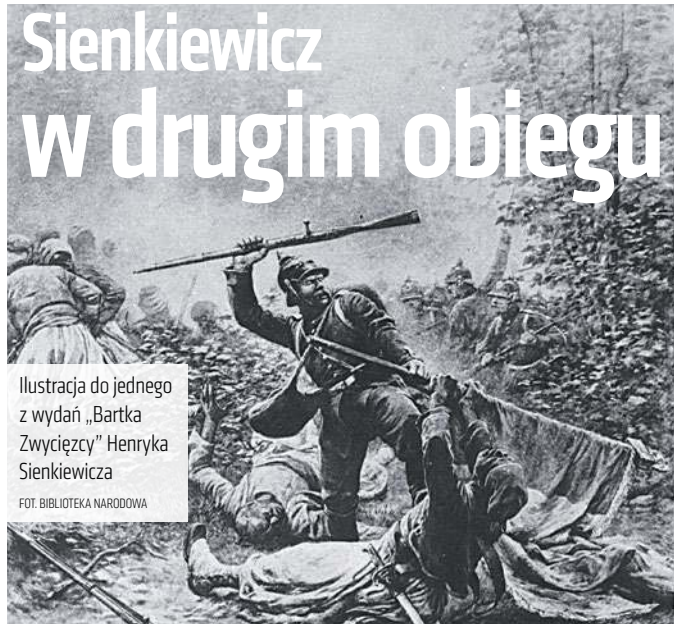
Wiemy już zatem, jak będzie docierała do nas oferta programowa nowego giganta Paramount/Warner. Ale czy należy oczekiwać w niej istotnych zmian? Takich na miarę oczekiwań licznych po prawej stronie krytyków Hollywood, pogrążonego coraz bardziej w woke, DEI i ideologicznych krucjatach? Otóż przypuszczam, że wątpię. Oto całkiem niedawno twórca najpopularniejszych wśród konserwatywnych widzów seriali, czyli Taylor Sheridan, opuścił Paramount i wybrał ofertę NBCUniversal. Autor „Yellowstone" nie dogadywał się z Ellisonem ani w kwestii nowych projektów, ani budżetów. Na razie na horyzoncie nie widać nikogo, kto równie dobrze jak on rozumiałby oczekiwania małomiasteczkowej Ameryki. Wyczekiwany jako konserwatywny zbawiciel, który skończy z politycznym szaleństwem Ellison, to przecież wciąż ten sam Ellison, w którego serwisie Paramount pojawił się niedawno najbardziej żenujący serial w dziejach franczyzy Star Trek serial „Gwiezdna Akademia". Możemy w nim obejrzeć Klingona transwestytę przebranego w sukienkę oraz zajęcia teatralne dla przyszłych oficerów Gwiezdnej Floty. Nie mówiąc już o niezliczonych szeregach irytujących girl bosses oraz zajmujących coraz więcej miejsca na ekranie parach homoseksualnych.

Nie bardzo wyobrażam sobie, skąd David Ellison miałby nagle wziąć dziesiątki, setki scenarzystów i reżyserów, by wszystko to odkręcać. Nie bardzo widzę powody, dla których miałby mieć na to ochotę, skoro zarabia na tym wszystkim (nawet jeśli ratingi tu czy ówdzie spadają). A będzie zarabiał jeszcze więcej (spójrzcie na komercyjny sukces serialu HBO o homoseksualnych hokeistach). Rozumiem tęsknotę konserwatystów za wielką zmianą w rozrywce, ale ona nie nadejdzie dopóty, dopóki sami jej nie przeprowadzimy. Imperium Ellisonów nas w tym nie zastąpi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Sienkiewicz w drugim obiegu



Ilustracja do jednego z wydań „Bartka Zwycięzcy" Henryka Sienkiewicza

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Krzysztof Masłoń

Z natury będąc realistą, a to w dzisiejszej sytuacji Polski tożsame jest z pesymizmem, nie pokładam większych nadziei w najbliższych wyborach, po których jakoby do władzy powróci PiS, robiący za premiera Donald Tusk uda się na emigrację, postkomuna dostanie po łbie jak nie sierpem, to młotem, lewactwo poddane zostanie deratyzacji, a ministra Barbara Nowacka wreszcie się spakuje, co życzliwie podpowiadam jej od dłuższego już czasu, niestety, mało skutecznie. Naturalnie dzieła Henryka Sienkiewicza jako największego polskiego prozaika powróciłyby wówczas triumfalnie do szkolnych lektur obowiązkowych, wydatnie pomagając w wychowaniu młodego pokolenia w duchu patriotyzmu.

To są jednak tylko pobożne życzenia, cóż z tego, że miłe sercu. Na razie warto może reaktywować drugi obieg i w nim publikować te utwory naszego noblisty, które w żaden sposób nie przystają do wymagań współczesnej edukacji, opartej – jak wiadomo – na zasadzie: „Im głupiej, tym lepiej". A w ramach wypisów ze zbójeckich ksiąg zakazanych proponowałbym na początek dwie nowele Henryka Sienkiewicza, np. „Niewolę tatarską" i „Bartka Zwycięzcę". Tom będzie nieduży, nawet w podziemnych warunkach poligraficznych stosunkowo łatwy do wydrukowania. Wielka szkoda, że śp. Mirosław Chojecki nie dożył tych chwil, bo pewnie wykorzystałby swoje doświadczenia z czasów sitodruku i pasty Komfort do obecnych wymagań.

Rekomendowane tu nowele na pewno nie są najważniejszą wizytówką ich autora. Można mieć jednak nadzieję, że sztandarowe utwory naszego najświetniejszego pisarza, jak „Quo vadis", „Krzyżacy", „W pustyni i w puszczy" czy, naturalnie, „Trylogia", po niezliczonych edycjach w latach minionych obecne są gdzieś na półkach domowych biblioteczek, choćby i w drugich rzędach. Inna sprawa, że pojęcie prywatnego księgozbioru staje się już jakby egzotyczne.

Ale ad rem. W „Niewoli tatarskiej (Urywkach z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego)" czytamy m.in.: „[…] Poganin, wedle języka naszego, jest jak gdyby bydlę albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego u ludzi, to i Bogu niemiło". Niepoprawne? Jeszcze jak, ale – proszę wybaczyć – co z tego? Czytajmy dalej o tych pohańcach: „Jeńców do Azji, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają: pozostałym trzód strzec każą, do robót ich używają, surowcem z byczej skóry biją i głodem morzą. Sami, próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztą dnia na czerepach końskich pokrytych kobiercami siedzą i ręce bezczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcej to się w prawo i w lewo kiwając".

Wielce interesujące są też różnice w traktowaniu wroga przez przedstawicieli różnych, choć bliskich nacji pomieszkujących Rzeczpospolitą. I tak pewnego dnia „Kozacy ze stanicy […] drzewo srogie na stepie zapaliwszy powiązanych Tatarów żywcem w ogień rzucali, tak każdym jakoby worem rozmachując. Owi Ałły swego wzywali na próżno, od tych zaś, którzy się już piekli, swąd wielki rozchodził się po stepie, a Kozaczkowie, jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz tej swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami po prostu pościnać […]". No przecie.

Odnośnie do niegdyś ochoczo popularyzowanego „Bartka Zwycięzcy" tytułowy bohater tego opowiadania, nie za mądry (nie bez powodu nazywany Głupim Bartkiem), za to obdarzony niemałą siłą chłop z wielkopolskiej wsi Pognębina, wcielony do pruskiego wojska i rzucony na wojnę z Francją, wiedział, że nieznany mu naród, z którym przyszło mu walczyć, to „musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze". Na wojnie zasłużył się Niemcom i nawet pochwalił się w liście do żony, że „jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom, i babom nie przepuścili, i ja też. Kościół ci się spalił do cna, bo ony są katoliki, i ludzi się popiekło niemało". Dostał za to odpowiednią reprymendę od małżonki: „Ażeby cię Bóg pokarał! Tyś sam kiep, poganinie, kiedy naród katolicki na spółkę z kasztanami mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty, katolik, im pomagasz".

Po powrocie do domu Bartek przekonał się, co naprawdę osiągnął. A dokonał tego miejscowy nauczyciel, niejaki Boege. Syn Bartka o nim ojcu opowiadał: „Nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk, i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec święty, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyczeć, a on nawymyślał mi od polskich świń i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały…".

Stanisław Cat-Mackiewicz w „Europie in flagranti" (a jakże!) pisał: „Stosunek dziecka do religii kształtuje się na pacierzu, stosunek dziecka do Polski – na Sienkiewiczu. Popularność powieści Sienkiewicza u dzieci, u ludu, u żołnierzy była tak duża, że można go nazwać wielkim polonizatorem".

Bo i takim był, a wpływ, jaki wywarła jego „Trylogia" na wzmocnienie naszej świadomości narodowej, jest wręcz niewyobrażalny. Dlatego przymierzając się do wznowienia podziemnego ruchu wydawniczego, zacznijmy od Sienkiewicza. W końcu z niego my wszyscy. O Mickiewiczu, oczywiście, nie zapominając.

©℗

eprasa.pl 29d687f464

Popyt na harpie



Monika Małkowska

Lista pań, które dziennikarsko rozkwitły po wtargnięciu do TVP „silnych ludzi", znacząco się wydłużyła. Wysyp talentów? Czy nagrody za przekonania?

Półmetek rządów „drugiego Tuska" musiał prowadzić do emocjonalnego wzmożenia po obu stronach barykady. Dziennikarzom w to graj – przecież we współczesnych mediach nie liczy się prawda, tylko narracja. Im bardziej zażarta, tym lepsza oglądalność. Bo choć udajemy oświeconych Europejczyków, to w istocie buzują w nas barbarzyńskie instynkty. Rzymianie domagali się walk gladiatorskich, Hiszpanie corridy, my łakniemy freak fightów na wszystkich antenach i kanałach.

To już stało się standardem większości (wszystkich?) mediów: tuż po przedstawieniu gości, a właściwie już podczas prezentacji, zaznacza się podział na „swojaków" i „wrogów": tych pierwszych wita się z tytułami naukowymi (jeśli mają), a adwersarzy pozbawia się tej uprzejmości. Natychmiast po wrzuceniu pierwszego tematu temperatura w studiu rośnie tak, że gdyby jajka mogły lewitować, można by je gotować nad głowami uczestników. O kulturze dyskusji zapomnieć; o równowadze czasu na wypowiedzi także – przewagę w dostępie do mikrofonu mają ci, którzy reprezentują front popierany przez daną redakcję. To determinuje aurę debaty, a raczej słownej nawalanki. Nie chodzi o spokojne wyłożenie racji przez obie strony – argumenty nikną w zgiełku, którego akceleratorem jest… prowadząca. Wiem, panowie dziennikarze też niejedno mają za uszami i dalecy są od koncyliacji, to żadna nówka. W końcu Kuba Wojewódzki niejednego gościa doprowadził do płaczu, ale jego szarże uchodzą za koloryt lokalny TVN. Tym razem pragnę zwrócić uwagę na zjawisko wykwitłe po przejęciu władzy i mediów przez koalicję 13 grudnia: opanowanie mikrofonów przez dziennikarskie harpie.

PRAMATKA ZŁYCH KOBIET

Pamiętacie słynny dialog z „Psów", kiedy Franz Maurer pytany jest o przyczynę rozstania z żoną? „Bo to zła kobieta była". No, zdarzają się takie. I niejedna z nich stawia na karierę w mediach, jako że tam wrodzona bądź wyćwiczona napastliwość przekłada się na kasę. Prototypem dziennikarskich agresorek z pewnością była Monika Olejnik, która już w latach 80., do roku 2000, prowadziła „Salon polityczny Trójki", by wkrótce opanować mały ekran TVP1, a następnie TVN, gdzie jej „Kropka nad i" (od 2006 r.) gości do tej pory. To ona wykreowała styl pięknej jędzy, „która się nie gryzie w język" i deprymuje polityków zaczepną dociekliwością, ale (tu komplement) idącą w parze z perfekcyjnym przygotowaniem. Jej doskonała kondycja fizyczna, designerskie ciuchy, wysokie szpile i długie, „nieujarzmione" blond włosy – wszystko to współtworzy image dziennikarskiego demona. Już za „pierwszego Tuska" i neoliberalnej dominacji Monika O. stała się gwiazdą, a zarazem ciekawostką na dziennikarskim firmamencie. W kontekście wielu innych aspirujących medialnie pań, nieśmiało moszczących sobie miejsca w programach o społeczno-politycznym profilu, była jak rosiczka w ogrodzie angielskich różyczek. Wchłaniała rozmówców, dominowała, „zjadała" – podczas gdy inne redaktorki starały się zachować uprzejmie i nie przerywały gościom. Większość tych pań została wygryziona przez młode (już dziś średnio młode) przegryzaczki gardeł. Dzisiejsze dziennikarskie czempionki liczą nieco ponad czterdziestkę, czyli już z doświadczeniem, ale też ze świadomością „now or never". A Olejnik trwa.

Kto oglądał serial „Dynastia", ten nie zapomniał Alexis Carrington, urodziwej zołzy zdolnej do różnych matactw dla osiągnięcia zamierzonych celów. Za pośrednictwem tej mydlanej opery o niesłychanej sile rażenia zaimplementowany został nad Wisłą wzorzec podłej, a skutecznej kobiety. Repliki Alexis przeniknęły do mediów, co jeszcze dwie dekady temu wydawało się niemożliwe. Wtedy jeszcze obowiązywały prowadzących bon ton oraz obiektywizm.

Dziś te cechy reprezentują nieliczne damy dziennikarstwa, jak np. Beata Lubecka. Jednak większość redaktorek „idzie na rympał", ignorując elegancję i żonglując faktami. Przeszły kurs socjotechniki czy jak? Potrafią manipulować wypowiedziami zaproszonych gości, jednych wprawiając w konfuzję, innym podnosząc poziom adrenaliny. Mieszają sprawy ważkie z błahostkami, tak by niewygodne tematy utknęły na mieliźnie. Albo maniacko zawieszają się na wydarzeniach niemających związku z omawianą sprawą, jak np. Dorota Wysocka-Schnepf na gaszeniu chanukowych świec przez Grzegorza Brauna.

Czy ich metody komuś przeszkadzają? Sądząc po komentarzach internautów – niektórym tak. Drażni zwłaszcza niedopuszczanie zaproszonych do głosu. „Na ten weekend zapisałem panią na kurs nieprzerywania gościom programu. Postoi pani z kneblem dwa dni, to może coś prze-

eprasa.pl 29d687f464



Monika Olejnik deprymuje polityków zaczepną dociekliwością FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

skoczy w głowie" – napisał ktoś w reakcji na szczególnie aroganckie zachowanie Agnieszki Gozdyry w Polsat News. Tylko… ona ma to z tyłu. Doskonale wie, że symetryzm nikogo nie kręci, odbiorcy żądają krwi i igrzysk. Także inne agresorki sterujące studyjnymi debatami są tego świadome. Efekty? Goście się gotują, zaperzają, przepychają słownie i głosowo, a meritum sprawy odpływa w siną dal. Toteż zamiast poważnych, rzeczowych rozważań mamy magiel. A że obecnie polityczne racje rozgrywa się nie rozumowo, lecz na bazie emocji, panie i panienki z rozpalonymi do białości mikrofonami mają branie.

POCZĄTKI ŻYWIOŁU

Dawne primadonny dziennikarstwa, nieco minoderyjne, ale urocze i dystyngowane, obniżały w studiu głos do granicy intymności, kreując aurę jak na randce zakochanych. Pozwalały gościom na nielimitowane czasowo wynurzenia (oczywiście w ramach audycji), co mile łechtało ich ego i wyzwalało szczerość. Były to czasy, kiedy studyjne nagrania poddawano obróbce: w montażu wycinano przydługie oddechy, chrumkania czy przydługie „yyy". Po tych zabiegach każdy wychodził na Demostenesa, a prowadząca – na dyskretnego spowiednika. Sięgając jeszcze dalej w przeszłość, warto przywołać wywiady Ireny Dziedzic w „Tele-Echu". Tamte pretalk-show przypominały kontredans słowny. Nic dziwnego – madame Dziedzic samodzielnie układała pytania oraz odpowiedzi i biada uczestnikowi programu, jeśli nie zastosował się do wytycznych prowadzącej.

Zaraz po naszej ustrojowej transformacji nastąpiła medialna rewolucja. Tradycyjne anteny i rejestrowane zawczasu programy zaczęły cuchnąć stęchlizną. Wraz z wysypem prywatnych stacji i realizowanych na gorąco programów także publiczne media musiały się przeorganizować. Szło to opornie, ponieważ redaktorzy nawykli do montażu nie radzili sobie z żywiołem gości lub/i reagowaniem na telefony słuchaczy. Wtedy zaczął się wykształcać nowy typ redaktora pistoleta, doskonale zorientowanego w poruszanych tematach, ale też z półaktorskim talentem oraz żyłką improwizatorską. To była najwyższa półka dziennikarskiego fachu – znać fakty, panować nad gośćmi (na żywo i przez telefon) i samemu nie dać się wepchnąć na żadną minę.

Niedawno męskie czwórgrono rozważało w Kanale Zero, która ze znanych dziennikarek zasługuje na miano najpropagandzistki obecnej władzy. W szranki stanęły Justyna Dobrosz-Oracz i Renata Grochal. Wygrała ta pierwsza, jako że

Kto oglądał serial „Dynastia", ten nie zapomniał Alexis Carrington, urodziwej zołzy zdolnej do różnych matactw dla osiągnięcia zamierzonych celów

szybsza w nogach i bardziej upierdliwa. A ja pytam: Dlaczego tylko dwie zawodniczki? Proponuję rozpisać ogólnopolski, międzymedialny plebiscyt na zwyciężczynię w kategorii „publicystyczna harpia". Wedle starożytnych Greków harpie były to skrzydlate demony żeńskie, półkobiety, półptaki, o wyjątkowo paskudnym charakterze; zwłaszcza specjalizowały się w dręczeniu tych, którzy podpadli bogom. Ich wygląd idealnie przystaje do wizerunku obecnych dziennikarskich gwiazd: w górnej połowie swej postaci prezentowały się powabnie – jędrny biust i bujne sploty, ale w dolnej części trochę kura…

MISTRZYNIE PRZEGRYZANIA GARDEŁ

Nasze protagonistki polityczno-medialnych debat także posiadają imponujące grzywy lub pukle, najczęściej koloru blond. Na ogół są fit – choć nie do końca wiadomo, jakie tajniki figury ukrywa stół, na którym stoi mikrofon. A choć nad wypracowaniem ich silnej jak cios urody trudzą się specjaliści, a głosy ustawiają nauczyciele emisji i logopedzi, to o sukcesie w mediach przesądza charakter. Muszą być zdeterminowane, agresywne niczym lwica broniąca progenitury, bezwzględne i politycznie zabetonowane.

Publicystyczne harpie reagują histerycznie na gości reprezentujących poglądy odmienne od ich punktu widzenia. Przerywają zatem adwersarzom krzykiem; zadają pytania jak ciosy, w których miast wątpliwości pojawia się teza. Najostrzejsze zawodniczki nie wahają się przyprzeć pytanego do drzwi toalety (przypartego fizjologią) – jak Justyna Dobrosz-Oracz Grzegorza Brauna. Jednak większość redaktorek nie ćwiczy pośladków na sejmowych schodach – okopują się w bezpiecznym bastionie telewizyjnego lub radiowego studia. Z „tego miejsca" wygodniej uprawiać propagandę. Wzorcowym brakiem obiektywizmu wykazuje się Kamila Biedrzycka, gwiazda „Super Expressu" i TVP Info, której napastliwy tembr głosu działa na gości jak doping. W większości programów perswazyjność wspomagana jest techniką – ilustruje się omawiany temat obrazami i dźwiękami wzmacniającymi narrację. Czasem dobrze posiłkować się jadowitym żartem – jak Katarzyna Kasia, siejąca „Kwiatki polskie" na antenie TVP, która onegdaj porównała jeszcze kandydującego na prezydenta Karola Nawrockiego do… kiczowatej maskotki Labubu, co „dowiodła" montażowym trickiem. Z kolei Magdalena Pernet w „Wykrywaczu kłamstw" posiłkuje się zmanipulowanymi faktami, zaprzeczając tytułowi programu. Znamienne: lista pań, które dziennikarsko rozkwitły po wtargnięciu do mediów „silnych ludzi" znacząco się wydłużyła. Wysyp talentów? Czy nagrody za przekonania?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Łapacz z Montany



★★★☆☆☆

SEZON 1
„MARSHALS: HISTORIA Z YELLOWSTONE” („MARSHALS”)
USA 2026

wyst. Luke Grimes, Logan Marshall-Green, dystr. SkyShowtime

John Dutton nie żyje, serial „Yellowstone” – też, ale pozostało serialowe uniwersum, które będzie rozbudowywane tak długo, jak widzowie będą mieli na to ochotę. Czekają nas zatem seriale: „The Dutton Ranch” o losach Beth i jej męża Ripa, „6666” o mieszkańcach teksańskiej posiadłości Duttonów oraz „1944”, czyli kolejny (po „1883” i „1923”) prequel „Yellowstone”. Teraz własną odcinkową opowieść dostał Kayce Dutton grany przez Luke’a Grimesa.

Jak pamiętają widzowie głównego serialu, ów kowboj, były komandos i mąż Indianki z miejscowego rezerwatu zdecydował się ostatecznie odciąć od walki o schedę po seniorze rodu (znaczy po Kevinie Costnerze) i zostać na swoim (East Camp). Serial „Marshals” resetuje jego historię jeszcze bardziej: stracił żonę, wychowuje samotnie syna, który wcale nie chce być ranczerem i pogrążony jest w głębokiej traumie. Z tego stanu wytrąca go wizyta starego kumpla z wojska, który obecnie pracuje jako U.S. Marshal (United States Marshals Service to najstarsza federalna służba zajmująca się łapaniem groźnych przestępców).

Taylor Sheridan, twórca oryginalnego „Yellowstone”, nie ma już z tą produkcją nic wspólnego, przedsięwzięciem kieruje Spencer Hudnut, twórca m.in. serialu „SEAL Team”. „Marshals” to już nie melodramatyczna opera mydlana zmiksowana z westernem noir, lecz rutynowa telewizyjna robota o grupie speców rozwiązujących zagadki kryminalne (w każdym odcinku innej). Powtórka z rozmaitych klonów „CSI”, „Bez śladu” itd., tyle że głównymi bohaterami są wojenni weterani, a nie agenci FBI. Jak mówi ich dowódca Calvin (Logan Marshall-Green), chcą odkupić dawne winy (w domyśle: mokrą robotę wykonywaną podczas tajnych misji zagranicznych).

Takie opowieści działają tylko wówczas, gdy oprócz perfekcyjnie podanej znajomej formuły serial dźwigają charyzmatyczni aktorzy w rolach głównych. Jest z tym kłopot: Luke Grimes zdobył sławę dzięki „Yellowstone”, ale był tam częścią świetnie skonstruowanego większego ansamblu aktorskiego. Tutaj widzimy go na tle postaci nijakich. Nikt o to nie prosił, nikt się tego nie spodziewał, ale dziś w show-biznesie wszystko, co jest choć odrobinę znane, zawsze wygra z tym, co nowe, więc nieznane. ©℗

GRA TYGODNIA: „FINAL FANTASY VII REMAKE INTERGRADE”

Najwyższe pochwały należą się twórcom nowej wersji legendarnej gry jRPG, i takie pochwały na tych łamach już się pojawiały przy okazji premiery wersji na PC. Posiadacze konsoli Nintendo musieli poczekać dłużej, ale było warto. Switch 2 dźwiga tę produkcję, choć nadal ma swoje ograniczenia. Gra działa płynnie i wygląda bardzo dobrze, zwłaszcza w trybie przenośnym. Do pełni szczęścia brakuje trybu 60 FPS, ale stabilne 30 klatek przy tak wymagającym tytule jest akceptowalne. A samo „FF VII” – cóż,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

nie bez powodu uważane jest za jedną z najważniejszych gier wszech czasów.

©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *jRPG*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Square Enix, Cenega*

eprasa.pl 29d687f464

Ostatni dzwonek

KINO



★★★★★★

REŻ. DAVID BORENSTEIN, PAWEŁ TAŁANKIN
„PAN NIKT KONTRA PUTIN" („MR. NOBODY MOD PUTIN")
DANIA/CZECHY 2025

Życie codzienne w putinowskiej Rosji. Nie w Moskwie czy Petersburgu, lecz na Uralu, konkretnie w Karabaszu cieszącym się wątpliwą sławą „najbardziej toksycznego miasta na świecie". Pasza Tałankin przyzwyczaił się do życia w cieniu dymiących kominów kombinatu miedziowego. Nawet je lubi. W miejscowej szkole zajmuje się „koordynacją wydarzeń", co daje mu pretekst do szwendania się z kamerą i rejestrowania poczynań ziomków. Niestety, po rozpoczęciu „specjalnej operacji" atmosfera w szkole się psuje. Centrala naciska na wzmożenie edukacji w duchu patriotycznym, czyli pranie młodocianych mózgów. W wygłaszaniu pogadanek o konieczności denazyfikacji Ukrainy i nędzy, w jaką wpędza się Europa, nakładając sankcje na Rosję, przoduje nauczyciel historii o niezbyt rosyjskim nazwisku. Dla niego bohaterami godnymi naśladowania są towarzysze Beria, Abakumow oraz Sudopłatow. Prowojennym wiecom towarzyszą postępująca militaryzacja, szkolne apele, pieśni o zwycięstwie i nachalny kult Armii Czerwonej tudzież zawody w rzucie granatem. Władza hoduje przyszłe mięso armatnie. Pasza bezradnie obserwuje, jak jego koledzy i dawni uczniowie są wcielani do armii (lub sami się do niej zgłaszają, nie widząc dla siebie perspektyw na zabitej deskami prowincji). Ludzie stają się nieufni, patrzą na domorosłego filmowca spode łba. Tałankin, pozujący na „ostatniego demokratę", zaczyna przypominać Lucusia z opowiadania Mrożka. Sam uważa się jednak za Stirlitza. Przemyca nakręcony materiał za granicę, jednocześnie potulnie wykonując polecenia propagandystów. Kto uwieczni spotkanie dzieci z ciekawymi ludźmi, czyli wagnerowcami? Oczywiście Pasza.

Dzisiaj nasz bohater mieszka w Czechach. Może nawet dostać Oscara, gdyż film zmontowali fachowcy z Kopenhagi świetnie znający gust zachodniego widza. Ameryka i Europa tak właśnie chcą widzieć Rosjan: jako dobrych ludzi zastraszonych przez reżim. Jeśli KGB dotąd nie interesowała się mieszkańcami Karabasza, to teraz zapewne naprawi swój błąd. Bandyta z Kremla wcześniej czy później wyląduje w piekle. Wśród bibelotów, zdobiących szkolny gabinet Paszy, zauważyłem jednak memento – fotkę Putina z napisem: „Będę z tobą wiecznie". ©℗

Wiesław Chełminiak

RODZINNE WIĘZY

Tommy Gun sieje zgorszenie w londyńskich dyskotekach, jednak do czasu. Pewnej nocy 19-letniego dekadenta dopadnie nemesis w osobie flegmatycznego Chrisa, zwolennika tradycyjnych metod wychowawczych, gdzie autorytet buduje się przemocą. Resocjalizacja polega również na lekturze odpowiednich książek, wyrzeczeniu się wulgaryzmów i uznaniu racji gospodarza. Zwolennicy poglądu, że młodych lepiej trzymać na krótkim łańcuchu, będą tym filmem zachwyceni. Forma jest nieco teatralna, treść zahacza o prowokację (lepsza patologiczna rodzina niż żadna?). „Dobry chłopiec" nawiązuje do „Mechanicznej pomarańczy", ma pazur wczesnych filmów Polańskiego. Paralele godne pochwały, szkoda tylko, że Komasa dla efektu gotów jest poświęcić wiarygodność postaci oraz świata przedstawionego. Syndrom sztokholmski jest przereklamowany. ©℗



KINO

★★★★★★

REŻ. JAN KOMASA
„DOBRY CHŁOPIEC"
WIELKA BRYTANIA/ POLSKA 2025

wyst. Anson Boon, Stephen Graham, Andrea Riseborough



RADOSŁAW WOJTAS

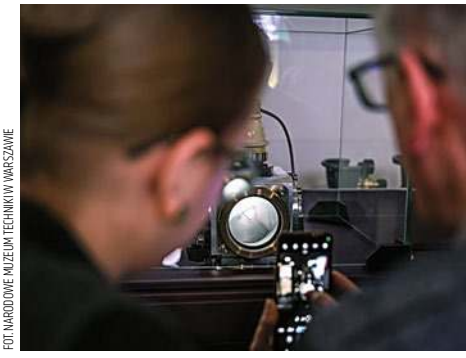
DO ZOBACZENIA

Trochę techniki

GDZIE? ***Narodowe Muzeum Techniki w Warszawie***
KIEDY? ***wystawy stałe***

Największe w Polsce muzeum techniki szczęśliwie dotrwało do 2026 r., by mogło zaprezentować wystawę na 250-lecie muzealnictwa technicznego w Polsce. Nie dotrwałoby, gdyby szczęściu ktoś nie dopomógł, ale nie miejsce tu, by przypominać, jak to minister Gliński i rząd PiS dali drugie życie zadłużonemu po uszy muzeum. Najważniejsze, że gromadzone przez lata zbiory dostępne są dla publiczności.

Dwie nowe wystawy stałe to „Historia muzealnictwa technicznego na ziemiach polskich" oraz „E = mc^2 – wzór, który zmienił świat". Pierwsza z nich prezentuje 250 lat dziejów polskiego muzealnictwa technicznego. Znalazło się na niej niemal 350 eksponatów. Pokazanie historii polskiej myśli technicznej w europejskim kontekście zwraca uwagę na wyraźną dysproporcję pomiędzy skalą polskich dokonań a stopniem ich muzealnej prezentacji.



FOT. NARODOWE MUZEUM TECHNIKI W WARSZAWIE

Druga ekspozycja poświęcona jest jednemu z najważniejszych równań w historii nauki oraz jego wpływowi na technologię, energetykę i współczesną cywilizację. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sopliców choroba

„Piękna nasza Polska cała, piękna, żyzna i… wystarczy” – ten kabaretowy wygłup przypomniał mi się, gdy podczas lektury książki prof. Wojciecha Polaka pt. „Polski my naród” w rozdziale poświęconym naszym tradycjom kulinarnym natrafiłem na zdanie: „Kuchnia polska jest oczywiście najlepsza na świecie”. Wprawdzie, podobnie jak autorowi, bliskie jest mi pochlebne zdanie Adama Mickiewicza o Soplicach, którym – jak wiadomo – „oprócz Ojczyzny nic się nie podoba”, ale nie sądzę, byśmy swego patriotyzmu dowodzić musieli, zajadając ziemniaki, do smażenia używając wyłącznie oleju rzepakowego, a wszystko popijając choćby i najznakomitszą starką.

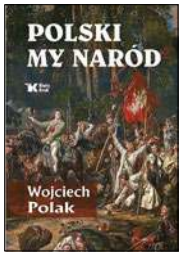
Ale taka książka jak „Polski my naród” jest potrzebna i to bardzo. Profesor Polak apeluje bowiem o to, co powinno być oczywiste. O dumę z naszej wiary, kultury, tradycji, języka, obyczajów, zabytków i skarbów narodowych, a nawet – powiada profesor – „piękna ziemi i przyrody”. Niestety, chociaż jeszcze w smutnych latach PRL wydawało się to oczywiste, dziś jakże często zastępowane bywa pedagogiką wstydu. Skażeni nią rodacy przyjmują za wiarę twierdzenia, jakobyśmy byli narodem zacofanym cywilizacyjnie, nietolerancyjnym, a już szczególnie antysemickim, antymodernizacyjnym i nienadążającym za światowymi prądami społecznymi i nowoczesnymi ideologiami (gender!), w ogóle do niczego. Łeb posypać popiołem, przyklęknąć i sumiennie wykonywać to, co ci prawdziwy Europejczyk każe. Dla twojego dobra i dobra twojego państwa.

Czy jednak rzeczywiście mojego, twojego, naszego? „Polak do dzisiaj odróżnia państwo od ojczyzny. Mówiąc szczerze, władze państwowe robią wiele, aby swoimi absurdalnymi działaniami podtrzymać takie rozróżnienie” – czytamy. Tak właśnie jest, nie inaczej. Od siebie dodam, że nic tak nie doprowadza mnie do szału, jak nazywanie państwowcami ludzi, którzy po prostu wysługują się aktualnej władzy. Bo kimże są np. polscy posłowie Joński czy Szczerba, jeśli nie podnóżkami faceta, który uzurpuje sobie prawo do rządzenia naszą ojczyzną? To zresztą szersza sprawa. Za państwowca uchodził jeden z najciekawszych i najmądrzejszych ludzi swojej epoki – Jerzy Giedroyc, ale – powiedziałbym – można było być państwowcem w II RP, bo w PRL już nie bardzo. Za komuny doszliśmy do takich absurdów, że bodaj Ewa Berberyusz zalecała niekasowanie biletów w środkach komunikacji miejskiej, rzecz jasna, na znak sprzeciwu wobec opresyjnej władzy.

Ale też jest prawdą, że niezależnie od ustroju obywatel wciąż „może czuć się wykorzystywany i oszukiwany przez aparat państwowy. Kwitnie korupcja i prywata. Rozwija się motoryzacja, ale właściciele samochodów są dla państwa przede wszystkim źródłem dochodów – poprzez ogromne podatki nakładane na benzynę, haracze w postaci mandatów drogowych traktowanych zazwyczaj fiskalnie […]. Przeciętny mieszkaniec naszego kraju w niedostatecznym stopniu utożsamia się więc z państwem. Zazwyczaj czuje się Polakiem, szanuje polską historię, tradycję i obyczaj, ale całą swoją miłość kieruje do Ojczyzny, a nie do państwa. Do którego często nie ma zaufania”.

Z pewnością dalece niewystarczająca jest pomoc udzielana naszym rodakom mieszkającym za granicą. I ich ochrona jako mniejszości narodowej. Tymczasem ok. 2 mln osób narodowości polskiej żyjących za naszą zachodnią granicą władze niemieckie za mniejszość uznać nie chcą. Bo i mają po temu, a jakże, podstawy historyczne. To przecież w III Rzeszy w 1939 r. został odebrany Polakom status mniejszości narodowej, co do dziś się nie zmienia, a uniemożliwia to nauczanie języka polskiego i wyklucza dwujęzyczność wskazaną, zdawałoby się, w niektórych okręgach. „Natomiast w Polsce mniejszość niemiecka – pisze prof. Polak – wielokrotnie mniejsza, licząca ok. 130 tys. osób, ma stosowny status i różne przywileje z tym związane; są nawet zwolnieni z 5-procentowego progu wyborczego w skali kraju i stąd posiadali od lat posłów w Sejmie, zresztą głosujących regularnie przeciwko polskim partiom o obliczu patriotycznym i katolickim. Taki stan rzeczy został zatwierdzony 17 czerwca 1991 r. przez kolegę i bliskiego współpracownika Donalda Tuska, Jana K. Bieleckiego, wówczas premiera, który podpisał z kanclerzem Helmutem Kohlem nierówny układ »o dobrym sąsiedztwie i przyjaźni«”. A żeby nie skupiać się na jednym tylko sąsiedzkim państwie, gdzie Polakiem być niefajnie, autor książki „Polski my naród” nie zapomina także o Litwie, że o Białorusi nie wspomnę.

Naprawdę wato przypomnieć sobie o imponderabiliach. I wyciągnąć wnioski z tego, co kiedyś, w jakże trudniejszej niż dzisiaj sytuacji, bez porównania bardziej opresyjnej, Maria Konopnicka ujęła w słowach „Roty”: „Polski my naród, polski lud, / Królewski szczep Piastowy”. ©℗



★★★★★★

WOJCIECH POLAK „POLSKI MY NARÓD”
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2026

eprasa.pl 29d687f464



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Miejsce po filmie

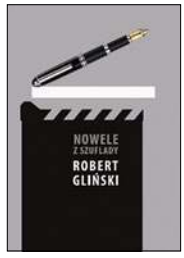
Wypełnia się półka z polską „historią niebyłą" kina – terminu tego użył prof. Tadeusz Lubelski, pisząc obszerną książkę o niezrealizowanych projektach największych reżyserów PRL. Trzy lata temu Krzysztof Zanussi wydał tom pt. „Filmy, których już nie nakręcę", zawierający nowele i scenariusze, na realizację których życia już mu zabraknie. Do tego grona dołączył teraz Robert Gliński książką „Nowele z szuflady".

Kto oglądał w kinach film „Pojedynek", opowieść o Katyniu wedle scenariusza Glińskiego (warto!), ten nie będzie zaskoczony tekstem „Kundel"; to jedna z wielu napisanych przez trzy dekady wersji tego projektu. Najobszerniejsza i najbardziej dopracowana jest natomiast nowela pierwsza: „Wróg ludu", epicka opowieść o losach polskiego rodzeństwa wrzuconego w tryby sowieckiej machiny państwowej pod koniec lat 30. Rodzice, polscy komuniści żyjący w Moskwie, padają ofiarą czystek. Dzieci trafiają do domu dziecka, akcja zaś obejmuje także lata drugiej wojny światowej.

Łatwo wyobrazić sobie ten film, wyświetlić go w głowie, mając w pamięci pierwsze reżyserskie dokonania Glińskiego: wstrząsające „Niedzielne igraszki" pokazujące, jak dobrze potrafi pracować z dziećmi na planie, oraz „Wszystko, co najważniejsze…" według wspomnień Oli Wat, gdzie z kolei Gliński pokazał dogłębne zrozumienie systemu komunistycznego. „Wróg ludu" to mógł być film wielki, być może nie film, lecz miniserial, bardzo szybko jednak okazało się, że po prostu nie uda się zebrać na ten projekt pieniędzy. Dotyczyło to i innych planowanych filmów.

„Zawsze był jakiś pretekst" – mówi Gliński w wywiadzie przeprowadzonym przez Małgorzatę Jakubowską, który służy za wstęp do książki. „Nie ma pieniędzy, nie ma producenta, nie ma możliwości. Plus odwieczne biadolenie: kto na to pójdzie? I to jest prawda – nikt nie pójdzie, bo te filmy nie powstały".

Wypada tylko żałować, zwłaszcza że niektóre pomysły były zaskakujące i bardzo oryginalne, np. nowelka „Grappa czy whiskey", której akcja rozgrywa się w zapomnianym zupełnie momencie historii. Jest oto listopad roku 1953 i w okupowanym przez Amerykanów Trieście wybucha powstanie Włochów, którzy domagają się przyłączenia miasta do ojczyzny. Nie miałem pojęcia o tych wydarzeniach, chętnie obejrzałbym o nich film. ©℗

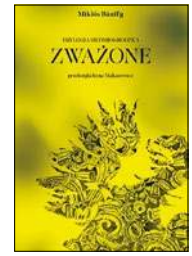


★★★★★★

ROBERT GLIŃSKI „NOWELE Z SZUFLADY" OFICYNA RYTM 2025

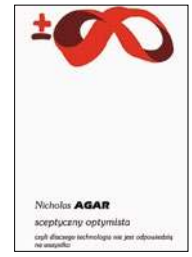
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Drugi tom trylogii siedmiogrodzkiej, jednego z najważniejszych dzieł literatury węgierskiej XX stulecia. Saga rodzinna, pejzaż epoki, opowieść polityczna i nostalgiczna – wszystko to w cieniu nadchodzącej pierwszej wojny.



MIKLÓS BÁNFFY „ZWAŻONE" OFFICYNA

Cieszmy się z postępów nauki, ale nie dajmy się zwariować: technologia nie jest panaceum na wszystko, a jej bezkrytyczni chwalcy robią więcej złego niż dobrego. Esej nowozelandzkiego filozofa: głos rozsądku, którego nam trzeba.



NICHOLAS AGAR „SCEPTYCZNY OPTYMISTA" PIW

„Dżihad, gangi i islamizacja Europy" – współautor „Wielkiej wojny Izraela" przygląda się niepokojącym zmianom w demografii Europy – nie tylko fali islamizacji Zachodu, lecz także rosnącym wpływom muzułmańskim w Rosji.



MICHAŁ BRUSZEWSKI „EUROKALIFAT" ZONA ZERO

Zbiór esejów o pisaniu, SF i fantasy. Ważny komentarz autorki „Lewej ręki ciemności" do własnej twórczości i do postrzegania fantastyki w USA w ogóle. Teksty świetne, dodatkowe wstępy (Kena Liu i Susan Wood) niepotrzebne. ©℗

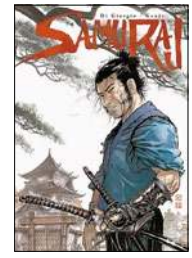
recenzuje Piotr Gociek



URSULA K. LE GUIN „JĘZYKI NOCY" PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
SPISEK I RONIN

Udany efekt współpracy francuskiego scenarzysty i belgijskiego rysownika, których łączy głęboka fascynacja średniowieczną Japonią. Seria „Samuraj" przenosi nas do gniazda spiskowców próbujących pod wodzą jednego z generałów obalić cesarza. Zarazem śledzimy losy ronina (wędrownego samuraja bez pana) Takeo, który przemierza Japonię ze swym uczniem Shiro. ©℗



JEAN-FRANÇOIS DI GIORGIO, FRÉDÉRIC GENÊT „SAMURAJ", T. 1 EGMONT 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 29d687f464

Brzydka panna wciąż na wydaniu



Exposé ministra Radosława Sikorskiego w ciągu trzech dni fatalnie się zestarzało

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Łukasz Warzecha

Gdyby na podstawie exposé Radosława Sikorskiego chcieć odpowiedzieć na pytanie, jaki Polska ma pomysł na siebie w momencie, gdy zakwestionowane zostały w zasadzie wszystkie założenia polityki międzynarodowej z ostatniej dekady XX i pierwszej XXI w. – nie da się. Pomysłu brak

Trudno o bardziej symboliczne podsumowanie stanu polskiej polityki zagranicznej. W czwartek 26 lutego w Sejmie minister Radosław Sikorski, prezentując jej program, grzmiał: „Niezmiennie opowiadamy się za porządkiem międzynarodowym opartym na zapisach Karty Narodów Zjednoczonych – zwłaszcza na poszanowaniu suwerenności, integralności terytorialnej oraz zakazie użycia siły. To normy uniwersalne, obowiązujące wszystkie podmioty prawa międzynarodowego – tak samo ważne w Europie, Azji, Ameryce Południowej czy na kole podbiegunowym. Jak 10 przykazań – nie zawsze są przestrzegane, ale zawsze powinny być punktem odniesienia. Gdzie znikają prawa boskie i ludzkie, tam wchodzi prawo dżungli". Zaledwie trzy dni później Stany Zjednoczone i Izrael dokonały wspólnego uderzenia na Iran, z punktu prawa międzynarodowego rozpoczynając klasyczną wojnę napastniczą. Iran za moment zresztą także złamał zasady, atakując niebiorące udziału w konflikcie kraje Zatoki Perskiej. Exposé ministra w ciągu trzech dni fatalnie się zestarzało.

Polska ze swoimi zgranymi schematami, złudzeniami, myśleniem życzeniowym w polityce międzynarodowej coraz bardziej jawi się jak jeden z ostatnich dinozaurów. Tak zbudowane było wystąpienie ministra Sikorskiego, pełne manipulacji, przemilczeń, półprawd i nieprawd. Było okrzykiem dziecinnej niezgody na kierunek, w którym co najmniej od sześciu lat – od pandemii – w bardzo szybkim tempie zmierza świat. To postawa wspólna dla prawie wszystkich sił politycznych w Polsce. Wyłamuje się z niej jedynie Konfederacja Mentzena i Bosaka, bo, wbrew pozorom, nie czyni tego nawet Grzegorz Braun ze swoją formacją, choć wektor jest w jego przypadku skierowany często w odwrotnym kierunku niż w głównym nurcie. Jednak zasada jest identyczna.

MARNA ERYSTYKA

Na razie jednak to nie Braun, ale Sikorski i Tusk, a w jakimś stopniu także prezydent Nawrocki modelują polską politykę zewnętrzną. Gdyby uznać, że diagnoza, przedstawiana przez szefa MSZ, nie jest jedynie retorycznym

eprasa.pl 29d687f464

popisem – nic niestety nie wskazuje na to, aby tak było – już nawet na tym poziomie jest źle, a cóż dopiero mówić o proponowanych kierunkach działania. Gdyby takie w ogóle były, bo raczej próżno ich szukać.

Weźmy fundamentalny dla nas temat Rosji i Ukrainy. Zamiast trzeźwej analizy stanu rzeczy po czterech latach trwania konfliktu dostaliśmy zestaw nudnych frazesów i zaklęć, w dużej mierze sprzecznych z faktami. „Zwycięstwo Kijowa będzie naszym zwycięstwem. Rosja – wbrew temu, co mówi jej propaganda – wcale nie wygrywa. Nie dajmy się nabrać. Rosja nie jest i nigdy nie była niepokonana" – oznajmił minister, przytaczając listę historycznych przegranych Rosji: wojna z Japonią w 1905 r., pierwsza wojna światowa, wojna polsko-bolszewicka, wojna w Afganistanie i zimna wojna. Ten retoryczny chwyt jest już na pierwszy rzut oka przykładem wyjątkowo marnej erystyki. Po pierwsze – z faktu, że Rosja jakieś konflikty w przeszłości przegrała, nijak nie wynika, że przegra ten z Ukrainą. Można by przytoczyć znacznie dłuższą listę wojen przez Rosję wygranych, z drugą wojną światową (czyli według rosyjskiej nomenklatury wielką wojną ojczyźnianą) na czele. I co z tego? Nie wynikałoby z tego również, że wojnę z Ukrainą Rosja musi wygrać. Po drugie – żadna z przywołanych sytuacji nie była podobna do obecnej. W przypadku pierwszej wojny światowej i wojny w Afganistanie przyczyną porażki był wewnętrzny rozkład państwa rosyjskiego, który nie ma w tej chwili miejsca. Zmieniły się metody prowadzenia walki – porównywanie współczesnego, dronowo-cybernetycznego konfliktu z wojną rosyjsko-japońską albo polsko-bolszewicką ze starciami kawaleryjskimi jest nonsensem.

Przede wszystkim zaś Rosja co prawda wojny z Ukrainą w spektakularny sposób nie wygrywa, ale absolutnie jej też nie przegrywa. Tak się składa, że niemal w tym samym czasie, gdy Sikorski wygłaszał w Sejmie swoje wystąpienie, na portalu magazynu „Foreign Affairs" (jednym z najbardziej prestiżowych miejsc debaty o polityce międzynarodowej na świecie) ukazał się artykuł Michaela C. Descha z Uniwersytetu Notre Dame (USA) pt. „Ukraine Is Losing the War. With Moscow Pressing Its Advantage, Kyiv Should Trade Land for Peace" („Ukraina przegrywa. Gdy Moskwa zdobywa przewagę, Kijów powinien oddać ziemię za pokój"). Desch bez emocji, posługując się liczbami i statystykami, wskazuje, na czym polega i jak znaczna jest rosyjska przewaga oraz dlaczego doprowadzenie do zakończenia wojny kosztem ustępstw terytorialnych nie tylko jest dla Ukrainy korzystne, lecz także pozostaje jedynym racjonalnym wyjściem.

Pojawiły się w wystąpieniu Sikorskiego także inne zaklęcia, np. „sankcje działają" albo „Rosja straciła dostęp do zachodnich rynków". Nawet gdyby przyjąć, że to ostatnie zdanie jest prawdziwe – a w pełni nie jest – to od szefa polskiej dyplomacji można by oczekiwać nie hurraoptymistycznych pokrzykiwań w stylu Józefa Becka, ale racjonalnej analizy, jak w ciągu ostatnich czterech lat posunęła się konsolidacja państw Globalnego Południa, gdzie Rosja zdobyła nowe możliwości.

ZAPRZECZANIE FAKTOM

Gdy idzie o Polskę, minister spraw zagranicznych rozwodził się nad korzyściami, które mają na nas spływać w związku z obecnością ukraińskich uchodźców w naszym kraju, ale nie zestawił ich z dotychczasowymi wydatkami na rzecz Ukrainy, wynoszącymi – według Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej – ponad 180 mld zł, wliczając pomoc dla uchodźców.

Niemniej fałszywy okazał się wątek Unii Europejskiej, choć tam przynajmniej znalazło się miejsce na wywody iście montypythonowskie. Radosław Sikorski zdemaskował spisek: „Polskie Ordo Iuris, węgierskie rządowe Kolegium Macieja Korwina we współpracy ze środowiskami amerykańskich nacjonalistów wspólnie budują program na rzecz paraliżu Unii. Najpierw planują ją zepsuć, a następnie krytykować za to, że nie działa". Szef Ordo Iuris, mecenas Jerzy Kwaśniewski, nie przyznaje się, aby miał ministrowi zapłacić za promocję swojej organizacji jako dysponującej siłą zdolną do obalenia UE.

Żarty i teorie spiskowe na bok – Unia Europejska jest dla nas dzisiaj gigantycznym problemem. Z jednej strony padające z marginesu polskiej debaty propozycje natychmiastowego polexitu są nieracjonalne. Nad takim scenariuszem powinniśmy pracować, by mieć go w odwodzie, lecz ani nie jest on gotowy, ani nie byłby prosty i łatwy do realizacji, ani przede wszystkim nie zdobyłby poparcia obywateli – mimo że odsetek Polaków opowiadających się za takim rozwiązaniem bardzo wzrósł i wynosi ok. 25 proc. Z drugiej – UE ze swoją irracjonalną polityką klimatyczną i wieloma innymi skrajnie przeregulowanymi, sklerotycznymi rozwiązaniami staje się skansenem, którego reguły bardziej nas krępują, niż napędzają, a na dodatek kosztują nas coraz większe pieniądze.

Radosław Sikorski, zaciekle walcząc w swoim wystąpieniu ze zwolennikami polexitu, czyli faktycznie z kompletnym marginesem polskiej polityki, posunął się do prymitywnej manipulacji, przedstawiając korzyści z członkostwa poprzez proste odjęcie zapłaconych składek od wpływów. Nikt poważny nie może zaakceptować takiej argumentacji. Twierdził również, że jeśli w UE coś nam się nie podoba, np. polityka klimatyczna, to przecież możemy to zmieniać. W ten sposób po prostu zaprzeczał faktom. Polska walczy o przynajmniej opóźnienie wejścia w życie ETS2, ale rezultat jest niewiadomy – tymczasem w naszym interesie jest całkowita rezygnacja z tego szkodliwego systemu. Lepszym jeszcze przykładem jest wejście w życie „tymczasowo" umowy z krajami Mercosur, przeciwko której opowiedział się przecież rząd, którego Sikorski jest częścią. Mało tego, Parlament Europejski odesłał umowę do sprawdzenia do TSUE, a mimo to Komisja Europejska (za zgodą Rady UE, w której zostaliśmy przegłosowani) doprowadziła do jej wejścia w życie. Oznacza to, że rozwiązanie głęboko sprzeczne z naszymi interesami zostało nam brutalnie narzucone – i tak dzieje się w UE często, by wspomnieć choćby pakiet mobilności albo reguły dotyczące wolnego handlu z Ukrainą. Do tego problemu Sikorski się nie odniósł.

Najważniejsze jednak, że milczał o kwestii zasadniczej: nacisku ze strony zarówno Berlina, jak i Komisji Europejskiej, aby zrezygnować z prawa weta w polityce obrony i zagranicznej, gdzie jeszcze zasada jednomyślności została zachowana. Dopiero co w Davos

eprasa.pl 29d687f464

Ursula von der Leyen mówiła, że jest to absolutnie konieczne i że da się osiągnąć nawet bez zmian traktatowych. O tym w wystąpieniu Sikorskiego nie było ani słowa, jakby temat nie istniał.

PRZEKLEŃSTWO NIEDOJRZAŁOŚCI

Za jedyną zasługę – choć wątpliwą – można uznać szefowi MSZ, że powstrzymał się od personalnych ataków na Donalda Trumpa. Padły natomiast słowa, które ministrowi spraw zagranicznych w wystąpieniu programowym raczej nie przystoją: „Nie my określimy interes narodowy Stanów Zjednoczonych. Pytam prawą stronę sali: Czy nie dotarło do was, że przedwczoraj Stany Zjednoczone, tak jak Chiny, wstrzymały się od głosu w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ w sprawie nienaruszalności granic Ukrainy? Jeśli Japonię z roku 1945 zastąpić dzisiejszymi Chinami, to czy mamy pewność, że interes Stanów Zjednoczonych będzie tożsamy z polskim? Byliśmy i będziemy lojalnym sojusznikiem Ameryki. Ale nie możemy być frajerami". Właściwie trudno ministrowi nie przyznać w tej kwestii racji. Tyle że jego deklaracja o niebyciu frajerem powinna w takim samym stopniu odnosić się do stosunków wewnątrz UE, a przede wszystkim do tych z Ukrainą.

Bezsilność Polski wobec zmian na światowej szachownicy objawiła się także w ilości miejsca, jakie minister poświęcił najważniejszym aktorom spoza Zachodu. Chiny mają dzisiaj PKB na poziomie ponad 18 bln dol. PKB całej UE to 19,5 bln dol., a Stanów Zjednoczonych – blisko 29 bln dol. Rosja to zaledwie 2,17 bln dol. Państwo Środka wciąż pozostaje w tyle pod względem PKB per capita: 27,1 tys. dol. w porównaniu z 47,4 tys. dol. w Rosji, 63,5 tys. dol. w Unii oraz 85,8 tys. dol. w USA. Sama statystyka ekonomiczna to oczywiście za mało, ale patrząc na geopolityczną grę, można śmiało stwierdzić, że drugim pojedynczym aktorem państwowym na globalnej scenie jest dzisiaj Pekin, nie Moskwa. Temu aktorowi polski minister spraw zagranicznych poświęcił – uwaga – pięć zdań, z których nie wynika literalnie nic. Nie było tam również odniesienia się do narastających nacisków ze strony USA, aby osłabiać relacje z ChRL. W tej sytuacji chyba nie można się już nawet bulwersować, że wschodzącemu mocarstwu, z którym UE zawarła dopiero co umowę analogiczną do tej z krajami Mercosur, Indiom, Sikorski poświęcił dwa zdania.

Gdyby na podstawie exposé Radosława Sikorskiego chcieć odpowiedzieć na pytanie, jaki Polska ma pomysł na siebie w momencie, gdy zakwestionowane zostały w zasadzie wszystkie założenia polityki międzynarodowej z ostatniej dekady XX i pierwszej XXI w. – nie da się. Pomysłu brak. Bo przecież nie są nim zużyte i wyświechtane retoryczne hołdy składane Unii Europejskiej ani opowieści o naszym poparciu dla prawa międzynarodowego. Wrażenie jest takie, jakby nasi decydenci od spraw międzynarodowych tkwili mentalnie gdzieś koło roku 2000 czy najdalej 2005. Dwie dekady wstecz.

Politycy głównego nurtu rozpaczliwie wypatrują hegemona, któremu mogliby się podporządkować. Sikorski upatruje go w Berlinie i Brukseli. Druga strona nie jest w stanie wyzwolić się spod amerykańskiego, a obecnie trumpowskiego zaklęcia

Nad polską polityką zagraniczną wisi cały czas przekleństwo niedojrzałości i braku pewności siebie, co czuć szczególnie boleśnie, gdy zestawi się ją z poczynaniami państw takich jak Węgry czy Turcja, a nawet Włochy. Politycy głównego nurtu rozpaczliwie wypatrują hegemona, któremu mogliby się podporządkować. Sikorski upatruje go w Berlinie i Brukseli, będącej pod wieloma względami przedłużeniem tego pierwszego – przynajmniej gdy Komisją Europejską kieruje von der Leyen. Druga strona nie jest w stanie wyzwolić się spod amerykańskiego, a obecnie trumpowskiego zaklęcia. Żenującym tego przejawem był wpis prezydenta Nawrockiego z 2 marca: „Stany Zjednoczone – największy sojusznik Rzeczypospolitej Polskiej – straciły dziś trzech swoich synów w ataku odwetowym przeprowadzonym przez Iran. Kilku innych odniosło obrażenia. Myślami i modlitwą jesteśmy z nimi oraz ich rodzinami. Na naszych oczach upada groźny reżim irański, który dozbrajał Rosję w jej napaści na Ukrainę i zagrażał innym państwom na Bliskim Wschodzie. Najbliższe dni będą czasem decydujących rozstrzygnięć w tym regionie. Jesteśmy razem z naszymi sojusznikami!".

Czemu ten wpis miał służyć? Jakie miał Polsce przynieść korzyści? Nie wiadomo. Trudno takie znaleźć. USA rozpoczęły wojnę, w której – co przykre, ale normalne – giną żołnierze tego kraju. Polski prezydent codziennie będzie składał kondolencje z powodu kolejnych ofiar w szeregach amerykańskiej armii? Wojna na Bliskim Wschodzie, pod wieloma względami dla Polski bardzo niekorzystna, to modelowy konflikt, w którym nasz interes jest prosty: być jak najdalej i angażować się jak najmniej. Nawet symboliczne gesty, takie jak wpis na X, są zbędne, jednak chęć przypodobania się hegemonowi jest najwyraźniej przemożna.

Infantylizmu nie unika również najnowszy liczący się uczestnik politycznej gry. Grzegorz Braun, wykrzykujący absurdalne hasło: „Teheran – Warszawa wspólna sprawa", jest nie mniej emocjonalny i irracjonalny niż jego polityczni przeciwnicy, zapatrzeni niewolniczo w Biały Dom albo gmach Berlaymont przy Rondzie Schumanna w Brukseli.

Takie infantylizm, niedojrzałość i brak rozeznania sytuacji mogą jeszcze nie być największym problemem w czasach spokoju. Dzisiaj – realnie szkodzą.

Niedawno dotarła do mnie relacja z zamkniętego spotkania jednego ze środowisk eksperckich z ministrem Marcinem Przydaczem, szefem prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej. Mój rozmówca był wstrząśnięty tym, co usłyszał. Człowiek współkształtujący politykę zagraniczną głowy państwa całkiem serio mówił, że w ramach wynagrodzenia nam braku reparacji Niemcy będą kupowali Polsce sprzęt wojskowy. „Sądziłem, że takie pomysły można by przedstawiać jako złośliwą karykaturę sposobu myślenia prezydenckiego środowiska" – powiedział mi uczestnik tego spotkania. „Okazało się, że oni naprawdę tak myślą".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Ostatni akt niezależności



FOT. ADOBE STOCK



Arkadiusz Siwko

Za sprawą prezydenta Karola Nawrockiego powrócił na poważnie temat dostępu Polski do broni atomowej. Powrócił we właściwej chwili, wpisując się w aktualną niemiecką dyskusję o konieczności posiadania przez naszego zachodniego sąsiada takiej broni

Wojna z użyciem broni jądrowej jest stałym elementem w propagandzie rosyjskiej skierowanej do NATO. Rosja niezmiennie od wielu lat w swojej strategii, przede wszystkim informacyjnej, odgraża się sojuszowi atakami jądrowymi. Jednocześnie mając świadomość nuklearnej odpowiedzi ze strony zaatakowanego sojuszu północnoatlantyckiego, mimo że ten przeżywa dzisiaj w Europie swój kryzys tożsamości.

Aby należycie rozważyć problem dostępu do broni atomowej, trzeba zrozumieć sytuację krajów europejskich w tym względzie. Bo przecież nie tylko Polska myśli o posiadaniu takiego arsenału, lecz także pozostałe kraje europejskie, w tym przede wszystkim dwa niezmiernie ważne dla nas państwa – Niemcy i Szwecja.

Siła odstraszająca broni atomowej jest, jak pokazuje historia, bardzo duża. Można nawet powiedzieć, że decydująca. To jest jedyna rzecz, której tak naprawdę może obawiać się imperialna Rosja. Dlatego Moskwa woli prowadzić agresję konwencjonalną. Nie jest przypadkiem, że niezależnie od sukcesów i porażek na froncie ukraińskim broń atomowa nie została przez Rosjan użyta. Wszystkie inne rodzaje broni określane jako humanitarne lub zdecydowanie niehumanitarne zostały lub zostaną użyte w tej wojnie.

Czy posiadające własną broń atomową Francja, Wielka Brytania i USA zamierzają w przewidywalnej przyszłości pozbyć się swojego arsenału nuklearnego z Europy? Oczywiście nie. Przede wszystkim dlatego, że broń atomowa ma charakter głównie odstraszający. Nikomu przy zdrowych zmysłach w tych krajach nie przychodzi do głowy ogłosić, że

eprasa.pl 29d687f464

wycofuje broń atomową z arsenałów swoich armii. Dlatego że dla agresywnego imperium, którym jest Rosja, byłoby to równoznaczne z zaproszeniem do ataku i inwazji na Europę w imię realizacji imperialnych marzeń o wyzwalaniu Europy z „brudu liberalizmu". Dzisiaj nie trzeba nikogo przekonywać, że komunistyczny Związek Sowiecki wraz z akolitami z Układu Warszawskiego tylko dlatego nie podjął się napaści na świat zachodni, że obawiał się właśnie przegranej w wojnie atomowej. I tylko tego. Przecież przewaga konwencjonalnej armii Związku Sowieckiego i armii Układu Warszawskiego nad Zachodem była przygniatająca.

Broń atomowa ma także ogromne znaczenie geostrategiczne. Możliwość jej użycia decyduje o formie planowanych działań wojennych, a przede wszystkim o ich zaniechaniu. Chcąc odpowiedzialnie zabezpieczać kraj przed inwazją, nie można nie myśleć o tym najważniejszym instrumencie odstraszania.

Za sprawą prezydenta Karola Nawrockiego powrócił na poważnie temat dostępu Polski do broni atomowej. Powrócił we właściwej chwili, wpisując się w aktualną niemiecką dyskusję o konieczności posiadania przez naszego zachodniego sąsiada takiej broni. Brutalna prawda jest taka, że jeżeli Niemcy będą chciały posiadać broń nuklearną, to ją będą miały. Nazywać się to będzie „europejskim planem nuklearnym" lub „uzupełnieniem amerykańskiego parasola nuklearnego", zawsze jednak decyzje jego użycia będą zapadały w Berlinie. Na koniec okaże się, że będzie to po prostu własna, suwerenna niemiecka broń jądrowa. Agresywna postawa Rosji będzie oczywiście jednym z poważnych argumentów w tej kwestii.

Dla Polski posiadanie własnej broni nuklearnej powinno być takim samym zadaniem, jak po 1989 r. przystąpienie do NATO oraz Unii Europejskiej

Choćbyśmy nie byli entuzjastami takiego biegu wydarzeń, to jest on w przyszłości nie do uniknięcia. A to stawia nas przed pytaniem o naszą postawę wobec takich aspiracji i koniecznością szukania odpowiedzi, jaka będzie wobec tego nasza polityka i stanowisko w tej sprawie.

LICZYĆ TYLKO NA SIEBIE

Dyskusja w Niemczech toczy się na ten temat już od pewnego czasu.

„Niemcy potrzebują własnej broni jądrowej. I mówimy przede wszystkim o (mobilnej) taktycznej broni jądrowej! Broni, która może (i będzie) stawić czoło największemu zagrożeniu ze strony Rosji" – napisał na początku stycznia w mediach społecznościowych niemiecki generał Frank Pieper – generał, dodajmy, kierujący wydziałem strategii na najważniejszej uczelni wojskowej Bundeswehry w Hamburgu. „Więc wstawajmy i bierzmy się do roboty. Na koniec to, co zawsze było prawdziwe, wciąż ma zastosowanie: gdy sprawy stają się poważne, możesz liczyć tylko na siebie" – dodał.

Z kolei przewodniczący frakcji CDU w Bundestagu Jens Spahn w niedawnym wywiadzie dla „Welt am Sonntag" stwierdził, że Europa musi stać się „zdolna do odstraszania". Amerykańska broń jądrowa, częściowo stacjonująca w Niemczech, nie wystarcza już według niego do tego celu. „Musimy porozmawiać o niemieckim lub europejskim udziale w arsenale broni atomowej Francji i Wielkiej Brytanii, a być może także o własnym udziale wraz z innymi państwami europejskimi" – powiedział jasno Spahn.

Kanclerz Niemiec Friedrich Merz najwyraźniej podziela to stanowisko, gdyż w przeciwnym razie nie poruszałby publicznie tematu posiadania przez Niemcy broni atomowej i nie rozmawiałby o tym z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem.

Pod względem technicznym Niemcy są w stanie produkować broń jądrową. Republika Federalna dysponuje wysoko rozwiniętą technologią jądrową, np. w zakresie wzbogacania uranu, budowy reaktorów badawczych czy technologii laserowej. Ponadto posiada wieloletnie doświadczenie w zakresie systemów nośnych niezbędnych do używania broni jądrowej, takich jak samoloty, rakiety, okręty podwodne, np. pociski manewrujące Taurus, myśliwce Eurofighter, okręty podwodne klasy 212A.

Według niemieckich elit „w obliczu niepewności dotyczących solidności amerykańskiego parasola atomowego lekkomyślne nie jest myślenie o niemieckiej bombie atomowej, lecz brak takiego myślenia" – jak dosłownie możemy przeczytać we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" w ostatnich tygodniach.

EUROPEJSKI NUCLEAR SHARING

Jednym z rozwiązań dyskutowanych w Niemczech może być własny europejski system odstraszania nuklearnego. Debata na ten temat już się rozpoczęła w europejskich stolicach. Prezydent Francji Emmanuel Macron zadeklarował publicznie, że Francja może wnieść swój arsenał do ewentualnego wspólnego europejskiego systemu. Wpisuje się to także w amerykańską wizję brania przez Europejczyków większej odpowiedzialności za bezpieczeństwo Starego Kontynentu. Oferta Macrona oznaczałaby jednak dominację francuską nad innymi krajami europejskimi w ramach koncepcji wspólnej armii europejskiej. Dlatego niezależnie od opcji europejskiej uwaga Niemiec kierowana jest także w stronę Japonii i Korei Południowej, gdzie Europa mogłaby szukać współpracy w nuklearnych technologiach.

W Europie broń atomową jako własną posiadają kraje, które zwycięsko wyszły z drugiej wojny światowej, czyli Francja i Wielka Brytania. Dla każdego z tych krajów posiadanie broni atomowej jest jednym z filarów strategii bezpieczeństwa narodowego. Broń atomową w Europie posiadają oczywiście także USA, które okazały się największym zwycięzcą drugiej wojny światowej. Amerykańska broń atomowa rozlokowana jest również na eksterytorialnych obszarach państwa niemieckiego, co oczywiście także jest pokłosiem drugiej wojny światowej.

W europejskich krajach nieposiadających własnej broni atomowej broń ta rozmieszczona jest w wybranych krajach przez Stany Zjednoczone. Program nazwany Nuclear Sharing jest programem obrony polegającym na rozmieszczeniu takiego arsenału należącego do innego państwa w celu obrony terytorium państwa, na którym broń ta się znajduje. W tym wypadku mówimy o broni atomowej Stanów Zjednoczonych, które w ramach nuklearnego odstraszania

eprasa.pl 29d687f464

postawiły swoją broń atomową na terenie krajów, które mają być w ten sposób bronione. Oczywiście taka broń atomowa pozostaje własnością amerykańską i może być użyta tylko za zgodą prezydenta USA.

I tak amerykańska broń atomowa stacjonuje w: Holandii (Volkel – szacunkowo 20 sztuk), Belgii (Kleine Brogel – szacunkowo 20 sztuk), Niemczech (Buchel – szacunkowo 20 sztuk), Włoszech (szacunkowo po 20 sztuk w Ghedi i Aviano), Turcji (Incirlik – szacunkowo 50 sztuk).

Umowy dotyczące Nuclear Sharing są umowami dwustronnymi USA – kraj gospodarz. W sposób naturalny muszą być elementem dyskusji w całym NATO. Nie zmienia to amerykańskiego władztwa nad tematem amerykańskiego dysponowania Nuclear Sharing. Reasumując – Ameryka zrobi, co uzna za stosowne.

Musimy zdawać sobie sprawę, że wojna na pełną skalę na Ukrainie zmieniła w sposób istotny dotychczasowe status quo. Europa zaczyna się rozglądać za poszerzeniem osłony krajów części wschodniej, północnej i południowej kontynentu. Stąd oferta Francji udostępnienia francuskiego arsenału nuklearnego europejskim państwom NATO – ale ograniczona do tych krajów, w których taka broń już jest składowana. Do tego trzeba zaznaczyć, że – jak jednoznacznie oświadczył Emmanuel Macron – o użyciu tej broni będzie decydował wyłącznie prezydent Francji. Czyli Francja porusza się na razie w obrębie obszaru zachodniej strony żelaznej kurtyny. Paryż ma w swoim arsenale ok. 280 głowic jądrowych plus 10 dodatkowych w rezerwie, co sprawia, że jest czwartą potęgą atomową na świecie.

Już istniejący parasol atomowy USA i koncepcja jego europejskiego rozszerzenia o kraje europejskie nieposiadające broni atomowej ma jeszcze jeden istotny aspekt. Rozwiązuje przynajmniej na pewien czas sprawę aspiracji poszczególnych krajów do posiadania takiej broni. W krótkiej perspektywie czasowej nierozprzestrzenianie broni atomowej na pozostałe państwa europejskie przedłuża dominację wojskową Francji i Wielkiej Brytanii nad Europą na zachód od Rosji. W ten sposób niejako Francja i Wielka Brytania przedłużają na kolejne lata konsekwencje drugiej wojny światowej.

Parasol atomowy sojuszników ma w chwili obecnej bardzo istotne znaczenie. Może być jednym z istotnych działań powstrzymujących agresję rosyjską. Dlatego jest tak ważny tu i teraz. Jednakże nie rozwiązuje własnej kwestii atomowej w długoletniej perspektywie czasowej.

POLSKIE MOŻLIWOŚCI

Prezydent Karol Nawrocki stwierdził, że Polska powinna rozwijać własny potencjał nuklearny z poszanowaniem międzynarodowych regulacji. Zdaniem prezydenta Polska powinna działać w „tym kierunku, żebyśmy mogli rozpocząć prace" nad własnym programem atomowym, ponieważ „wiadomo, jaki jest stosunek Federacji Rosyjskiej agresywnej, imperialnej do Polski".

Najważniejsze jest posiadanie systemów nośnych niezbędnych do używania broni jądrowej. A Polska już posiada samoloty F-35, umożliwiające przenoszenie ładunków nuklearnych. To bardzo ważna wiadomość. Nie mamy jeszcze przeznaczonych do tego łodzi podwodnych, na których opierają swoje bezpieczeństwo zarówno USA, jak i Francja oraz Wielka Brytania. Ale możemy je mieć od europejskich partnerów w NATO, którzy takie łodzie nam oferują.

W sprawach technologicznych upatruje się pozyskanie przez Polskę zdolności produkcji nuklearnej poprzez wykorzystanie i rozwijanie techniki nuklearnej czwartej generacji – przede wszystkim w przygotowywanej w rozwijanym już w Polsce projekcie SMR. Te małe reaktory są jednakże w fazie projektowej. W Polsce wiąże się z tą technologią duże nadzieje, związane przede wszystkim z jej łatwą dostępnością. Polska w przeszłości rozwijała już prace badawcze nad techniką nuklearną, ale – jak wiadomo – zostały one zablokowane przez Związek Sowiecki. W Niemczech także trwają prace nad własnymi rozwiązaniami, ale traktowane jako pomocnicze wobec pozyskania odpowiednich gotowych technologii od partnerów azjatyckich. Dlatego Niemcy zwracają uwagę na możliwość wykorzystania potencjału techniki nuklearnej Korei Południowej i Japonii, co dowodzi zresztą ich realnego poszukiwania rozwiązania problemu technologicznego.

Taki sam problem, dotyczący obecnych regulacji międzynarodowych zabraniających rozprzestrzeniania broni jądrowej, stoi przed Niemcami i Szwecją. Nie powstrzymuje ich to przed myśleniem o własnej strategii nuklearnej i szukaniem możliwości jej wdrożenia. W sytuacji, w której – jak podkreślają w swojej debacie publicznej na ten temat Niemcy – niejasna jest strategia obrony europejskiej, kraje muszą poszukiwać wszystkich środków powstrzymania potencjalnego agresora. Jak pisze prasa niemiecka, „gdy sprawy stają się poważne, możesz liczyć tylko na siebie". Regulacje dotyczące europejskiego bezpieczeństwa nuklearnego będą do tego zmierzać. Nie jest to kwestia „czy", tylko „kiedy". I wobec agresywnej Rosji raczej będzie to prędzej niż później. Nie przypadkiem Unia Europejska otwiera się na kooperację z Koreą Południową i Japonią. Istnieje pilna potrzeba prowadzenia przez Polskę polityki międzynarodowej w tym kierunku i współpracy z sojusznikami.

W Polsce nie tylko prezydent Karol Nawrocki stawia sprawę polskiej broni atomowej. To samo mówią dzisiaj ważni politycy Prawa i Sprawiedliwości oraz obu Konfederacji, w tym Grzegorz Braun, który zwrócił uwagę, że przy dyskusji o broni atomowej trzeba pamiętać, by decyzja jej użycia była po polskiej stronie.

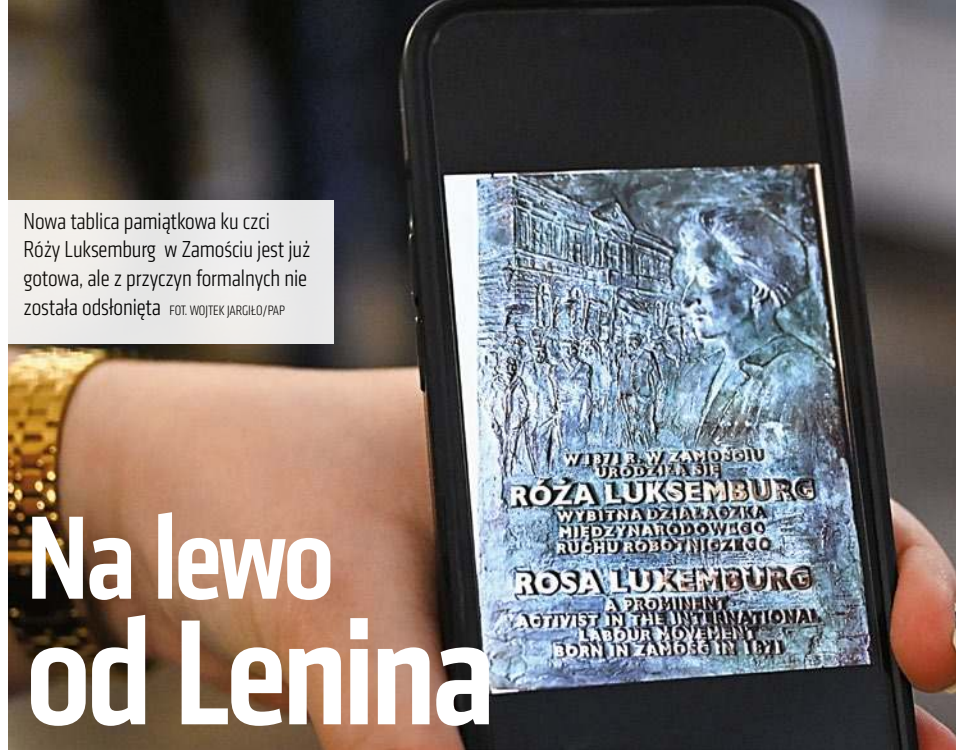
Warto zwrócić także uwagę, że opinia publiczna w Polsce odnosi się z zaskakująco dużym zrozumieniem dla postulatu polskiej broni atomowej. Według ostatniego sondażu SW Research prawie połowa Polaków jest zwolennikiem realizacji takiego programu. Na pytanie „Czy Polska powinna mieć swoją bombę atomową?" „tak" odpowiedziało 41,9 proc. respondentów, „nie" – 28,7 proc. badanych, a opcję „trudno powiedzieć" wskazało 29,4 proc. uczestników badania.

Widząc to wszystko, nie tylko można, lecz także należy podjąć poważną debatę zarówno w Polsce, jak i na arenie międzynarodowej na temat nuklearnego odstraszania agresora ze Wschodu.

Dla Polski posiadanie własnej broni nuklearnej powinno być takim samym zadaniem, jak po 1989 r. przystąpienie do NATO oraz Unii Europejskiej. Ostatnim aktem wyzwalania się z klęski drugiej wojny światowej i sowieckiego uzależnienia.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464



Nowa tablica pamiątkowa ku czci Róży Luksemburg w Zamościu jest już gotowa, ale z przyczyn formalnych nie została odsłonięta FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

Na lewo od Lenina



Filip Memches

Władze Zamościa postanowiły uhonorować działaczkę, która w epoce zaborów była przeciwniczką polskich aspiracji niepodległościowych. Traktowanie jej wyłącznie jako szlachetnej idealistki jest przejawem sporej naiwności

Mieszkańcy Zamościa są dumni z Róży Luksemburg. Do takiego wniosku można było dojść, gdy władze miasta ogłosiły, że 5 marca 2026 r. odbędą się w nim obchody 155. rocznicy urodzin słynnej rewolucjonistki. Luksemburg przyszła na świat właśnie w Zamościu. W roku 1978 na zewnętrznej ścianie jednej z kamienic na zamojskim Starym Mieście zamontowano tablicę pamiątkową ku czci działaczki. Cztery dekady później usunięto ją na mocy znowelizowanej wówczas ustawy dekomunizacyjnej. 5 marca br. w ratuszu w Zamościu miała zostać odsłonięta na sztalugach nowa tablica. Ale ostatecznie do tego nie doszło. Jak poinformował w rozmowie z mediami prezydent miasta Rafał Zwolak, zaważyły przyczyny formalne. Zdaniem prawników, z którymi się konsultowano, brakuje w tej sprawie stosownej opinii Instytutu Pamięci Narodowej.

Wcześniej temat uhonorowania Róży Luksemburg wywołał spór między popieranym przez środowiska lokalne i Koalicję Obywatelską prezydentem Zamościa a IPN oraz politykami prawicy. Po jednej stronie wysunięto argument, że chodzi o upamiętnienie znanej postaci historycznej (walczącej – jak stwierdził włodarz miasta – „o prawa pracownicze, sprawiedliwość społeczną, demokrację i pokój"), która rozsławiła swoje miejsce urodzenia, po drugiej wskazywano, że mamy do czynienia z oddawaniem czci osobie słynącej z zaangażowania w ruch komunistyczny, a tym samym przecierającej w Polsce szlak czerwonemu totalitaryzmowi.

BOHATERKA ROMANTYCZNA

Kłopot dekomunizatorów z Różą Luksemburg polega na tym, że trudno się do niej przyczepić o jakieś konkretne zbrodnie. Osobiście nie splamiła ona swoich rąk krwią niewinnych ludzi. Nie zdążyła bowiem dożyć czasów, w których miałaby szansę zostać polityczną decydentką. Owszem, gdy dokonał się w Rosji przewrót bolszewicki, odnosiła się do tego wydarzenia entuzjastycznie. Ale w nim nie uczestniczyła. W dodatku afirmując przyświecający bolszewikom cel (światowe państwo komunistyczne), jednocześnie piętnowała ich zapędy dyktatorskie (można przytoczyć jej słowa: „Wolność jest zawsze wolnością dla myślących inaczej"). Sama zawsze była w opozycji. Swoją niezłomną postawę przypłaciła pobytami w więzieniach. Represjonowali ją i Rosjanie, i Niemcy. Wreszcie 15 stycznia 1919 r. w Berlinie została zamordowana przez bojówkarzy Freikorps – niemieckiej nacjonalistycznej formacji paramilitarnej. Działaczkę pobito kolbami karabinów i zastrzelono, a jej ciało wrzucono do kanału Landwehr. Tym samym wokół niej narosła legenda romantycznej bohaterki, która dla wzniosłych ideałów poniosła męczeńską śmierć z rąk prawicowych oprawców.

Taki właśnie jej portret wyłania się z erefenowsko-czechosłowackiego filmu fabularnego „Róża Luksemburg" z roku 1986. W tytułową postać wcieliła się Barbara Sukowa, a rola Leona Jogichesa – polskiego Żyda będącego konkubentem rewolucjonistki i zarazem towarzyszem jej politycznych zmagań – przypadła Danielowi Olbrychskiemu. Film wyreżyserowała Margarethe von Trotta, której twórczość uchodzi za głos Pokolenia '68 w kinematografii zachodnioniemieckiej.

Znamienne, że w roku 2018 Różę Luksemburg obrano za patronkę wystawy „Niepodległe. Kobiety a dyskurs narodowy" w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Ta międzynarodowa ekspozycja (zgromadzono prace artystek z wielu krajów) została zorganizowana w ramach – co istotne – obchodów 100. rocznicy odzyskania polskiej państwowości. A przecież Luksemburg była przeciwniczką polskich aspiracji niepodległościowych – także z tej przyczyny, że żywiła przekonanie, iż ziemie polskie pod caratem materialnie zyskiwały na integracji z gospodarką rosyjską, choć zarazem opowiadała się za autonomią kulturalną Polaków w ramach państw zaborczych. Wystawa w MSN zakrawała zatem na prowokację. Przesłanie tego przedsięwzięcia można streścić następująco: termin „niepodległość" odnosi się nie tylko do statusu państwa, które się znalazło ponownie na politycznej mapie świata w roku 1918. Dotyczy on również w wielu krajach realizacji dążeń emancypacyjnych

eprasa.pl 29d687f464

przez poszczególne grupy społeczne oraz konkretnych ludzi w zderzeniu z opresyjnymi strukturami politycznymi, społecznymi, ekonomicznymi. I tak na początku XX w. Luksemburg oddawała życie za klasę robotniczą uciskaną przez kapitalistów. Ale XXI stulecie niesie nowe wyzwania – np. w III Rzeczypospolitej trzeba walczyć o niepodległość macic (względem patriarchatu), czyli prawo kobiet do aborcji.

Kłopot dekomunizatorów z Różą Luksemburg polega na tym, że trudno jej zarzucić jakieś konkretne zbrodnie

Jeśli chodzi o ikoniczny wizerunek Róży Luksemburg, to nie bez znaczenia jest też – w czasach po Holokauście – jej tożsamość etniczna. Wywodziła się z kupieckiej zasymilowanej rodziny żydowskiej, w której choć rozmawiało się po polsku, to zarazem obchodzono – w ograniczonym zakresie – święta judaizmu. Tak czy inaczej Luksemburg jest postrzegana poprzez pryzmat swoich żydowskich korzeni, niezależnie od tego, że sama była lewicową kosmopolitką (orędowniczką tzw. internacjonalizmu proletariackiego) i walczyła o ustanowienie porządku, w którym narody (w tym i żydowski) stracą rację bytu. Dlatego z jednej strony może uchodzić za egzemplifikację zjawiska „żydokomuny", z drugiej zaś – za ofiarę antysemickiej przemocy ze strony pałkarzy, którzy mordując Żydówkę z Polski, antycypowali niemiecki narodowy socjalizm. A narracja o protonazistowskich motywach zabójstwa popełnionego na Luksemburg może służyć jako akt oskarżenia wymierzony również we współczesną polską prawicę, postulującą dekomunizację przestrzeni publicznej w Polsce. Oto bowiem np. filozof Magdalena Środa w felietonie opublikowanym w „Gazecie Wyborczej" z okazji 100. rocznicy śmierci rewolucjonistki napisała patetycznie: „Róża, jedna z ich [członków Freikorps] pierwszych ofiar, ginie dziś w zapomnieniu i prawicowym zacietrzewieniu".

Żeby jednak zgłębić rolę, którą Róża Luksemburg naprawdę odegrała w dziejach powszechnych, trzeba bliżej przypatrzeć się jej życiorysowi. Urodziła się, gdy Zamość był pod zaborem rosyjskim. W mieście tym spędziła jednak tylko pierwszych parę lat swojego życia. Potem wraz z rodziną przeprowadziła się do Warszawy. Otrzymała solidne wykształcenie. Zwieńczeniem jej ścieżki edukacyjnej był zaś doktorat z ekonomii, który zrobiła na Uniwersytecie Zuryskim. To jednak nie kariera akademicka stała się wyborem Luksemburg, lecz polityka.

KOMUNISTYCZNY GLOBALIZM

W latach 90. XIX stulecia polski ruch socjalistyczny podzielił się na dwa nurty: niepodległościowy i internacjonalistyczny. Pierwszy z nich reprezentowała Polska Partia Socjalistyczna, w której działał m.in. Józef Piłsudski, natomiast drugi – Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, która później związała się z bolszewikami. Róża Luksemburg należała do współzałożycieli SDKPiL. Ugrupowanie to kontestowało polskie dążenia niepodległościowe. Było ono protoplastą Komunistycznej Partii Polski. Program SDKPiL głosił prymat interesów klasowych nad interesami narodowymi i zakładał wywołanie światowej rewolucji proletariackiej.

Docelowym miejscem aktywności politycznej Róży Luksemburg nie były jednak ziemie polskie. Działaczka przeprowadziła się do Berlina i wstąpiła do Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Była wyróżniającą się postacią lewego skrzydła tej formacji. Występowała przeciw politykom jej głównego nurtu, którzy opowiadali się za forsowaniem reform socjalnych w parlamencie. Luksemburg zaś odrzucała demokrację parlamentarną. Był to w jej oczach system burżuazyjny – a więc dla klasy robotniczej całkowicie nieefektywny – który należało obalić. Z kolei gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, oponenci Luksemburg z SPD okazali lojalność swojemu państwu i poparli finansowanie niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. W oczach rewolucjonistki opcja ta była wyrazem zdrady socjalizmu i przejścia na pozycje nacjonalistyczne. I tak w SPD doszło do rozłamu. Grupa, do której należała Luksemburg, poszła inną drogą niż niemieccy socjaldemokraci. Utworzyła Związek Spartakusa, który stał się bazowym środowiskiem dla Komunistycznej Partii Niemiec.

Po dojściu bolszewików do władzy w Rosji wrzenie rewolucyjne ogarnęło też inne kraje. Jesienią roku 1918 w Niemczech – na fali społecznego niezadowolenia z powodu rezultatów pierwszej wojny światowej – doszło do rewolty, w wyniku której upadła monarchia Hohenzollernów. Jej miejsce zajęła Republika Weimarska z kluczową pozycją SPD na scenie politycznej nowego państwa. Natomiast w styczniu roku 1919 Związek Spartakusa wywołał powstanie komunistyczne w Berlinie. Zostało ono jednak stłumione przez Freikorps, który bez sądu zlikwidował jego przywódców: Różę Luksemburg oraz Karla Liebknechta. Niemniej trzeba wyraźnie zaznaczyć, że berliński komunistyczny zryw miał charakter zbrojny, a nie pokojowy.

Przypatrując się życiorysowi Róży Luksemburg, nie można pominąć jej rozważań teoretycznych, a więc tego, co nazywane jest luksemburgizmem. Uważała ona, że kapitalizm, aby się rozwijać, potrzebuje rynków zbytu, więc państwa kapitalistyczne zdobywając je, wywołują wojny. Alternatywy dla takiego stanu rzeczy Luksemburg upatrywała w czymś, co dziś można określić jako „globalizm". Chodziło jej jednak nie o globalną władzę wielkich korporacji (zresztą takowych, jakie są dziś, na początku XX w. nie było), lecz o oddolne rządy klasy robotniczej w skali globalnej. Skądinąd w tej sprawie poróżniła się z Włodzimierzem Leninem. Nie w smak mu bowiem było, że wskazywała ryzyko oddzielenia się scentralizowanego aparatu partii komunistycznej – takiej jak bolszewicy – od rewolucyjnych mas robotniczych. Według Luksemburg to one, a nie partyjni dygnitarze były awangardą rewolucji. Można zatem powiedzieć, że luksemburgizm jest bardziej lewicowy niż leninizm.

Z polskiej perspektywy liczy się jednak przede wszystkim to, że kiedy Lenin opowiedział się za samostanowieniem narodów ciemiężonych przez carat – rzecz jasna, z pobudek pragmatycznych, bo chciał je pozyskać dla projektu komunistycznego – Róża Luksemburg pozostała nieugiętą antagonistką tego rozwiązania, a więc również odrodzenia państwa polskiego. Tak więc traktowanie działaczki, którą władze Zamościa postanowiły uhonorować, wyłącznie jako szlachetnej idealistki, jest – w świetle polskich doświadczeń historycznych – przejawem sporej naiwności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Koniec niemieckiej rewolucji



Kardynał Reinhard Marx, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec w latach 2014–2020 FOT. THOMAS LOHNES/GETTY IMAGES



Paweł Chmielewski

Przez ponad sześć lat świat katolicki patrzył na Niemcy, spodziewając się rychłej deklaracji schizmy. Co naprawdę stało się w Kościele za Odrą po zakończonej 31 stycznia niemieckiej „drodze synodalnej”?

Niemieccy reformiści chcieli dokonać w Kościele radykalnych zmian już w latach 60. XX w. Nie było to jednak możliwe: papieże konsekwentnie mówili im „nie”. Czy na Tronie św. Piotra zasiadał Paweł VI, Jan Paweł II czy Benedykt XVI, bez różnicy – niemieckie postulaty nie mogły się przebić. Sytuacja zmieniła się o 180 stopni 13 marca 2013 r., kiedy Ojcem Świętym został argentyński jezuita Jorge Mario Bergoglio. Dla Niemców otworzyło się wówczas okno możliwości. Wykorzystali je do maksimum.

W 2012 r. ceniony w RFN teolog Walter Kasper wydał książkę pt. „Miłosierdzie”, w której proponował dopuszczenie do Komunii Świętej rozwodników w powtórnych związkach, wbrew wielowiekowej praktyce Kościoła. Franciszek to zaaprobował. W adhortacji „Amoris laetitia” dowartościował rolę indywidualnego sumienia, pozwalając na zmianę podejścia. Niemcy odnotowali pierwszy sukces i szybko poszli dalej. Już dwa lata później wywalczyli u Franciszka zgodę na udzielanie Komunii Świętej tym protestantom, którzy żyją w małżeństwie z katolikami. Wreszcie w 2019 r. ogłosili, że rozpoczną wielki proces reformy katolicyzmu – nie tylko niemieckiego, ich ambicje sięgały Kościoła powszechnego. Dokładnie w pierwszy dzień Adwentu tamtego roku rozpoczęła się „droga synodalna”.

Teoretycznie chodziło o przezwyciężenie dramatu wykorzystywania seksualnego nieletnich. Rok wcześniej opublikowano za Odrą obszerny, ekspercki raport dotyczący tego problemu. Podano konkretne liczby (charakterystyczne: większość ofiar płci męskiej) i zaproponowano wiele środków zaradczych. Tak się przypadkiem złożyło, że środki te doskonale pokrywały się z sednem starej agendy reformistycznej. Źle przeżywany celibat, zły stosunek do homoseksualizmu, za dużo klerykalizmu, za silna władza mężczyzn, za mało władzy kobiet. „Droga synodalna” miała to wszystko rozwiązać.

NIEMIECKA AGENDA

Rewolucyjny był już sam jej wewnętrzny porządek. Inaczej niż zwykłe synody „droga” nie była przedsięwzięciem samych biskupów. Realizowały ją dwa ciała – Konferencja Episkopatu Niemiec oraz świecki Centralny Komitet Niemieckich Katolików. Oba gremia wyznaczały wspólnie kierunki. Organizowały też konkretne spotkania robocze, zwane Zgromadzeniami Synodalnymi. Takich zgromadzeń odbyło się w sumie sześć. Uczestniczyli w nich biskupi, księża, zakonnicy, zakonnice, świeccy mężczyźni, świeckie kobiety, homoseksualiści, transseksualiści… Różnorodność przede wszystkim.

Praca „drogi synodalnej” została tematycznie rozdzielona pomiędzy cztery „fora synodalne”, czyli specjalne podgrupy robocze. Forum Pierwsze zajęło się władzą w Kościele (cel: demokratyzacja). Forum Drugie – sposobem przeżywania kapłaństwa (cel: poluzowanie celibatu). Forum Trzecie – posługą kobiet w Kościele (cel: diakonat i kapłaństwo kobiet). Forum Czwarte – miłością i seksualnością (cel: akceptacja homoseksualizmu, genderyzmu i antykoncepcji). Na przestrzeni lat przyjęto wiele dokumentów, które odzwierciedlały odgórne założenia. Na poziomie krajowym zrobiono wszystko, co się dało, ale do pełnej skuteczności Niemcy potrzebowali dalszej kooperacji z Watykanem.

eprasa.pl 29d687f464

Tuż przed początkiem „drogi synodalnej" w Rzymie odbył się Synod Amazoński. Jego uczestnicy kierowani przez dynamiczną grupę Niemców, Austriaków oraz niemieckojęzycznych Brazylijczyków domagali się poluzowania celibatu oraz diakonatu kobiet. Poprosili o to Franciszka, ale papież zupełnie nieoczekiwanie zawiódł progresistów. W lutym 2020 r. opublikował dokument „Querida Amazonia", gdzie w obu tych tematach niczego nie zmienił. Dlaczego tak postąpił, nikt nie wie na pewno – wcześniej sam z aprobatą mówił o niemieckich pomysłach w zakresie „reformy" kapłaństwa. Prawdopodobnie chodziło o Benedykta XVI, który nieco wcześniej ostro skrytykował te idee. Niewykluczony jest też wpływ kard. Waltera Kaspera. Pomimo swojego progresizmu w kwestiach moralnych Kasper nie był entuzjastą „drogi synodalnej". Uważał ją za źle pomyślaną i próbował przekonać Franciszka do swojej perspektywy. Odrzucenie przez papieża postulatów Synodu Amazońskiego nie oznaczało jednak, że synodalna reforma zostaje zahamowana. Wprost przeciwnie.

Już w 2020 r. Franciszek ogłosił, że odbędzie się w Rzymie Synod o synodalności – tak jakby uznał temat podjęty przez Niemców za zupełnie kluczowy dla całego Kościoła powszechnego. W Niemczech wybrano w tym czasie nowego szefa episkopatu. Został nim biskup Limburga Georg Bätzing, który zastąpił kard. Reinharda Marxa z Monachium. Bätzing pojechał do Watykanu i przedstawił Franciszkowi projekt przeniesienia niemieckich idei reformatorskich na grunt Kościoła powszechnego. Chciał, żeby efekty „drogi synodalnej" zostały przepracowane na świecie w trzech etapach: najpierw synodalność w poszczególnych krajach, później w ramach grup kontynentalnych, wreszcie na spotkaniu w samym Rzymie. Już w 2021 r. Franciszek odwołał swoje wcześniejsze plany i zorganizował globalny proces synodalny – w trzech etapach, zgodnie ze schematem Bätzinga. W efekcie Kościół został zmuszony do tego, by rozmawiać o pomysłach Niemców. Także w Polsce dyskutowano o podejściu do homoseksualizmu, walce z klerykalizmem poprzez demokratyzację czy nowej roli kobiet. Niemcy skutecznie narzucili całemu Kościołowi agendę. W 2023 r. przesłali do Watykanu dokumenty swojej „drogi synodalnej", mając nadzieję na ich wdrożenie.

CO PO FRANCISZKU?

21 kwietnia 2025 r. Franciszek umarł. Globalny Proces Synodalny teoretycznie trwa dalej, ale entuzjazm, który roztaczał wokół niego papież z Argentyny, wygasł niemal całkowicie. Leon XIV teoretycznie odwołuje się do synodalności, ale w praktyce jeszcze nic z tego nie wynika. Tak naprawdę nie wiadomo, czy projekt Jorge Maria Bergoglia będzie w ogóle kontynuowany.

Niemiecka „droga synodalna" zakończyła się oficjalnie już za nowego papieża. Niewykluczone, że okno możliwości otwarte wraz z początkiem pontyfikatu Franciszka jest już zamknięte. Osiągnięto jednak wiele. Największym sukcesem niemieckich reformistów, wykraczającym daleko poza RFN, jest nowe podejście do homoseksualizmu. W grudniu 2023 r. Stolica Apostolska wydała deklarację „Fiducia supplicans", która pozwoliła błogosławić pary tej samej płci, teoretycznie „poza liturgią" i „duszpastersko". Niemcom nie do końca się to podobało, bo chcieli przeprowadzić rzecz poważniej, to znaczy uznać stosunki jednopłciowe za moralnie w porządku, na co Watykan się nie zdecydował – ale przyjęli „Fiducia supplicans" jako swoisty kompromis. W 2025 r. w kilku diecezjach wprowadzono de facto śluby homoseksualne. Leon XIV to wprawdzie delikatnie skrytykował, ale Niemcy się tym nie przejmują – mówią, że to ich „kulturowo uzasadniona" implementacja deklaracji Franciszka. Ze swojej strony niemieccy biskupi przyjęli też nowe wytyczne w sprawie edukacji w szkołach, uznając koncepcję genderyzmu za uzasadnioną i apelując o „troskę" w tym zakresie. Forum „drogi synodalnej" poświęcone kwestiom seksualności zrealizowało zakładane cele.

Do finału zmierza też idea demokratyzacji Kościoła w Niemczech. Po długich dyskusjach z Watykanem powołane do życia zostało nowe ciało decyzyjne, tzw. Konferencja Synodalna. Składa się z trzech równych liczbowo części: biskupów, świeckich z Centralnego Komitetu oraz ludzi wybranych wspólnie przez biskupów i świeckich z Komitetu. Jej kompetencje są trochę niejasne, ale zgryźliwi mówią, że to swoista rada nadzorcza jednego z największych niemieckich przedsiębiorstw – Deutsche Kirche (ok. 800 tys. pracowników i współpracowników!). Konferencja Synodalna ma rozpocząć pracę w listopadzie tego roku – potrzeba jeszcze oficjalnej aprobaty Leona XIV. Niemieccy biskupi i świeccy aktywiści zapewniają, że się zgodzi. To prawdopodobne, bo gdyby Konferencja Synodalna została zablokowana, za Odrą rozlałaby się wielka frustracja, a Ojciec Święty postawił sobie za wyraźny cel unikanie wszelkiej polaryzacji. Jeżeliby nawet Leon XIV Konferencję zablokował, to dynamiki wspólnych rządów biskupów i świeckich nad Kościołem w Niemczech nie da się już do końca zatrzymać. Demokratyzacja jest tam faktem.

WPŁYW NA POLSKĘ

Niezrealizowane pozostają dwa postulaty „drogi synodalnej" – wprowadzenie dobrowolnego celibatu oraz dopuszczenie kobiet do kapłaństwa. W tych kwestiach Niemcy nie mogą pójść własną drogą, nawet gdyby bardzo chcieli. Konieczne są rozwiązania o powszechnym charakterze. Skoro nawet Franciszek nie zdecydował się na zmianę, to również Leon raczej tego nie zrobi, bo wiązałoby się to przecież z dużym chaosem i sprzeciwem w wielu krajach świata. Dla części najbardziej radykalnych środowisk niemieckich to cios, ale bardziej trzeźwi uczestnicy „drogi synodalnej" nie spodziewali się w tym obszarze wielkich sukcesów. Wystarcza im, że dzięki ich żmudnej pracy Kościół powszechny przyzwyczaił się do myśli, że rola kobiet jest niewystarczająca, to pozwoliło na wymuszenie akceptacji dla różnych pomniejszych autorskich rozwiązań, takich jak dopuszczanie kobiet do głoszenia kazań czy przekazywanie im władzy w diecezjach, mimo braku święceń. To wszystko dzieje się w Niemczech właśnie dzięki „drodze synodalnej".

W sumie bilans niemieckiego procesu reform jest z perspektywy progresywnej bardzo dobry. Dzięki przychylnej postawie Franciszka katolicyzm za Odrą udało się głęboko przekształcić. Pozostaje obserwować, jak silny wpływ będzie to mieć na Kościół w Polsce – bo że część niemieckich rozwiązań przyjmiemy, to pewne. Zbyt silne są więzi łączące polskich duchownych z Kościołem w Niemczech, by mogło być inaczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 29d687f464



KROPiK, czyli jak wylać dziecko z kąpielą

24 lutego rząd przyjął projekt ustawy o Krajowym Rejestrze Oznakowanych Psów i Kotów (KROPiK), który w teorii ma pomóc w rozwiązaniu problemu bezdomności zwierząt w Polsce. Tyle że zapisy w projekcie mają się nijak do tych założeń, a prawdziwy cel wydaje się być zupełnie inny

KROPiK to inicjatywa wiceministra rolnictwa Jacka Czerniaka z Lewicy, który pierwsze próby wdrożenia tego pomysłu podjął już w 2024 r. Wówczas opór społeczny – i to zarówno ze strony obywa teli, jak i organizacji pozarządowych – sprawił, że zaniechano tych planów. Co się zatem zmieniło?

Chociaż Ministerstwo Rolnictwa przekonuje, że rejestr pomoże w rozwiązaniu problemu bezdomności zwierząt, to warto zwrócić uwagę, że projekt w ogóle nie dotyka sedna patologii „pseudoschronisk". Samo oznakowanie psa czy kota i wpisanie go do państwowej bazy danych w żaden sposób nie poprawia warunków, w jakich te zwierzęta przebywają w schroniskach. Projekt ustawy bowiem ani nie nakłada obowiązku realnych, skutecznych kontroli warunków bytowych zwierząt, ani też nie eliminuje procederu czerpania zysków z przetrzymywania zwierząt w skrajnie złych warunkach przez podmioty wygrywające gminne przetargi. Zamiast tego widzimy tu niczym nieuzasadniony interwencjonizm państwowy, budujący kolejny monopol w obszarze gospodarki.

NIEREALNE OCZEKIWANIA

Analiza Oceny Skutków Regulacji (OSR) oraz uzasadnienia projektu ujawnia wiele założeń, które w realiach administracyjnych i społecznych można uznać za niezwykle optymistyczne, a wręcz nierealne. Przede wszystkim założono, że do gmin mogłoby wpływać blisko 931 mln zł rocznie z opłaty od posiadania psa. Tyle że autorzy projektu „optymistycznie" założyli, że wszystkie gminy

eprasa.pl 29d687f464

wprowadzą maksymalną stawkę opłaty (186,29 zł) i ściągną ją od wszystkich 5 mln właścicieli. W praktyce większość gmin rezygnuje z tej opłaty, bo jej pobór jest droższy niż wpływy, a wprowadzenie „podatku od psa" w maksymalnej kwocie to dla samorządowców samobójstwo polityczne.

Drugim aspektem, na który warto zwrócić uwagę, jest założenie, że dzięki rejestrowi gminy będą ponosić „niższe koszty utrzymania odłowionych zwierząt", a zaoszczędzone środki przeznaczą na sterylizację. OSR w ogóle pomija fakt, że w pierwszym etapie koszty gmin drastycznie wzrosną.

Gminy będą musiały bowiem sfinansować czipowanie tysięcy psów już przebywających w schroniskach. Projekt nie wskazuje, skąd wziąć na to pieniądze, ale obiecuje oszczędności w bliżej nieokreślonej przyszłości.

SKOK NA KASĘ

Analizując zapisy projektu ustawy, trudno zatem nie odnieść wrażenia, że KROPiK to nic innego, jak klasyczna próba „skoku na kasę" Polaków. Administratorem systemu ma być Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, która dostanie... trzy lata na jego przygotowanie. Z kolei następne trzy lata przewidziano na identyfikację i rejestrację zwierząt objętych ustawą. Uruchomienie i funkcjonowanie rejestru przez 10 lat ma kosztować ponad 130 mln zł. Inna rzecz, że budowa ogólnopolskiego, bezpiecznego systemu dla 10 mln rekordów, zintegrowanego z mObywatelem, loginem profilu zaufanego i dostępem dla tysięcy lekarzy oraz służb, za niecałe 16 mln zł w rok, graniczy z niemożliwością przy standardowych kosztach zamówień publicznych IT.

Jakby tego było mało, koszty czipowania i rejestracji zwierząt poniosą ich opiekunowie, którzy zostaną do tego prawnie zmuszeni. Niedopełnienie obowiązku będzie podlegało karze grzywny. Kontrole związane z obowiązkiem czipowania i rejestracji zwierząt będą mogły prowadzić m.in. policja, straż miejska oraz Inspekcja Weterynaryjna. W pewne uprawnienia kontrolne wyposażono także wójta (burmistrza, prezydenta miasta), który uzyska możliwość kierowania do mieszkańców gminy (miasta) pouczeń o obowiązku oznakowania i rejestracji psów i kotów wraz z jednoczesnym wezwaniem do złożenia deklaracji o liczbie psów lub kotów, których są właścicielami i które podlegają obowiązkowemu oznakowaniu i rejestracji.

Warto dodać, że proponowane przepisy wymagają ponownej rejestracji zwierząt w systemie KROPiK, choć miliony psów i kotów są już oznakowane i figurują w działających bazach danych, ponieważ projekt nie przewiduje przeniesienia istniejących informacji do nowego systemu. Oznacza to, że nawet ok. 6 mln właścicieli będzie musiało przejść całą procedurę od początku, ponosząc dodatkowe koszty i ryzykując kary za niedostosowanie się do nowych regulacji.

Co ważne, projekt nie przewiduje ogólnokrajowego, systemowego mechanizmu wsparcia finansowego dla najuboższych właścicieli zwierząt. Ewentualna pomoc została w istocie pozostawiona samorządom, bez zagwarantowania im dodatkowych środków czy jasnych standardów działania. W efekcie projekt, który w założeniu ma poprawić sytuację zwierząt, w praktyce przenosi odpowiedzialność finansową i administracyjną na obywateli oraz lokalne wspólnoty.

WYKOŃCZYĆ KONKURENCJĘ

Doktor habilitowany Krzysztof Koźmiński, profesor UW, w opinii prawnej na temat KROPiK zwrócił uwagę, że „projekt ustawy ignoruje zastane stosunki społeczne, tj. przede wszystkim istniejące od lat oraz obejmujące miliony rekordów rejestry w prowadzonych przez prywatne podmioty (zwłaszcza organizacje pozarządowe o profilu prozwierzęcym) bazach danych – mimo że w wielu państwach członkowskich Unii Europejskiej krajowy prawodawca opiera właśnie na nich państwowy rejestr/system rejestrów psów i kotów, angażując zasoby prywatnych podmiotów oraz partnerów społecznych w wykonywanie zadań publicznych". To oznacza, że gdyby ustawa weszła w życie, to poskutkowałaby ona wygaszeniem działalności gospodarczej podmiotów prowadzących prywatne bazy danych oznakowanych zwierząt domowych. Ponadto doprowadziłoby to do wzrostu kosztów usług znakowania i rejestracji zwierząt, które obecnie są często świadczone nieodpłatnie, co będzie oddziaływać na schroniska dla zwierząt, hodowców zwierząt i właścicieli zwierząt domowych.

W tym miejscu warto zaznaczyć, że od 25 lat w Polsce funkcjonują prywatne bazy danych (np. SAFE-ANIMAL), które obejmują 200 z 220 schronisk i 5 tys. gabinetów weterynaryjnych, działając bez obciążania budżetu państwa. Dlaczego zatem, skoro takie rozwiązania funkcjonują z powodzeniem od lat, rządzący nie chcą, aby państwo – wzorem innych krajów w UE – odgrywało rolę darmowego dla budżetu agregatora danych z istniejących systemów, zamiast budować kosztowny monopol?

Projekt ustawy de facto likwiduje legalnie działający segment rynku usług rejestracyjnych, co jest sprzeczne z art. 20 i 22 Konstytucji RP, a także uderza w podmioty non profit i fundacje, które wypracowały skuteczny system identyfikacji zwierząt w Polsce. Rządzący chcą stworzyć centralny rejestr i system sankcji, ale ciężar organizacyjny oraz koszty funkcjonowania nowych regulacji chcą przenieść na obywateli i samorządy. To rodzi pytanie, czy proponowane rozwiązanie rzeczywiście odpowiada na najpoważniejsze problemy związane z bezdomnością i warunkami w schroniskach czy też przede wszystkim wprowadza kolejny obowiązek – z całą jego biurokratyczną i finansową konsekwencją – którego skuteczność pozostaje co najmniej dyskusyjna.

Co więcej, w UE trwają już zaawansowane prace nad rozporządzeniem o tożsamym zakresie, co oznacza, że wprowadzenie teraz polskiej ustawy grozi koniecznością jej natychmiastowej i kosztownej przebudowy po wejściu w życie prawa unijnego. W dodatku nowy system może odciąć Polskę od europejskiej sieci Europetnet, co sprawi, że polskie zwierzęta staną się „niewidzialne" dla służb za granicą.

W związku z powyższym, trudno nie uznać, że projekt KROPiK w obecnym kształcie to przykład nieuzasadnionej etatyzacji sprawnego sektora prywatnego, generujący zbędne koszty publiczne i naruszający konstytucyjne zasady zaufania obywatela do państwa.

eprasa.pl 29d687f464

Jak doszło do II Wojny Światowej



Janusz Korwin-Mikke

Gdyby w roku 1938 II RP podpisała Pakt Antykominternowski i w marcu 1939 r. razem z Niemcami oraz Japonią uderzyła na Związek Sowiecki, to cała wojna ograniczyłaby się do likwidacji ZSRS

16 KWIETNIA 1922 R. Traktat w Rapallo. Republika Niemiecka i ZSRS, dwa państwa wykluczone przez „wspólnotę międzynarodową", nawiązują bliskie stosunki i wspierają się wzajemnie. Już wtedy obawiano się czegoś na kształt Traktatu Ribbentrop-Mołotow.

16 PAŹDZIERNIKA 1925 R. Traktaty w Locarno. W tym Pakt Reński, który gwarantował nienaruszalność zachodnich granic Niemiec i demilitaryzację Nadrenii oraz Alzacji i Lotaryngii – pod warunkiem że wszystkie strony zachowują ducha porozumienia i nie zawierają sojuszów skierowanych przeciwko innym sygnatariuszom. Nie ma gwarancji granic Niemiec z Polską i Czechosłowacją.

18 WRZEŚNIA 1931 R. Incydent mukdeński. Japonia zajmuje Mandżurię. Zaczyna się wojna w Azji. Niesłychanie interesującą kwestię wojen w Chinach pomijam.

1 MARCA 1932 R. Japonia tworzy marionetkowe państwo mandżurskie, Mǎn-Zhōu-Guó (Mandżukuo; od roku 1934 cesarstwo). Jest w nim 3 proc. Mandżurów.

25 LIPCA 1932 R. Podpisanie polsko-sowieckiego paktu o nieagresji w Moskwie.

12 LISTOPADA 1933 R. W Kaszgarze proklamowanie islamskiej Pierwszej Republiki Wschodniego Turkiestanu.

26 STYCZNIA 1934 R. Podpisanie polsko-niemieckiego paktu o nieagresji w Berlinie. Oba pakty były wtedy postrzegane jako duże sukcesy polskiej dyplomacji (płk Józef Beck był wtedy wiernym wykonawcą polityki brygadiera Józefa Piłsudskiego, który był agentem niemieckiego Sztabu – ale oficjalnie polityka ta głosiła „równy dystans od Dwóch Wrogów").

13 LUTEGO 1934 R. Rządzący Ujgurstanem (Xīnjiāng) Shì-Cái Shèng obala islamską republikę, wprowadza terror – po czym zrywa z Chinami i Turkiestan Wschodni zostaje sowieckim satelitą do 1942 r. Następnie wraca do Chin.

7 STYCZNIA 1935 R. III Republika Francuska, chcąc utrzymać Królestwo Włoch we froncie antyniemieckim, ceduje na włoską Libię Pas Aouzou i nieoficjalnie zapewnia o niewtrącaniu się w stosunki z Cesarstwem Abisynii.

11–14 KWIETNIA 1935 R. Konferencja w Stresie. Włochy, Francja i Anglia potępiają militaryzację III Rzeszy (Hitler 16 marca 1935 r. ogłosił powszechny pobór, rozbudowę Luftwaffe i armii – jawne złamanie Traktatu Wersalskiego). To próba stworzenia antyniemieckiego Frontu Stresy.

2 MAJA 1935 R. Francja podpisuje w Paryżu Traktat z ZSRS o wzajemnej pomocy wojskowej w razie niesprowokowanej agresji ze strony państwa europejskiego (czytaj: III Rzeszy). Na razie nieratyfikowany.

12 MAJA 1935 R. Umiera Józef Piłsudski. Adolf Hitler ogłasza żałobę narodową i wraz z całym kierownictwem III Rzeszy pełni honorową wartę przy symbolicznej trumnie. Do władzy dochodzi duet: Ignacy Mościcki – Edward Rydz ps. Śmigły, odsuwając wiernych i wtajemniczonych piłsudczyków.

16 MAJA 1935 R. Czechosłowacja podpisuje z ZSRS taki sam pakt jak dwa tygodnie wcześniej Francja – „pod warunkiem że Francja go dotrzyma".

18 CZERWCA 1935 R. Wobec nieskuteczności Frontu Stresy Anglia zaczyna politykę appeasementu. Nie informując Francji i Włoch, zawiera z III Rzeszą Układ Morski dający Kriegsmarine (wbrew Układowi Wersalskiemu) prawo do rozbudowy do poziomu 35 proc. tonażu floty całej Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, w U-Bootach 45 proc. (a za zgodą Admiralicji nawet 100 proc.)!! Duże zagrożenie dla Francji, która zaczyna obawiać się sojuszu UK z III Rzeszą.

3 PAŹDZIERNIKA 1935 R. Włosi napadają na Abisynię.

7 PAŹDZIERNIKA 1935 R. Pod naciskiem Anglii Liga Narodów uznaje Włochy za agresora i uchwala sankcje – nieobejmujące zakazu sprzedaży węgla, ropy i stali, ale np. zakaz sprzedaży broni. Zmusza to Włochy do współpracy z III Rzeszą. Front Stresy jest martwy.

8 LUTEGO 1936 R. Książę Demchugdongrub tworzy Mèng-Jiāng, czyli zależną od Japonii Mongolię Wewnętrzną. Jest w niej 6 proc. Mongołów.

27 LUTEGO 1936 R. Francuska Izba Deputowanych ratyfikuje traktat z ZSRS (Senat dopiero 12 marca!).

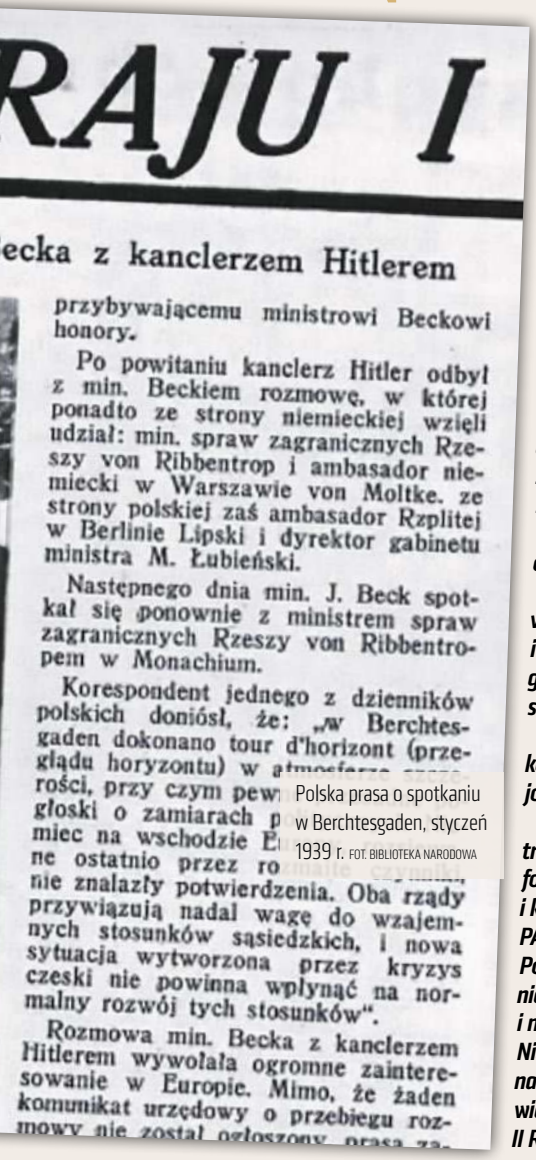


Z KI

Rozmowa ministra J. B

Powracając do Polski z wypoczynku świątecznego minister spraw zagranicznych J. Beck przybył w dniu 5 stycznia do Berchtesgaden i złożył

eprasa.pl 29d687f464



RAJU I

ecka z kanclerzem Hitlerem

przybywającemu ministrowi Beckowi honory.

Po powitaniu kanclerz Hitler odbył z min. Beckiem rozmowę, w której ponadto ze strony niemieckiej wzięli udział: min. spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop i ambasador niemiecki w Warszawie von Moltke. ze strony polskiej zaś ambasador Rzplitej w Berlinie Lipski i dyrektor gabinetu ministra M. Łubieński.

Następnego dnia min. J. Beck spotkał się ponownie z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentropem w Monachium.

Korespondent jednego z dzienników polskich doniósł, że: „w Berchtesgaden dokonano tour d'horizont (przeglądu horyzontu) w atmosferze [illegible] rości, przy czym pew[illegible] głoski o zamiarach p[illegible] miec na wschodzie E[illegible] ne ostatnio przez ro[illegible] nie znalazły potwierdzenia. Oba rządy przywiązują nadal wagę do wzajemnych stosunków sąsiedzkich, i nowa sytuacja wytworzona przez kryzys czeski nie powinna wpłynąć na normalny rozwój tych stosunków".

Rozmowa min. Becka z kanclerzem Hitlerem wywołała ogromne zainteresowanie w Europie. Mimo, że żaden komunikat urzędowy o przebiegu rozmowy nie został ogłoszony, prasa za-

Polska prasa o spotkaniu w Berchtesgaden, styczeń 1939 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

7 MARCA 1936 R. ***Hitler uznaje, że Francja ratyfikując Traktat z ZSRS, złamała Pakt Reński (Układ z Locarno). Wysyła wojsko do Nadrenii – jednak z poleceniem wycofania się, gdyby Francja zainterweniowała. Nie zainterweniowała. Mocarstwa zachodnie zlekceważyły to (potwierdzone w Locarno) złamanie Układu Wersalskiego. Podobno Józef Beck proponował wspólną akcję zbrojną; Francja odmówiła.***

5 MAJA 1936 R. ***Włosi zajmują Addis Abebę. Wojna się kończy.***

15 MAJA 1936 R. ***Liga Narodów znosi sankcje na Włochy.***

25 LISTOPADA 1936 R. ***III Rzesza i Cesarstwo Japonii podpisują Pakt Antykominternowski (PAKI; oficjalnie „Porozumienie przeciwko Międzynarodówce Komunistycznej"). Przewiduje on m.in., że z ZSRS nie wolno zawierać żadnych porozumień politycznych.***

6 LISTOPADA 1937 R. ***Do PAKI przystępuje Królestwo Włoch. Powstaje „Oś Berlin–Rzym–Tokio".***

25 LISTOPADA 1937 R. ***Podpisanie tajnego protokołu: PAKI automatycznie przedłużane co pięć lat.***

30 WRZEŚNIA 1938 R. ***Podpisanie (bez udziału Czechosłowacji!) Układu Monachijskiego, oddającego III Rzeszy Sudety. W dniu podpisania Układu w Monachium o godz. 23.45 (!!) ogłoszone zostaje 12-godzinne (!) ultimatum Polski w sprawie oddania przez Czechosłowację części: Zaolzia, Spiszu i Orawy. Polska zostaje uznana za sojusznika III Rzeszy.***

2 PAŹDZIERNIKA 1938 R. ***II RP zajmuje Zaolzie, w grudniu – Górną Orawę i Górny Spisz.***

PAŹDZIERNIK 1938 R. ***Intensywne rozmowy Polski (sojusznika III Rzeszy) z Rumunią i Węgrami na temat Zakarpacia i wspólnej granicy polsko-węgierskiej i polsko-rumuńskiej.***

14–19 PAŹDZIERNIKA 1938 R. ***Wymiana not konsularnych, klauzula najwyższego uprzywilejowania między Polską i Japonią.***

24 PAŹDZIERNIKA 1938 R. ***Joachim Ribbentrop w Berchtesgaden przedstawia Janowi Józefowi Lipskiemu, ambasadorowi II RP, przyjazną i korzystną propozycję: przystąpienie II RP do PAKI, zgodę na zajęcie przez Niemcy wrogiego Polsce Wolnego Miasta Gdańska (z zachowaniem i rozszerzeniem praw Polski w Gdańsku!) i na eksterytorialną autostradę i kolej do Prus. Nie wiadomo, czy omawiano wspólne uderzenie na ZSRS. Wiadomo, że Lipski, na wpół żartobliwie, obiecał Hitlerowi pomnik, jeśli ten rozwiąże II RP problem z Żydami.***

19 LISTOPADA 1938 R. ***Jan Józef Lipski przedstawia w imieniu rządu polskiego „ostateczną odmowę" na propozycje niemieckie. Co ciekawe, przez kilka miesięcy Niemcy nie mogą uwierzyć, że Polska, wróg ZSRS, może tak postępować wbrew własnemu interesowi. Załamuje się koncepcja PAKI.***

5 STYCZEŃ 1939 R. ***Pułkownik Józef Beck spotyka się w Berchtesgaden z Adolfem Hitlerem i 6 stycznia w Monachium z Joachimem Ribbentropem. Niemcy proponują, już ostrzej: przystąpienie do PAKI, zgodę na zajęcie WM Gdańska i na eksterytorialną autostradę i kolej do Prus. Beck odmawia.***

10 MARZEC 1939 R. ***Józef Stalin – dowiedziawszy się, że II RP nie pójdzie razem z III Rzeszą – wygłasza „kasztanową mowę", w której wyrozumiale stwierdza, że PAKI skierowane jest przeciwko... burżujom z Anglii, Francji i USA, a dwa państwa socjalistyczne, czyli III Rzesza i ZSRS, powinny współpracować; czyli proponuje ZSRS, zamiast II RP, jako sojusznika III Rzeszy. Na czym bardzo dobrze wychodzi.***

14 MARCA 1939 R. ***Parlament w Bratysławie pod przywództwem ks. Józefa Tiso proklamuje Republikę Słowacką.***

15 MARCA 1939 R. ***Uspokojony mową Stalina Hitler (który obawiał się sowieckiej interwencji, stosunki Czechosłowacji z ZSRS były bardzo dobre, pakt podpisany – ale Francja się nie ruszyła...) łamie Pakt Monachijski, zajmując Czechy, Morawy i Śląsk Austriacki (Morawski). W oczach Zachodu Hitler – który w Monachium „uratował pokój" – nagle stał się wiarołomcą, któremu nie można ufać.***

31 MARCA 1939 R. ***Neville Chamberlain ogłasza w Izbie Gmin gwarancje dla Polski; Francja się przyłącza, uwierzywszy, że II RP nie jest sojuszniczką III Rzeszy.***

2 KWIETNIA 1939 R. ***Walery Sławek, przewidziany przez Piłsudskiego na Jego następcę, a odsunięty od wpływu na politykę, widząc całkowite odwrócenie polityki – i w przekonaniu, że Polska jest zgubiona – popełnia samobójstwo. Na pogrzebie piłsudczycy nie dopuścili do trumny m.in. Edwarda Rydza-Śmigłego i premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego.***

6 KWIETNIA 1939 R. ***Pułkownik Beck w Londynie przyjmuje gwarancje i składa wzajemne zobowiązanie.***

7 KWIETNIA 1939 R. ***Ultimatum Włoch dla Albanii. Inwazja – i 12 kwietnia detronizacja Zogu I. Królestwo Albanii zostaje objęte unią personalną przez Wiktora Emanuela.***

28 KWIETNIA 1939 R. ***Hitler uczciwie i oficjalnie zrywa pakt z Polską z 1934 r. – z powodu układów II RP z aliantami.***

11 MAJA (DO WRZEŚNIA) 1939 R. ***Japonia szykuje się do wojny z ZSRS; energiczna kontynuacja starć sowiecko-japońskich toczonych już od dawna bez wypowiedzenia wojny (!).***

KWIECIEŃ–SIERPIEŃ 1939 R. ***Londyn i Paryż próbują (przez ambasadorów) wciągnąć ZSRS do sojuszu.***

12–21 SIERPNIA 1939 R. ***W konsekwencji tych rozmów do Moskwy przybywa delegacja wojskowa mająca omówić szczegóły techniczne aliansu z ZSRS. Stalin domaga się prawa przemarszu Armii Czerwonej przez tereny Polski i Rumunii. II RP i Królestwo Rumunii stanowczo odmawiają. Rozmowy z Aliantami zostają zerwane, Sowieci zapraszają na rozmowy Ribbentropa.***

23 SIERPNIA 1939 R. ***Pakt Ribbentrop-Mołotow (w nim tajny protokół o podziale Polski). Wobec gwarancji angielsko-francuskich jest to w praktyce decyzja o wojnie europejskiej oraz zdrada sojuszników z PAKI przez Hitlera.***

eprasa.pl 29d687f464

Sowieci, spokojniejsi co do zachodniej granicy, przerzucają część wojsk na wschód.

1 WRZEŚNIA 1939 R. III Rzesza zamiast napaść na ZSRS, atakuje II RP. Szok dla Japończyków (Polska miała dobre stosunki z Japonią). Prolog wojny w Europie.

3 WRZEŚNIA 1939 R. Zjednoczone Królestwo (o godz. 11) i III Republika Francuska (o godz. 17) wypowiadają wojnę III Rzeszy. Początek wojny europejskiej.

4 WRZEŚNIA 1939 R. Hiszpania ogłasza neutralność w wojnie. Po ataku na ZSRS pozwala na wysłanie na front ochotników („Błękitna Dywizja" – 47 tys. żołnierzy).

16 WRZEŚNIA 1939 R. Marsz Jerzego Żukowa wygrywa bitwę nad Chałchyn-Goł. Stalin postanawia wreszcie wkroczyć do Polski (do tej pory, mimo ponagleń niemieckich, zwlekał, obawiając się uderzenia Japonii).

Wygląda na to, że III Wojna Światowa też – jak II – będzie się zaczynała w kilku miejscach i jej rozruch przeciągnie się w czasie

17 WRZEŚNIA 1939 R. ZSRS zdradziecko atakuje Polskę, tym samym zrywając pakt z roku 1932, i potwierdza, że robi to w porozumieniu z III Rzeszą. Dla Japonii to dowód całkowitej zdrady Hitlera.

10 MAJA 1940 R. III Rzesza atakuje Francję przez Belgię, Holandię i Luksemburg.

25 CZERWCA 1940 R. Kapitulacja Francji; wchodzi w życie rozejm z Compiègne. Upada III Republika, na nieokupowanych terenach powstaje Państwo Francuskie.

3 LIPCA 1940 R. Royal Navy niszczy flotę Państwa Francuskiego w Mers-el-Kébir, Aleksandrii i Dakarze. Państwo Francuskie nie wypowiada wojny Wielkiej Brytanii.

22 WRZEŚNIA 1940 R. Japonia bez wypowiedzenia wojny wkracza do Tonkinu. Po czterech dniach walk kolonialne władze Państwa Francuskiego „wyrażają zgodę na pobyt wojsk Cesarstwa".

28 PAŹDZIERNIKA 1940 R. Ultimatum Królestwa Włoch i Albanii do Królestwa Grecji – odrzucone. Inwazja – bez konsultacji z III Rzeszą – na Grecję z terytorium Albanii. Grecy odpierają atak i zajmują nawet ok. jednej czwartej Albanii. Na wiosnę Mussolini prosi Hitlera o pomoc.

20 LISTOPADA 1940 R. Do PAKI przystępuje Królestwo Węgier (23 listopada 1940 r. Królestwo Rumunii, 24 listopada 1940 r. Państwo Słowackie, 1 marca 1941 r. Królestwo Bułgarii).

13 PAŹDZIERNIKA 1940 R. Początek rozmów o Pakcie Czterech. Ribbentrop listownie proponuje Sowietom (nie informując o tym Tokio!) przystąpienie do PAKI jako czwarty Członek-Założyciel.

23 PAŹDZIERNIKA 1940 R. Na spotkaniu w Hendaye Hitler proponuje Hiszpanii wejście do wojny, Franco odmawia.

12–13 LISTOPADA 1940 R. Mołotow, Hitler i Ribbentrop rozmawiają w Berlinie. Niemcy proponują Sowietom Indie, czyli również dzisiejszy Pakistan i Afganistan oraz Iran (Japonia miałaby w tej koncepcji wziąć całą skośnooką Azję i Australię, III Rzesza Europę i kraje arabskie, Królestwo Włoch: Afrykę). Mołotow żąda jednak wstępnie Bułgarii, Finlandii, Turcji, Iraku i Zatoki Perskiej.

25 LISTOPADA 1940 R. Mołotow i Stalin przekazują pisemnie dodatkowe warunki przystąpienia do Paktu Czterech: m.in. wycofanie wojsk niemieckich z Finlandii, bazy w Turcji, Bułgaria w strefie sowieckiej, Zatoka Perska.

GRUDZIEŃ 1940 R. Rozmowy spowalniają, gdyż Hitler uznał warunki za nie do przyjęcia i najprawdopodobniej już wtedy zaplanował uderzenie na zbyt grymaśnego sojusznika. Ale jeszcze większy problem był z Japonią, dla której Rosja od początku XX wieku była śmiertelnym „Wrogiem z Północy", a już rozmowy z komunistami budziły zrozumiały, zasadniczy wstręt.

11 MARCA 1941 R. USA zgadzają się na Lend-Lease dla UK.

6 KWIETNIA 1941 R. Niemcy wspomagają militarnie Włochy przeciwko Grecji i Jugosławii. Opóźnia to o ponad dwa miesiące atak na ZSRS.

13 KWIETNIA 1941 R. Cesarstwo Japonii ulega sugestiom III Rzeszy i – z najwyższym obrzydzeniem – podpisuje z ZSRS w Moskwie pięcioletni Pakt o Nieagresji (przedłużany co pięć lat). Pakt Yōsuke Matsuoki i Wieńczysława Mołotowa nie jest uzgodnieniem Paktu Czterech, przełamuje jednak główną przeszkodę do jego zawarcia.

22 CZERWCA 1941 R. III Rzesza uderza na ZSRS, ponownie robiąc wariata z Cesarstwa, które nie zostało o tym uprzedzone.

24 LIPCA 1941 R. Japonia zajmuje Annam i Kochinchinę – ponownie bez wypowiedzenia wojny. Państwo Francuskie również nigdy nie wypowiedziało wojny Cesarstwu, które traktowało Indochiny tak jak III Rzesza Belgię i Holandię: jako przejściową bazę do ataku na Malaje, Birmę i Indie.

26 LIPCA 1941 R. Po zajęciu Indochin USA zamrażają wszystkie aktywa Japonii w USA.

1 SIERPNIA 1941 R. USA nakładają embargo na eksport ropy naftowej do Japonii. Dołączają do tego Anglia i Holandia. To praktycznie wymusza atak Japonii na np. holenderską Indonezję.

8 WRZEŚNIA 1941 R. Niemcy i Finowie oblegają St. Petersburg (chwilowo: „Leningrad"). Wojska niemieckie prą na Moskwę.

17 PAŹDZIERNIK 1941 R. Szpieg w Tokio, Ryszard Sorge, zawiadamia Stalina, że Japonia dotrzyma podpisanego paktu i nie uderzy na ZSRS, tylko na USA. Stalin przerzuca 25 dywizji syberyjskich do Europy i postanawia nie opuszczać Moskwy. Aby nie zdradzać szpiega, ZSRS przekazuje tę wiadomość do Waszyngtonu w sposób mglisty; Amerykanie nie dają wiary.

15 LISTOPADA 1941 R. Finlandia, jako „współpracownik", przystępuje do PAKI.

5 GRUDNIA 1941 R. Kontrofensywa pod Moskwą. Świeże dywizje syberyjskie odrzuciły przemarznięte (–40 st. C) i źle zaopatrzone wojska niemieckie.

7 GRUDNIA 1941 R. Japonia, mając ręce związane paktem Matsuoka-Mołotow i nie chcąc pomagać zdradzieckim Niemcom, wykonuje podjętą już wcześniej decyzję i wypowiada, nie informując o tym III Rzeszy – wojnę USA (w Japonii jest już 8 grudnia 1941 r.) napadając jednocześnie na Pearl Harbor. Prolog wojny światowej. Państwa Osi nawet nie próbowały (w odróżnieniu od I Wojny Światowej!) wciągnąć do sojuszu Meksyku, co przesądziło o wyniku wojny. Bez udziału Meksyku nie wolno było atakować Stanów Zjednoczonych.

8 GRUDNIA 1941 R. Japonia wypowiada wojnę Zjednoczonemu Królestwu i napada na Hongkong. Uwzględniając różnicę czasu, można uznać, że nie napadła przed wypowiedzeniem wojny.

11 GRUDNIA 1941 R. III Rzesza i Królestwo Włoch wypowiadają wojnę USA. Wojna światowa w pełni.

Przebieg i wynik wojny znamy. Jak widać, winni wybuchu II Wojny Światowej są wszyscy: głównie Anglia, ZSRS, Niemcy i Polska. W mniejszym stopniu Japonia, Francja i Włochy. Polska rzeczywiście jest odpowiedzialna za to, że wybuch wojny stał się nieunikniony – ale z zupełnie innego powodu niż podawany obecnie przez Rosję. Gdyby w roku 1938 II RP podpisała PAKI i w marcu 1939 r. razem z Niemcami i Japonią uderzyła na Związek Sowiecki, to cała wojna ograniczyłaby się do likwidacji ZSRS.

PS Wygląda na to, że III Wojna Światowa też będzie się zaczynała w kilku miejscach i jej rozruch przeciągnie się w czasie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Bohaterstwo GL

To niesłychane, jak była preparowana w Polsce Ludowej historia wojny i okupacji. Z jednej strony było, w najlepszym wypadku, pomijanie dokonań organizacji niepodległościowych czy wręcz ich negowanie, z drugiej – tworzenie „historii alternatywnej". Było to odbieranie im faktycznego dorobku i przypisywanie sobie lub też bezczelne zmyślanie akcji, których nie było. Czasem jednak tak bardzo przesadzali, że od zamierzonej wzniosłości popadali w skrajność całkowicie ich ośmieszającą. Tak było z „akcją bojową" – napadem na pocztę w Janowcu koło Sandomierza nocą z 27 na 28 lipca 1942 r., co opisał w swej relacji m.in. Jerzy Duracz „Felek". Wyszły pomieszanie z poplątaniem. Gwardziści dokonali bowiem napadu nie na pocztę, tylko na mieszkanie prywatne pracownicy poczty, Jaroszyńskiej. Akurat zatrzymał się u niej na noc brat, który miał broń. Później opisali go jako… pułkownika SA, którego bohatersko zlikwidowali. Gdy gwardziści dokonali napadu, on strzelił przez drzwi do napastników. Ranny został dowódca gwardzistów August Langer vel Lange „Gruby Stach", który – w przeciwieństwie do reszty – miał jakieś doświadczenie jako uczestnik wojny domowej w Hiszpanii.

W tej sytuacji „grupa bojowa" poszła w rozsypkę. Rannego „Grubego Stacha" początkowo zabrali ze sobą, ale ponieważ uciekali we trzech (Duracz, Jerzy Piwowarek „Jureczek" i Edwin Rozłubirski „Gustaw"), przez teren bagienny, postanowili go… porzucić. „Postanawiamy ukryć Staszka w kępie krzaków [...]. Zostawiamy więc Staszka owiniętego płaszczem, zabieramy mu dokumenty, twarz okładamy mchem, żeby ukoić pragnienie, i nie oglądając się za siebie, szybko oddalamy się od pozostawionego towarzysza". Wielce się zdziwili, gdy porzucony towarzysz, nie chcąc wpaść w ręce niemieckiej obławy, samodzielnie dotarł do pobliskiej wsi!

A uciekinierzy natknęli się na ostatnią przeszkodę: „Gdyśmy uszli już spory kawał drogi […], Gustaw pokazał nam jakieś zielonawo-żółte smugi. Byliśmy wtedy pewni, że to rakiety, jakie puszcza za nami pogoń [...]. Odkrycie Gustawa bardzo nas zaniepokoiło". Byłoby groźnie, gdyby to rzeczywiście były rakiety. Ale rzecz szybko się wyjaśniła: nie były to bowiem rakiety, ale… „ogniki powstające na tamtych moczarach". I to byłoby na tyle. No, prawie. „Gruby Stach" jakoby zginął ponad rok później. Został odznaczony za tę akcję Krzyżem Walecznych i wkrótce został „majorem GL". Rozłubirski został zaś generałem dywizji „ludowego" WP i był m.in. ekspertem do spraw zwalczania terroryzmu Solidarności przy Wojciechu Jaruzelskim. Do dziś jest bohaterem w Izbie Pamięci WP. ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nóż w wodzie

Scenariusz do swojego pełnometrażowego debiutu Roman Polański pisał początkowo z Jakubem Goldbergiem, ale dopiero dołączenie do zespołu Jerzego Skolimowskiego przyniosło pożądane efekty. Skolimowski – były bokser, elektryk w zespole Krzysztofa Komedy, początkujący poeta – miał już na koncie współpracę z Andrzejem Wajdą i Jerzym Andrzejewskim przy „Niewinnych czarodziejach". Zapowiadał się obiecująco, więc gdy tylko przyjechał na egzaminy do łódzkiej filmówki, od razu wpadł w ręce Polańskiego.

Wkład Skolimowskiego faktycznie okazał się ogromny. Polański przyznawał zresztą, że Jerzy „talentem i oryginalnością" przerastał „innych o głowę" i bez jego udziału „Nóż w wodzie" zapewne miałby zupełnie inny charakter.

Poważne problemy były natomiast z obsadą roli żeńskiej. Polański złożył propozycję Jolancie Umeckiej, którą poznał na basenie Legii. Niestety, nie miała ona żadnego doświadczenia filmowego, a jej największym atutem była dobra figura. Niebawem reżyser miał żałować swojego wyboru.

Umecką trzeba było dubbingować, ale to był najmniejszy problem. O wiele większym okazał się niepohamowany apetyt aktorki, która podczas zdjęć „przeobrażała się w pucołowatą babę". Chowano przed nią jedzenie i wyciągano na forsowne biegi, aby tylko utrzymać ją w formie fizycznej.

Z pozostałymi członkami ekipy filmowej nie było kłopotów – Leon Niemczyk był aktorem ze znacznym doświadczeniem, autostopowicza zagrał Zygmunt Malanowicz, operatorem został Jerzy Lipman, a muzykę miał napisać Komeda. Większość akcji rozgrywała się na jeziorze, więc przyjaciel reżysera, Wojtek Frykowski, dostał angaż ratownika. Szybko zdobył uznanie członków ekipy filmowej, więc kiedy „złamał rękę, ci ustalili jednogłośnie, w drodze plebiscytu, że »ryzykujemy życie, ale nie godzimy się na zmianę ratownika«".

Po miesiącu do Wojtka dołączyła jego wciąż aktualna żona, Ewa. Z przyczyn kwaterunkowych musiała spać razem z nim, ale był to już łabędzi śpiew ich związku. Przez pewien czas małżonek rościł sobie jednak pretensje do wyłączności na jej wdzięki, aż wreszcie interweniowali koledzy z ekipy filmowej.

Przy okazji skorzystał również Polański, z którym Frykowska miała osobiste porachunki. Pamiętała, że odpadła w castingu do filmu, gdyż nie spodobała mu się w kostiumie kąpielowym. Teraz założyła się z przyjaciółką o litr wódki, że jednak go uwiedzie.

Frykowska wygrała ten „pieprzony litr wódki", a do ludzi kręcących „Nóż w wodzie" przylgnęła opinia „ekipa szwagrów". Premiera miała miejsce 9 marca 1962 r., a film zdobył nominację do Oscara… ©℗

eprasa.pl 29d687f464



Z Ołeksijem Arestowyczem, blogerem, byłym doradcą biura prezydenta Ukrainy
rozmawia Maciej Pieczyński

Widziałem z bliska hipokryzję Zełenskiego

MACIEJ PIECZYŃSKI: W jednym ze swoich występów medialnych nazwał pan Ukraińców „gównem, które wstyd wycierać z buta". W głośnym wywiadzie, udzielonym Kseni Sobczak, wyjaśniał pan, że nie chodziło o cały naród, tylko o „zawodowych Ukraińców". Czyli o kogo?

OŁEKSIJ ARESTOWYCZ: O ukraińskich nacjonalistów, którzy chcą, by ich państwo było monoetniczne i monokulturowe. To ich nazwałem „gównem". Wspólnie z historykiem Ilją Czedołumą swego czasu analizowaliśmy ukraińskie projekty ideologiczne czasów modernizmu, ukształtowane pod koniec XIX w. Naliczyliśmy ich 19. Najróżniejsze koncepcje – od sojuszu z Polską do sojuszu z Rosją. Projekt „Ukraina jako anty-Rosja" był wówczas najbardziej marginalny. Niestety, to właśnie on zwyciężył. Ukraińcy zaczęli więc budować swoją ideę narodową na prześladowaniu rosyjskojęzycznej kultury i rosyjskojęzycznej ludności. To zaś jest złamaniem wszelkich praw – od ziemskich do boskich. A to dlatego, że dla milionów Ukraińców rosyjski jest językiem ojczystym.

Ale też dla milionów Ukraińców jest to język wroga.

Wszyscy Ukraińcy częściej lub rzadziej mówią po rosyjsku. Cała ukraińska kultura miejska jest kulturą rosyjskojęzyczną.

Wielu rosyjskojęzycznych po wybuchu wojny przeszło na ukraiński. Według zeszłorocznego

eprasa.pl 29d687f464



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

sondażu grupy Rejtynh 62 proc. Ukraińców w domu mówi tylko po ukraińsku. To nie wszyscy, ale jednak większość.

To są bajki. Rzecznik do spraw ochrony języka ukraińskiego, Ołena Iwanowska, publicznie przyznała, że większość uczniów w Kijowie rozmawia ze sobą na przerwach po rosyjsku. „Zawodowi Ukraińcy", którzy chcą swoim rodakom zabronić posługiwania się językiem ojczystym, nie mają ku temu żadnych podstaw. Przed Euromajdanem ani jedna partia nacjonalistyczna, oprócz Swobody, którą finansowała Partia Regionów jako wygodnego wroga, nie była w stanie zdobyć więcej niż 3 proc. głosów w wyborach parlamentarnych. Ukraińcy konsekwentnie odmawiali poparcia banderowcom. Po Euromajdanie, dzięki panującej powszechnie retoryce wojny, zawodowi Ukraińcy przejęli władzę. Zaczęli prześladować przeciwników ideowych, bo nie byli w stanie konkurować z nimi w uczciwy sposób. Banderowcy zawsze idą tą samą drogą. Najpierw wypowiadają wojnę albo Polakom, albo Niemcom, albo Rosjanom, po czym zaczynają wojnę z własnym narodem. Dlatego uważam, że zasłużenie nazwałem zawodowych Ukraińców gównem i śmieciem genetycznym.

Jednak wielu Ukraińców nienawidzi Rosji nie dlatego, że są ograniczonymi intelektualnie banderowcami, tylko dlatego, że rosyjskie bomby spadają im na głowy. Z własnej woli przechodzą na język ukraiński i cieszą się, gdy w ich mieście zburzony zostaje pomnik Aleksandra Puszkina, ponieważ w obecnej sytuacji rosyjski poeta kojarzy się z rosyjskim imperializmem.

W Odessie zburzono pomnik Puszkina, który nie został ustanowiony przez państwo, tylko z prywatnej inicjatywy i za prywatne pieniądze mieszkańców miasta. Już nie wspomnę o tym, że to był pomnik architektury, wpisany na listę UNESCO. Ukraińcy, jako typowi ludzie postsowieccy, są konformistami. Potrafią demonstrować lojalność wobec partii. To typowa mentalność człowieka, który nigdy nie miał ani swojej prywatnej własności, ani własnych poglądów. Zawsze dostosowywał się do myślenia mainstreamu. Banderowcy nie reprezentują większości społeczeństwa. Problem w tym, że po ich stronie stają kolejni prezydenci. Petro Poroszenko prywatnie jest człowiekiem absolutnie rosyjskojęzycznym. Był diakonem Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego. W rodzinnym gronie rozmawia po rosyjsku. A jednak gdy został prezydentem, to na sztandarze wypisał sobie hasło „armija, mowa, wira" (ukr. armia, język, wiara). Potem doszedł do władzy Zełenski, który obiecywał przestrzeganie praw obywateli rosyjskojęzycznych i zapowiadał szeroki, nie zaś nacjonalistyczny projekt tożsamości ukraińskiej, jednak w imię swoich osobistych interesów politycznych zajął stanowisko jeszcze bardziej banderowskie niż Poroszenko…

Ale może tego właśnie chcą Ukraińcy. W warunkach agresji rosyjskiej oczekują, że ich przywódca będzie nacjonalistą.

Nacjonalistyczne poglądy Zełenskiego to czysta hipokryzja. Przepracowałem z nim trzy lata. Codziennie obserwowałem go z bliska. Nie licząc wystąpień publicznych, nie powiedział przy mnie ani jednego słowa po ukraińsku. Językiem roboczym

eprasa.pl 29d687f464

Biura Prezydenta Ukrainy jest rosyjski. Proszę posłuchać taśm Mindicza z nagraniami skorumpowanych polityków. Żaden z nich nie mówi po ukraińsku. To jest klasyczne orwellowskie dwumyślenie, dobrze znane wszystkim ludziom postsowieckim – publicznie mówimy po ukraińsku, czyli zgodnie z linią partii, prywatnie mówimy po rosyjsku, czyli szczerze. Oczywiście nie wszyscy są tacy. Zdarzają się i tacy, którzy w proteście przeciwko inwazji przeszli na ukraiński. Ponownie powołam się na Ołenę Iwanowską, która przyznaje, że część Ukraińców po przejściu na ukraiński teraz wraca do rosyjskiego.

Niejednokrotnie nazywał pan Zełenskiego zbrodniarzem wojennym. Czy to samo powiedziałby pan o Putinie?

Tak, Putin jest zbrodniarzem wojennym. Ksenia Sobczak ze wspomnianego wywiadu ze mną usunęła dobre 30 minut, w tym te momenty, w których ostro krytykowałem Putina. A potem reklamowała naszą rozmowę takimi hasłami jak „Arestowycz naprasza się Putinowi, żeby w jego imieniu rządzić Ukrainą". Tymczasem ja jestem wobec niego bardzo krytyczny. Moim zdaniem jest politykiem ograniczonym, który nie ma pomysłu na modernizację Rosji. Gdybym ja był na jego miejscu, mając zasoby, którymi dysponuje, zakładałbym miasta na Marsie, a ludzkość postawiłaby mi pomnik (śmiech). Zyski z surowców inwestowałbym w naukę i rozwój. Tymczasem Putin woli wydawać pieniądze na zabijanie ukraińskich dzieci i na grożenie polskim dzieciom, że je pozabija – tak należy rozumieć wymachiwanie szabelką broni atomowej.

Porównywał pan Zełenskiego z Hitlerem i z Kaddafim. Dlaczego?

Hitlera przypomina w tym sensie, że kieruje się myśleniem bunkrowym. Innymi słowy, postrzega siebie jako oblężoną twierdzę, otoczoną przez wrogów. Angela Merkel postawiła w swoich wspomnieniach ciekawą tezę. Jej zdaniem ograniczenie kontaktów osobistych między politykami w czasie pandemii COVID sprawiło, że trudniej im było się porozumieć, to zaś przyspieszyło wojnę. Twarzą w twarz zawsze łatwiej się dogadać i załagodzić spór, niż dzwoniąc na drugi koniec globu ze swojego bunkra pod ziemią. Jako żołnierz wiem, czym jest to bunkrowe albo też okopowe myślenie. W tym aspekcie Zełenski był jak Hitler. Pamiętam, jak przechadzał się po swojej kwaterze, samotny dyktator – rozglądał się wokół nieufnie, niczym zapędzony do kąta pająk, którego wszyscy chcą zdeptać, otruć, zabić, słowem: wszyscy są przeciwko niemu. Czasem ta jego paranoja wyziera z wywiadów, gdy np. rzuca pod adresem całego Zachodu nerwowe pytanie: „Zdecydujcie się: chcecie wyborów czy chcecie mnie obalić?!". Takie pytania stawia tylko człowiek z myśleniem bunkrowym.

A skąd porównanie z Kaddafim?

Bo również może paść ofiarą niezadowolenia społecznego. Banderowcy przechodzą dziś do defensywy. Jeszcze niedawno publicznie chwalili TCK [Terytorialne Centrum Rekrutacji, ukraińskie WKU – przyp. red.] za siłową mobilizację i bicie poborowych na ulicach. Jednak ludzie zaczęli się tej przemocy przeciwstawiać, broniąc swojej godności i praw. I wtedy zrozumieli, że to wcale nie przeklęty Arestowycz, rosyjski szpieg, tylko szerokie masy społeczeństwa ukraińskiego mogą przeciwko nim wystąpić i ich obalić. Zełenski może się doigrać. U nas „w kuchni" [ros. razgowory na kuchnie – rozmowy w kuchni, szczere rozmowy, w których, w domowym zaciszu, Rosjanie narzekają na władzę – przyp. red.] zaczyna się mówić coraz częściej o tym, że możliwy jest rozpad Ukrainy na dwa albo trzy mniejsze państewka, które będą ze sobą walczyć. Na przykład funkcjonariusze TCK będą walczyć z „uchylantami". Albo dojdzie do buntu biednych przeciwko bogatym, przeciwko elicie.

Albo przeciwko Zełenskiemu, jeśli on się dogada z Putinem?

Nie, nikt nie będzie walczył przeciwko Zełenskiemu, jeśli on ustąpi Putinowi i odda mu ziemie…

Nawet weterani wojenni? Żołnierze pozwolą, by ich krew poszła na marne?

Może wystąpić co najwyżej kilka nacjonalistycznych pododdziałów. Ale do pełnoskalowej wojny domowej nie dojdzie. Stawką wojny domowej zawsze jest jakiś projekt przyszłości. Na przykład w Rosji walczyli bolszewicy z białymi – jedni chcieli Rosji imperialnej, drudzy komunistycznej. Na Ukrainie nie ma żadnych projektów przyszłości, nie ma więc o co walczyć. Co najwyżej dojdzie do obywatelskiego nieposłuszeństwa, jak w Libii. Kaddafi został rozerwany przez wściekły tłum…

Czyli przez Majdan, mówiąc językiem ukraińskiej polityki?

Tak. W tym sensie Zełenski może skończyć jak Kaddafi. Jeśli dojdzie do protestów, a on da rozkaz siłowej rozprawy, to może zostać fizycznie wyniesiony z Biura Prezydenta.

Zełenski chce zapytać Ukraińców w referendum, czy godzą się na ustępstwa terytorialne w zamian za pokój z Rosją. Są też pogłoski o zbliżających się wyborach prezydenckich…

Na wybory bardzo naciska administracja Trumpa. Nie wiemy jednak, na ile skutecznie. Minął rok, a wciąż wyborów nie ma. Myślę, że Zełenski targuje się z Amerykanami. Zgodzi się na wybory pod warunkiem uzyskania gwarancji osobistego bezpieczeństwa. W tym celu mami Trumpa obietnicami wyborów. Nie wiadomo jednak, czy je zrealizuje. Myślę, że w tym roku wyborów jednak nie będzie. Zełenski zapowiedział, że potrzebuje dwóch–trzech miesięcy zawieszenia broni, żeby móc przeprowadzić głosowanie. Ale Rosja ustami Ławrowa zgodziła się na rozejm jedynie w dniu wyborów.

I pewnie i tak by ten rozejm złamała.

Myślę, że nie. Rosja chce dogadać się z Trumpem. Według doniesień Bloomberga Moskwa przedstawiła Amerykanom projekt memorandum o współpracy gospodarczej. Pieskow oświadczył nawet, że Rosjanie są gotowi rozliczać się w dolarach, choć jeszcze niedawno wykluczali taką możliwość. Rosja ma coraz większe problemy gospodarcze, poważnie więc rozważa możliwość zawarcia pokoju na określonych warunkach. Chce, by Ukraińcy wycofali się z obwodu donieckiego. Na pozostałych odcinkach granica miałaby przebiegać wzdłuż linii frontu. Ze słów Zełenskiego wnioskuję, że nie chce oddać Donbasu, za to jest gotów zgodzić się na zamrożenie wojny na obecnej linii frontu. Obie strony dzieli więc jedynie kwestia obwodu donieckiego. Putin chce narodowi zdać raport z wojny. Chce pokazać, że ponad milion jego żołnierzy zginęło lub zostało rannych nie na darmo. „Ponieśliśmy straty, ale przynajmniej uratowaliśmy

eprasa.pl 29d687f464

naród Donbasu, było więc warto" – tak brzmiałby mniej więcej ten komunikat.

Tyle że nawet zawarcie pokoju będzie pewnie jedynie przerwaniem ognia. Kolejna wojna, zdaniem wielu ekspertów, byłaby kwestią czasu.

Tak, jeśli Ukraina nie przestanie być anty-Rosją, to kolejna wojna jest nieunikniona.

Czyli Kijów musi de facto skapitulować przed Moskwą, żeby uniknąć kolejnej inwazji.

Nie, wystarczy, że będzie przestrzegać własnej konstytucji. A w niej nigdzie nie jest napisane, że Ukraina powinna być anty-Rosją. W art. 10 ustawy zasadniczej czytamy: „Na Ukrainie gwarantuje się swobodny rozwój, używanie i ochronę języka rosyjskiego oraz innych języków mniejszości narodowych Ukrainy". Artykuł 24 głosi natomiast, że nie mogą istnieć ograniczenia z powodu pochodzenia etnicznego czy języka. Poza tym konstytucja została przyjęta pięć lat po ogłoszeniu niepodległości. Podstawą dla niej była deklaracja niepodległości. A tam można przeczytać, że Ukraina została uznana jako podmiot prawa międzynarodowego tylko pod warunkiem, że jest to państwo neutralne. Wpisując jednak do konstytucji zamiar wejścia do UE i NATO, z prawnego punktu widzenia zanegowaliśmy własną niepodległość. Przecież nasz byt państwowy był uznawany przez kolejne państwa na podstawie tej konkretnej deklaracji. Teraz każde z tych państw może potencjalnie powiedzieć: „Skoro nie przestrzegacie deklaracji i nie chcecie być neutralni, to my już nie uznajemy waszej niepodległości".

Nie licząc wystąpień publicznych, Zełenski nie powiedział przy mnie ani jednego słowa po ukraińsku. Językiem roboczym Biura Prezydenta Ukrainy jest rosyjski

Wróćmy do tematu referendum w sprawie ustępstw terytorialnych wobec Rosji. Dlaczego Zełenski zdaje się na wolę ludu?

W ten sposób zdejmuje z siebie odpowiedzialność. Szczególnie że chce powalczyć o reelekcję. Jego kampania wyborcza faktycznie już trwa. I to swoją drogą pokazuje, że jednak zdecyduje się rozpisać wybory. Kampania ta oparta jest na dwóch hasłach. Po pierwsze, Zełenski chwali się, że przybliżył Ukrainę do wejścia do UE. Po drugie, chce pokazać, że nie ustąpił Putinowi. Dlatego liczy na to, że Ukraińcy powiedzą „nie" ustępstwom, co z kolei pozwoli mu odmówić Trumpowi i zrezygnować z kompromisowych rozwiązań, powołując się na wolę ludu.

Ale to pokazuje, że jednak Ukraińcy nie chcą kompromisu. I chcą walczyć.

Nie, to Zełenski myśli, że takie właśnie będą wyniki referendum. Ja zaś uważam, że większość Ukraińców, zapytana „Czy chcesz oddać ziemię w zamian za pokój?", odpowie twierdząco. Wszyscy mają serdecznie dość wojny. Poza tym referendum jest korzystne dla wszystkich. Jeśli Ukraińcy zagłosują za ustępstwami terytorialnymi, to wszyscy będą mogli odtrąbić sukces. Putin będzie mógł powiedzieć, że wygrał wojnę, bo dostał ziemię. Trump będzie mógł powiedzieć, że to on doprowadził do zakończenia wojny. Zełenski będzie mógł powiedzieć: „Ja tego nie chciałem, ale Ukraińcy sami wybrali" i odetchnąć z ulgą. Jeśli jednak naród powie „nie" dla pokoju, to każdy gracz i tak na tym skorzysta. Zełenski będzie mógł dalej być dyktatorem wojennym bez ryzyka odsunięcia od władzy. Putin zyska usprawiedliwienie dla kontynuacji podboju Ukrainy. A Trump będzie mógł zrobić wszystko – uzasadnione będzie zarówno zwiększenie presji sankcyjnej na Rosję, jak i pozostawienie dwóch walczących ze sobą państw samym sobie.

W końcu wybory prezydenckie na Ukrainie będą musiały się odbyć. Sondaże pokazują, że wśród polityków zdecydowanym faworytem jest wciąż Zełenski, który z kolei w starciu z mundurowymi (Budanowem czy Załużnym) nie ma szans. Zgadza się pan z takim oglądem sytuacji?

Kyryło Budanow wypada z grona faworytów. Zełenski, przebierając go z munduru dowódcy wywiadu wojskowego w garnitur szefa Biura Prezydenta, odebrał mu instrument do budowania poparcia. Teraz wczorajszy bohater wojenny jest zwykłym urzędnikiem. A urzędnicy na Ukrainie, wiadomo, zazwyczaj są skompromitowani. Natomiast zgadzam się, że Zełenski jest bezkonkurencyjny wśród polityków, a głównym faworytem pozostaje Załużny. Przy czym w przypadku Zełenskiego poparcie jest w dużej mierze poparciem dla samego urzędu prezydenta. Szczególnie w czasie wojny, kiedy naród skupia się wokół władzy. Gdy jednak ten efekt minie, Zełenski może przegrać równie spektakularnie, jak spektakularnie wygrał z Poroszenką w 2019 r. Wtedy wielu ludzi głosowało nie tyle na Zełenskiego, ile przeciwko Poroszence. Głosowanie „przeciwko" ma u nas długą tradycję…

Jakim prezydentem byłby Załużny?

Wszystko zależy od tego, jacy ludzie znajdą się w jego otoczeniu i kogo będzie słuchał. Jako człowiek, który przyjaźni się z nim i zna go od 30 lat, mogę powiedzieć, że Załużny jest umiarkowanym centrystą o twardym charakterze. To będzie opcja prozachodnia, proeuropejska. Jednak Walera jest wystarczająco elastyczny, żeby na konkretnym etapie zawrzeć pokój, i wystarczająco twardy, żeby zdusić sprzeciw tych, którzy będą protestować. Zarazem jest człowiekiem na tyle racjonalnie myślącym, by rozumieć, że pokój może być tymczasowy. Dlatego Załużny z jednej strony zgodzi się na porozumienie, z drugiej zaś – zacznie od razu szykować się do kolejnej wojny.

Czyli Ukraina będzie nadal, używając pańskich słów, antyrosyjska?

Nie do końca. Załużny nie będzie chciał prześladować ludności rosyjskojęzycznej. Chce walczyć z Rosją, ale nie jest banderowcem. Będzie prowadzić politykę militarystyczną, ale bez ideologicznego zacięcia nacjonalistycznego.

Ale przecież swego czasu fotografował się z portretem Bandery.

Tak, ale to było na fali powierzchownej mody na banderyzm. Co innego patriotyczny kicz, a co innego realna polityka, w której Walera jest z przekonania centrystą.

Skoro nadal się ze sobą przyjaźnicie, to może Arestowycz ponownie zostanie doradcą Biura Prezydenta, ale tym razem Załużnego?

O tym zdecyduje prezydent Załużny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464

Fidesz znów może wygrać



Maciej Szymanowski

Pomimo upływu lat u władzy ugrupowanie Viktora Orbána zachowało swój największy atut – wewnętrzną jedność. Partia Tisza pozostaje na tym tle jednoosobowym spektaklem bez wątpienia medialnie niezwykle utalentowanego Pétera Magyara, który w ocenie kompetencji przegrywa jednak z premierem Węgier

Tisza – partia Pétera Magyara – zamierza zakończyć okres 16-letnich rządów Fideszu

FOT. BALINT SZENTGALLAY/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Déjà vu à la polonaise. Tak jak przed czteroma laty te same polskie media, politycy, a nawet eksperci wieszczą zwycięstwo opozycji nad prawicową koalicją pod przywództwem premiera Viktora Orbána w rozpisanych na 12 kwietnia br. wyborach parlamentarnych. Dokładnie tak jak wtedy węgierska opozycja ma być zjednoczona „jak nigdy", mieć świetnego lidera oraz prowadzić w przedwyborczych sondażach „jak nigdy" różnicą nawet 20 punktów procentowych. Jak jednak w rzeczywistości wygląda sytuacja dwa miesiące przed wyborami parlamentarnymi na Węgrzech? I jaka jest faktyczna stawka tych wyborów?

Tym razem pogromcą rządzącej nieprzerwanie od 2010 r. koalicji konserwatywnego Fideszu z Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową (KDNP) ma stać się partia Tisza (od lewostronnego dopływu Dunaju – rzeki Cisy), której nazwę – traktując jako skrót – rozwija się zwykle jako Partia Szacunku i Wolności. W sondażach wspomniane ugrupowanie dysponuje od miesięcy dwucyfrową przewagą. Owszem, tylko według tych instytutów badania opinii publicznej, które – jak często cytowany w Polsce Instytut Republikon – dawały opozycji również przed czteroma laty 10–20 punktów procentowych przewagi nad sprawującą władzę koalicją Fidesz-KDNP. Inne sondażownie w tym samym czasie wieszczą jednak wyraźną przewagę koalicji rządzącej. Co, dodajmy, nad Dunajem nikogo nie dziwi. Podobnie jak w Polsce przestało dziwić zjawisko, że faworyt sondaży i zwycięstwo w wyborach prezydenckich to poniekąd dwie różne sprawy.

Przede wszystkim jednak węgierskich sondaży nie należy czytać polskimi oczyma, ponieważ wybory parlamentarne na Węgrzech wygrywa się w okręgach jednomandatowych, choć istnieją tam również listy krajowe. Dobrze to widać na przykładzie wyborów sprzed czterech lat, w których koalicja Fidesz-KDNP wygrała tylko nieznacznie na poziomie list ogólnokrajowych, zdobywając z nich 48 mandatów (zjednoczona opozycja: 38), aby równocześnie w okręgach jednomandatowych wygrać w stosunku: 87:19 mandatów, co summa summarum przyniosło rządzącym większość dwóch trzecich głosów w 199-osobowym parlamencie.

STRACH PRZED PORAŻKĄ

Ponadto warto odnotować, że partia Tisza poddała się próbie wyborczej tylko raz w swojej historii, biorąc udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2024 r. (30 proc. głosów, siedmiu eurodeputowanych na 21 przydzielonych Węgrom miejsc). W wyborach samorządowych, które odbywały się wówczas równolegle z tymi zarządzonymi do PE, wystawiła swoich kandydatów tylko w Budapeszcie (także 30 proc. poparcia), konsekwentnie unikając później udziału w wyborach uzupełniających do parlamentu węgierskiego oraz poszczególnych samorządów, co trudno traktować inaczej jak strach przed porażką.

Ciekawostką tegorocznych wyborów parlamentarnych na Węgrzech jest to, o czym w Polsce się – nie wiadomo dlaczego – nie pisze, że kampania jak

eprasa.pl 29d687f464

nigdy dotąd rozgrywa się w cyberprzestrzeni. Opozycja wykorzystuje platformy mediów społecznościowych do nieustannych antyrządowych kampanii, gdzie sensacja goni sensację. I cóż, dezinformacja – dezinformację, która szerzona jest w tempie celowo niepozostawiającym przestrzeni na szerszą polemikę. Ponadto partie rządzące powołały wirtualne Kluby Obywatelskie, w skład których weszło ok. 40 tys. wolontariuszy internautów aktywnie wspierających rząd. Na ile skutecznie, przekonamy się oczywiście tak naprawdę dopiero w dniu wyborów. Biorąc pod uwagę statystykę dotyczącą samych liderów, to pomimo faktu, że Péter Magyar wyraźnie czuje się w infosferze jak ryba w wodzie, na Facebooku wciąż dysponuje dwa razy mniejszymi zasięgami niż Viktor Orbán. I aż 40 razy mniejszymi zasięgami na platformie X. Jedynie na Instagramie i TikToku Magyar dysponuje przewagą nad premierem Orbánem, choć nie jest ona szczególnie wielka.

Biorąc z kolei do ręki poważne dane socjologiczne, widać, że koalicja Fidesz-KDNP jest mało popularna wśród obywateli poniżej 40. roku życia. Z kolei jeśli chodzi o osoby w kategorii wiekowej 40–60 lat, to dysponuje niezbyt dużą przewagą. Dopiero wśród ludzi z generacji 60+ przeistacza się w dominację bliską proporcji 7:1. Wyborcy partii Tisza należą wyraźnie do młodszej generacji, są skoncentrowani w stolicy i jej aglomeracji oraz w kilku większych miastach. Nie jest to dobrą informacją dla ugrupowania Magyara właśnie z uwagi na rozsiane po całym kraju wspomniane okręgi jednomandatowe. Poza tym, jak wiadomo, frekwencja wyborcza wśród starszych osób zwyczajowo jest wyższa niż wśród młodych ludzi.

Partii Tisza co prawda udało się sprowadzić tegoroczne wybory do swoistego referendum za rządem lub przeciw niemu, co bez wątpienia jest jej dużym sukcesem. Zwłaszcza w kontekście dość oczywistego społecznego zmęczenia wieloletnimi rządami Viktora Orbána, szczególnie wśród młodszych wyborców, którzy odkąd sięgają pamięcią wstecz, po prostu nie znają innego premiera. Ponadto ta sama partia strzeliła sobie w stopę, sięgając w kampanii po kuriozalny zakaz publicznych wypowiedzi nałożony na własnych kandydatów na posłów. Stało się tak, ponieważ Tisza jest partią typowo wodzowską, w której brak przestrzeni dla pluralizmu poglądów, czego objawem jest też brak w jej strukturze jakiegokolwiek kolektywnego organu w rodzaju rady politycznej. Zaważył też czynnik braku programu, który długo zastępowała totalna konfrontacja oraz odmieniana przez wszystkie przypadki obietnica rozliczenia rządu poprzedników. W kontekście oparcia szeregów partii na bardzo różnorodnych środowiskach politycznych – od postkomunistycznych, przez liberalne i libertariańskie, po byłych członków Fideszu, do których w końcu zaliczają się sam przewodniczący i kandydat na premiera Péter Magyar – skutkowało to kakofonią przekazu w każdej sprawie – czy to chodzi o politykę podatkową, czy socjalną, czy inwestycyjną. Wspomniany zakaz wypowiedzi uległ co prawda ostatnio pewnemu rozluźnieniu – kandydaci na posłów uzyskali prawo do udzielania autoryzowanych wywiadów, ale pierwsze tygodnie kampanii prowadzonej w terenie właśnie Tisza może uznać za stracone.

TYPOWA KAMPANIJNA RETORYKA

Zniesienie zakazu okazało się możliwe w związku z ogłoszeniem 7 lutego br. oficjalnego programu partii. Co w nim znajdujemy? Pomijając typową kampanijną retorykę w rodzaju: „Nazajutrz po wyborach wszyscy, którzy pragną wolnego, bezpiecznego, europejskiego, wolnego od korupcji kraju o stabilnych podstawach etycznych – państwa rozwijającego się i przyjaznego życiu, będą w końcu mogli odetchnąć z ulgą. Podejmiemy działania, które wyraźnie pokażą: zaczyna się nowa era.", program partii Tisza zawiera… typową kampanijną retorykę. Na przykład obietnicę obniżenia obciążeń podatkowych, ale zarazem też cen energii dla gospodarstw domowych, podwyżki płac i emerytur, wyższe nakłady na szkolnictwo i służbę zdrowia etc. Jak w przypadku zwycięstwa Tiszy wzrosną pensje czy emerytury? To każdy obywatel łatwo może sobie obliczyć przy pomocy specjalnych kalkulatorów zamieszczonych na oficjalnym portalu partii.

Z innych obietnic programowych dowiadujemy się, że dokona się otwarcie archiwów komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, czyli zostaną przeprowadzone lustracja polityczna oraz lustracja majątkowa. Ta ostatnia obejmie jednak jedynie ostatnie 20 lat, czyli głównie okres rządów prawicy i Viktora Orbána, ale już nie czas przejmowania majątku narodowego przez członków komunistycznej nomenklatury w latach 90. Celem przeprowadzenia lustracji majątkowej mają zostać powołane do życia nawet dwie zupełnie nowe instytucje: Urząd do spraw Bezpieczeństwa oraz Narodowy Urząd do spraw Zwrotu Majątku.

W programie partii Tisza, co ciekawe, próżno szukać rozdziału poświęconego węgierskiej polityce zagranicznej. W sumie w 240-stronicowym dokumencie nazwa „USA" jest wzmiankowana łącznie pięć razy, „Ukraina" – trzy, „Rosja" – 17, „Chiny" – zero, „UE" – 196. Tym samym potwierdzają się opinie, że wraz z ewentualną zmianą władzy nad Dunajem lider Tiszy nie będzie kontynuował suwerenistycznej polityki zagranicznej, z której Węgry w ostatnich latach były znane.

Jak wynika z badań przeprowadzonych jeszcze jesienią ub.r. przez Instytut Policy Solutions w Budapeszcie, kompetencje rządzącej koalicji wśród ogółu ankietowanych Węgrów są lepiej postrzegane jedynie w trzech kategoriach: powstrzymywanie nielegalnej imigracji, budowa silnej armii, polityka prorodzinna. Partia Tisza odnotowuje lepsze od rządu wyniki z kolei w takich kategoriach jak: odblokowanie funduszy unijnych, polepszenie opieki zdrowotnej, walka z korupcją i inflacją, odbudowa wzrostu gospodarczego (który na Węgrzech po spadku odnotowanym w 2023 r. od dwóch lat wynosi zaledwie +0,5 proc. PKB). Jednocześnie Péter Magyar postrzegany jest jako wyraźnie gorszy kandydat na premiera niż Viktor Orbán (w proporcji ok. 30 proc. do ok. 50 proc.). Po części dlatego, że do momentu, gdy stał się latem 2024 r. w wieku 43 lat prezesem partii, Magyar nigdy wcześniej w swoim życiu nie kierował żadnym zespołem ludzkim. Także sposób rozstania ze swoją żoną, byłą minister sprawiedliwości (przeżyła załamanie nerwowe), a także późniejszą partnerką Evelin Vogel, którą, podobnie jak wcześniej żonę, potajemnie zresztą nagrywał, pozostaje dla niego do dzisiaj dużym wizerunkowym obciążeniem. Dodatkowo Péterowi Magyarowi nie tylko często

eprasa.pl 29d687f464

zdarza się mijać z prawdą – współcześnie to żaden wyróżnik w świecie polityki – ale niejednokrotnie trudno zrozumieć, dlaczego twierdzi to, co twierdzi.

Typowym tego przykładem jest chociażby sytuacja z 21 lutego br., pierwszego dnia oficjalnej kampanii wyborczej, kiedy można było już zacząć umieszczać plakaty i billboardy na ulicach oraz zacząć zbierać podpisy z poparciem dla partii. Magyar tego dnia już w południe ogłosił, że jego partia zgromadziła ćwierć miliona podpisów. Tyle tylko że stwierdzenie to okazało się całkowicie fałszywe. Jak przekazał Narodowy Urząd Wyborczy (NVI) w odpowiedzi na zapytanie o informację publiczną, Tiszę poparło swoim podpisem dokładnie 110 448 obywateli. I to nie do południa, ale do godz. 16. Podczas gdy w tym samym dniu Fidesz przekazał do NVI 196 tys. podpisów.

W prognozach dotyczących wyniku kampanii wyborczej na Węgrzech nie mniej ważny wydaje się również fakt, że dopiero się ona rozkręca, a w starciu na argumenty obecny rząd będzie miał wiele do powiedzenia.

Jak wiemy, wojny na Ukrainie nie udało się niestety zakończyć ani nawet doprowadzić do zawieszenia broni. Wsparcie militarne czy finansowe dla Ukrainy, tzw. szybka ścieżka członkostwa w UE, pozostaje z kolei sprawą bardzo niepopularną na Węgrzech (notabene podobnie jak praktycznie we wszystkich pozostałych krajach tworzących kiedyś monarchię Habsburgów). Manfred Weber i Europejska Partia Ludowa (EPP), główni zagraniczni mentorzy partii Tisza i osobiście Pétera Magyara, którzy obecnie nadają ton różnym proukraińskim działaniom, nie są więc w kampanii tak wielką wartością dodaną, jakby na pozór mogło się wydawać.

Przed wyborami rząd przygotowuje się do przedstawienia kolejnych owoców swojej pracy. Po wmurowaniu 22 lutego br. kamienia węgielnego pod terminal Plusz (węgierski odpowiednik CPK) czeka Węgrów wkrótce otwarcie szybkiej kolei na trasie Budapeszt – Belgrad, oddanie do użytku największej w Europie fabryki chińskich samochodów BYD czy chociażby inauguracja przebudowanej w wielkim stylu na cele kulturalne cytadeli na Wzgórzu Gellerta.

Choć udział Węgrów mieszkających za granicą jest trochę przeceniany, to zapewne i tym razem na kandydatów z listy krajowej koalicji rządzącej Fidesz-KDNP padnie – jak należy się spodziewać – zdecydowana większość spośród ok. pół miliona oddanych głosów.

Ewentualna zmiana rządów nad Dunajem oznaczałaby zmianę statusu Węgier z państwa proamerykańskiego na sprzymierzeńca doktryny strategicznej autonomii UE

Pomimo upływu lat u władzy Fidesz zachował swój największy atut – wewnętrzną jedność. Partia Tisza pozostaje na tym tle one man show. Jednoosobowym w sumie spektaklem bez wątpienia medialnie niezwykle utalentowanego Pétera Magyara, który w ocenie kompetencji – jak było już wspomniane – przegrywa jednak z premierem Węgier.

Z powyższych powodów opozycja na Węgrzech będzie grała na skrajną polaryzację społeczną i emocje w ogóle. Efektem tego już dziś jest wycofanie się z udziału w wyborach praktycznie wszystkich mniejszych partii opozycyjnych. Jeśli taktyka ta okaże się skuteczna i Tisza wygra wybory, to Węgry po z górą 35 latach przerwy powrócą do systemu rządów sprawowanych przez jedną partię, która swoich oponentów traktuje w kategoriach wroga, a nie przeciwnika politycznego.

PERTURBACJE GEOPOLITYCZNE

Nie najlepiej wróży to stabilności wewnętrznej tego kraju. A państw stabilnych w Europie Środkowej w ostatnich latach gwałtownie ubywa. Na Ukrainie toczy się dramatyczna wojna, do problemów gospodarczych w Rumunii doszedł kryzys polityczny po tym, jak unieważniona została pierwsza tura wyborów prezydenckich celem zmiany kandydatów. Premier Robert Fico cudem przeżył zamach na swoje życie, ale gorączka życia politycznego na Słowacji i próby delegitymizacji władzy drogą ulicznych manifestacji są kontynuowane w najlepsze. Nowy rząd premiera Andreja Babiša w Czechach jeszcze nie zdążył podjąć żadnej istotniejszej decyzji, a już manifestowało przeciw niemu 100 tys. ludzi w Pradze, a kolejne tysiące w 400 dalszych miastach, na 21 marca br. zaś została ogłoszona demonstracja na milion uczestników. I długo można byłoby tę wyliczankę jeszcze kontynuować.

Równolegle relacje wszystkich praktycznie państw Unii Europejskiej sąsiadujących z Ukrainą ulegają systematycznemu pogorszeniu – zarówno w wymiarze stosunków międzypaństwowych, jak i nastawienia poszczególnych narodów i społeczeństw do Ukraińców. Po latach przerwy stosunki Chorwacji z Serbią ponownie weszły na krzywą eskalacyjną, a w Albanii, Bośni i Hercegowinie czy Macedonii Północnej odczuwalnie rośnie frustracja z powodu wieloletniej blokady rozmów akcesyjnych z UE.

Grupa Wyszehradzka, która powstała przede wszystkim po to, aby uchronić państwa Europy Środkowej przed wpadnięciem w pułapkę okresu międzywojnia, kiedy na arenie międzynarodowej ówczesna Czechosłowacja zwalczała Węgry, Polska – Czechosłowację, a reszta państw regionu w większej czy mniejszej mierze naśladowała ten chocholi taniec, szukając zewnętrznych protektorów dla wzmocnienia swojej pozycji, przeżywa swoją śmierć kliniczną.

W szerszych kategoriach geopolitycznych ewentualna zmiana rządów nad Dunajem oznaczałaby również zmianę statusu Węgier na wschodniej flance NATO. Z państwa proamerykańskiego na sprzymierzeńca doktryny strategicznej autonomii UE, cokolwiek w praktyce to ostatnie oznacza. Przegranie wyborów przez premiera Orbána w warunkach prowadzonej przez Komisję Europejską i Parlament Europejski polityki „zagładzania Węgier" (copyright: wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley), to jest zablokowania przed laty środków KPO, dziś funduszy SAFE, oraz nałożenia dotkliwych kar finansowych za zamknięcie granic przed nielegalnymi imigrantami, oznaczałoby z kolei wzmocnienie praktyk dyscyplinujących politycznie państwa członkowskie. I pozostawienie tego gotowego do użycia arsenału metod także wobec tych państw, których liderzy dzisiaj życzą porażki rządowi Viktora Orbána na Węgrzech.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, hungarystą, wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 29d687f464

Rób interesy w Krakowie

MARR S.A. zaprasza do współpracy

Jeśli określenie „motor napędowy gospodarki” użyć w kontekście Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. w Krakowie, to należy stwierdzić, że jest ona silnikiem wysokiej mocy, z dużym stopniem niezawodności i łatwością osiągania sporych przebiegów. Spółka od ponad 30 lat działa konsekwentnie na rzecz rozwoju i wzrostu konkurencyjności regionalnych firm. Zapewnia pomoc finansową, doradczą i szkoleniową. Tworzy warunki do prowadzenia biznesu oraz promuje markę Małopolski w kraju i za granicą. Oferuje też pod wynajem nowoczesną i atrakcyjną przestrzeń dla biznesu.

Taką przestrzenią jest MARR Business Park przy ulicy Nad Drwiną w Krakowie. To jeden z dwóch kompleksów nieruchomości należących do spółki. Spory obszar tej 22,5-hektarowej powierzchni został już z pożytkiem zajęty przez rozmaite firmy na zasadzie długoletnich umów najmu. Jednak część terenu jest wciąż do zagospodarowania. To funkcjonalne hale i budynki wyposażone w zaplecza biurowo- socjalne oraz parkingi i utwardzone place manewrowe. Jest też kilka działek niezabudowanych o łącznej powierzchni 6 ha – do zabudowy na cele produkcyjno-handlowe.

– Nasze nieruchomości charakteryzują się znacznym potencjałem użytkowym, można tam ulokować produkcję, mogą służyć jako magazyny – opisuje je Mariusz Górak, dyrektor Departamentu Inwestycji i Zarządzania Nieruchomościami MARR S.A. – Dodatkowym atutem jest bliskość Urzędu Celnego, a także drogi ekspresowej S7 i autostrady A4. Zachęcamy do skorzystania z okazji – dodaje.

– Naszym klientom gwarantujemy przewidywalne warunki prawne, ekonomiczną stabilność oraz otoczenie przyjazne działalności gospodarczej. Spółce zależy na wspólnym realizowaniu misji rozwoju Małopolski oraz budowaniu konkurencyjności gospodarczej regionu – zachęca Marcin Kozik, prezes Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A.



MARR Business Park przy ulicy Nad Drwiną w Krakowie

FOT. MARR S.A.

Drugim kompleksem nieruchomości MARR S.A. w Krakowie jest Park Handlowy Zakopianka. Otwarto go jesienią 1998 r. i było to wówczas największe centrum handlowe w Polsce. Zachowane elementy zabytkowej architektury zakładów sodowych Solvay, wkomponowane w nowoczesną infrastrukturę, nadały miejscu unikalny, postindustrialny charakter. Galeria handlowa, hipermarket, market budowlany, wielkie kino oraz miks kilkudziesięciu lokalnych i międzynarodowych marek od lat budują handlową tradycję południowego Krakowa.



Marcin Kozik, prezes Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A.

– Nasza spółka odegrała rolę nie tylko zapobiegliwego gospodarza terenu, lecz także strażnika interesu publicznego oraz pamięci historycznej – mówi Marcin Kozik, prezes MARR S.A. – To miejsce generuje przychody do budżetu regionu, daje pracę setkom osób. Na dodatek stale się modernizuje.

Ale oferta MARR S.A. to nie tylko nieruchomości oraz doradztwo. Także pieniądze. Spółka dysponuje niezwykle ciekawą ofertą pożyczkową dla małych i średnich przedsiębiorstw, spółdzielni mieszkaniowych, TBS-ów, NGO-sów, jednostek samorządowych, naukowych i kościelnych.

– W przypadku firm sektora MŚP pożyczka może wynosić nawet do 500 tys. zł – mówi Rafał Wdowicz, p.o. dyrektor Departamentu Instrumentów Finansowych MARR S.A. – Można ją przeznaczyć na zakup środków trwałych, towarów handlowych, materiałów do produkcji, na remont lokalu, na wydatki związane z promocją oraz inne cele inwestycyjne.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 29d687f464

Wyrzut sumienia świata



Witold Repetowicz

Bitwa o Kobane stanowiła przełom w wojnie z Państwem Islamskim, a heroiczna obrona miasta przez Kurdów zrobiła z niego symbol. Dziś znowu jest ono oblężone przez dżihadystów, odcięte od elektryczności, wody, Internetu. Ale teraz ci dżihadyści mają dobry PR na świecie

Zimą w północnej Syrii nie jest ciepło, zwłaszcza nocą. Choć w ciągu dnia silne słońce potrafi ogrzać, to w nocy można zmarznąć. Miałem okazję tego doświadczyć w listopadzie 2015 r., gdy odwiedziłem Kobane, kurdyjskie miasto znajdujące się na północno-wschodnich krańcach syryjskiej prowincji Aleppo, na granicy z Turcją (a precyzyjniej – tureckim Kurdystanem). Spałem wówczas w jedynym działającym hotelu w mieście, w którym jednak nie działało ogrzewanie. Musiałem nałożyć na siebie zimową kurtkę i kilka koców, by przetrwać noc. Ale moje warunki były i tak komfortowe w porównaniu z tymi, w których spali mieszkańcy. Rano, spacerując po Kobane, mogłem zobaczyć, jak w ruinach domów przy rozpalonych ogniskach grzeją się gromady dzieci. Były uśmiechnięte, bo cieszyły się, że wróciły do domu, nawet jeśli były to gruzy. Bo Kobane wyglądało wówczas jak Warszawa w 1945 r. Było w 90 proc. zniszczone.

Wszystko zaczęło się latem 2012 r., gdy podczas syryjskiej wojny domowej tamtejsi Kurdowie ogłosili autonomię. Siły rządowe Baszara al-Asada nie stawiały tam specjalnego oporu, bo północ nie była dla syryjskiego dyktatora priorytetem. Założył on, że odzyska ją, gdy upora się z rebeliantami i dżihadystami w bardziej strategicznych regionach. Ale Kurdowie od samego początku mieli innego wroga. Byli to dżihadyści ze związanej z Al-Kaidą Dżabat an-Nusra, a potem z Państwa Islamskiego (ISIS). Uważali Kurdów za bezbożników, bo ci wprowadzali równouprawnienie płci i religii, a nie szariat. Latem 2013 r. ISIS zaczęło ofensywę na kurdyjskie wioski na południe od Kobane, co spowodowało napływ tysięcy uchodźców do miasta. Nigdy nie akceptowali oni zasad dżihadystów, a to oznaczało wyrok śmierci. 15 września 2014 r. ISIS zaczęło atak na miasto, który ostatecznie okazał się kluczem do klęski terrorystów. Teraz jednak biorą oni za to odwet.

KCIUKI ERDOĞANA

Bitwa o Kobane trwała pół roku, a obrońcy miasta byli znacznie słabsi. Dżihadystów było ok. 9 tys. i dysponowali kilkudziesięcioma czołgami, podczas gdy broniące miasta Powszechne Jednostki Ochrony (YPG/YPJ) liczyły co najwyżej 2 tys. bojowników i nie miały ciężkiego sprzętu. Pod koniec września miasto znalazło się w całkowitym oblężeniu. To znaczy prawie całkowitym, gdyż zachowało dostęp do granicy z Turcją. Tyle że turecki przywódca Recep Tayyip Erdoğan nie ukrywał, że trzyma kciuki za atakujących i czeka z niecierpliwością na upadek Kobane. Turcja nie chciała autonomii kurdyjskiej w Syrii, a dżihadystów, czy to spod znaku Al-Kaidy, czy ISIS, nie postrzegała jako zagrożenie. Oskarżała też YPG/YPJ o związki z uznawaną za terrorystyczną Partią Pracujących Kurdystanu (PKK) i dlatego naciskała na USA, by nie pomagały Kobane.

Gdy 26 września ISIS zajęło strategiczne wzgórze Misztanur, z którego mogło prowadzić ostrzał artyleryjski miasta, Barack Obama nakazał pierwsze naloty na ich pozycje. Ze względu na naciski Turcji były one jednak początkowo bardzo ograniczone. Tymczasem dowództwo YPG/YPJ nakazało wszystkim kobietom, dzieciom i mężczyznom niezdolnym do walki opuszczenie miasta. Do sąsiedniego Suruc, małego kurdyjskiego miasteczka po drugiej stronie granicy, przedostało się 130 tys. osób, które codziennie wychodziły na granicę obserwować, co się dzieje z ich domami. Postawa Turcji i aktywność agentów ISIS na jej terenie doprowadziły też do krwawych zamieszek, które przetoczyły się przez kurdyjskie miasta w Turcji. Zginęło wówczas 37 osób.

eprasa.pl 29d687f464



Pocisk moździerzowy w centrum Kobane, 4 lutego 2015 r.

FOT. MURSEL COBAN - DEPO PHOTOS/ZUMA PRESS/FORUM

Ewakuacja mieszkańców wpisywała się w kurdyjską logikę, w której przetrwanie narodu ma kluczowe znaczenie. Tym YPG/YPJ różni się np. od Hamasu, dla którego ofiary cywilne, zwłaszcza dzieci, są paliwem propagandowym. Dlatego też zainteresowanie świata sprawą kurdyjską w Syrii i bitwą o Kobane zaczęło pojawiać się dopiero w ostatnich tygodniach 2014 r., gdy miasto było bliskie upadkowi. W połowie listopada terroryści kontrolowali już ok. 60 proc. jego terytorium. Wtedy Obama zdecydował się zignorować naciski Erdoğana i zintensyfikował naloty na ISIS, a także dokonał zrzutów broni, amunicji i opatrunków dla obrońców. W grudniu YPG/YPJ zaczęło wypierać ISIS z miasta, a 26 stycznia ostatecznie Kobane, a raczej to, co z niego zostało, było wolne. Nie był to jednak koniec, a raczej początek końca, tylko że nie Kurdów i Kobane, a ISIS.

YPG/YPJ już się nie zatrzymało, a współpraca z Amerykanami zaczęła się coraz bardziej zacieśniać. Do 20 marca 2014 r. trwała kontrofensywa zakończona wyparciem ISIS z tzw. kantonu Kobane, czyli kurdyjskich terenów na południe od miasta. Ale wkrótce potem zaczęły się kolejne operacje Kurdów przeciwko ISIS, które po klęsce w Kobane nigdy nie wylizało się ze swych ran i nie odniosło już żadnego sukcesu. Trzy lata po próbie zdobycia Kobane przez ISIS oddziały kurdyjskie wzięły ostateczny odwet i po czteromiesięcznej bitwie zdobyły Rakkę, główną siedzibę ISIS. To stamtąd planowano zamachy terrorystyczne w Europie, które w dużym stopniu ustały po tym, jak Kurdowie pokonali tam ISIS, a tysiące terrorystów uwięzili. Ostatnio jednak wielu z nich odzyskało wolność dzięki temu, że na Kurdów napadli dżihadyści obecnych władz Syrii.

ZASTRASZONA EUROPA

Świat bardzo szybko zapomniał o Kobane i o tym, jaką rolę obrona tego miasta odegrała w wojnie z ISIS. Tymczasem, gdy tylko bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, mieszkańcy zaczęli wracać do ruin swoich domów. Turcja blokowała jednak dostarczanie jakiejkolwiek pomocy humanitarnej czy wsparcia dla odbudowy, a Europa, znajdująca się pod presją migracyjną, wolała nie drażnić sułtana. W czerwcu 2015 r. miałem po raz pierwszy wjechać do Kobane. Jedyną opcją było nielegalne przekroczenie granicy z Turcją w rejonie Suruc, do którego dojechałem 25 czerwca. Nie zdołałem jednak przekroczyć granicy, gdyż tego dnia ISIS dokonało odwetu na mieszkańcach. Około 100 terrorystów przedostało się w nocy w przebraniach i zaczęło masakrę – zginęło prawie 250 cywilów, a ponad 300 zostało rannych. Do kostnicy w Suruc co chwila zwożono zwłoki, a tureckie wojsko obsadziło granicę, ale nie po to, by atakować terrorystów, lecz po to, by nie pozwolić Kurdom z Turcji pójść na pomoc. Mogli jedynie obserwować, jak terroryści przez trzy dni kontynuowali swoje mordercze dzieło.

Rozmawiałem wówczas z sąsiadami mordowanych, którzy wstrzymali się wtedy jeszcze z powrotem. Niewielu deklarowało, że chce iść do Europy w poszukiwaniu lepszego i bezpiecznego życia. Większość podkreślała, że jak tylko będzie już bezpiecznie, to wrócą do domu, bo nie chcą żyć nigdzie indziej, jak tylko w Kobane. I nieważne, że jest ono w gruzach. Odbudują je. Wśród tych, którzy jednak podjęli inną decyzję, był niejaki Abdullah Kurdi. Dwa miesiące po masakrze w Kobane próbował przedostać się z Turcji do Grecji, lecz jego łódka zatonęła, a dwuletni syn Alan zginął. Zdjęcie zwłok chłopca, wyrzuconych na brzeg w okolicach Bodrum, obiegło świat i było wykorzystywane do oskarżeń pod adresem Europy o nieczułość

eprasa.pl 29d687f464

wobec tragedii migrantów. W chórze oskarżycieli zagrzmiał też Erdoğan, który oświadczył, że „kraje europejskie, które zamieniły Morze Śródziemne w cmentarz migrantów, ponoszą odpowiedzialność za każdego zmarłego uchodźcę". Był to ten sam Erdoğan, który nie mógł się doczekać zajęcia Kobane przez ISIS, a potem blokował jakąkolwiek pomoc dla mieszkańców miasta. Zastraszona Europa wolała nie poruszać tego tematu i w całej debacie o tragedii Alana Kurdiego pomijano kwestię Kobane, z którego pochodził.

Do Kobane udało mi się w końcu wjechać w listopadzie 2015 r. Rówieśnicy Alana Kurdiego, których rodziny postanowiły wrócić do miasta, nie interesowali ani Erdoğana, ani większości liderów europejskich, ani mediów światowych, a w rezultacie również międzynarodowej opinii publicznej. Ich sytuacja była dramatyczna, a mimo to nie żałowali powrotu. Nigdy nie zapomnę grupy uśmiechniętych nastolatków przyjaźnie do mnie machających z jednej z ruin, gdzie grzali się przy rozpalonym przez siebie ogniu. Albo wizyty w prowizorycznym baraku zamienionym na szkołę, gdzie miejscowa nauczycielka uczyła maluchy języka kurdyjskiego. Pod rządami dżihadystów byłaby pewnie gwałcona jako niewolnica seksualna, a dzieci szkolone byłyby do wysadzania się w Europie. Ale Turcja grzmiała, że ci w Kobane to terroryści.

Nowe władze w Damaszku żądają, żeby eksdżihadyści, w przeszłości związani z Al-Kaidą, a czasem nawet z ISIS, dokonywali weryfikacji pod względem bezpieczeństwa bojowników kurdyjskich, którzy kilka lat temu z nimi walczyli

Za al-Asada takie lekcje kurdyjskiego też by nie były możliwe, bo mieszkańcy Kobane, podobnie jak większość Kurdów w Syrii, pozbawieni byli praw. Przez kilkadziesiąt lat syryjscy nacjonaliści wmawiali arabskiej większości, że Kurdowie to przybysze i albo powinni stać się Arabami, albo opuścić Syrię. Faktem jest, że sporo Kurdów uciekło w latach 20. XX w. przed prześladowaniami w Turcji do kontrolowanej wówczas przez Francuzów Syrii. Tyle że kilka lat wcześniej tereny te należały do osmańskich prowincji, które sztucznie przedzielono po pierwszej wojnie światowej. Samo Kobane powstało ok. 1911 r. w związku z budową linii kolejowej do Bagdadu (od lat nieczynnej). Władze Syrii próbowały później narzucić arabską nazwę Ayn al-Arab, ale nikt z mieszkańców jej nie używa.

Syryjscy Kurdowie nie mieli powodów, by płakać po al-Asadzie, ale nie mogli też ufać nowym władzom. Przecież dżihadyści obecnego prezydenta Syrii, Ahmeda asz-Szaraa, mieli początkowo podobne cele co ISIS. Później drogi obu tych organizacji się rozeszły, a po zdobyciu Damaszku terrorysta Abu Muhammad al-Dżaulani stał się mężem stanu Ahmedem asz-Szaraa, a jego dżihadyści stali się Syryjską Armią Arabską. Zresztą po pokonaniu ISIS przez wspieranych przez USA Kurdów wielu spośród tych, którzy zdołali uniknąć niewoli, uciekło do swoich pobratymców. Wiem to również z własnego doświadczenia, bo w 2019 r. po obiedzie u jednego z ważniejszych szejków w Syrii dowiedziałem się od niego, że jadłem z jednej michy z byłymi członkami ISIS, którzy, jak zapewnił mnie szejk, przeszli teraz na jego stronę.

SYTUACJA KATASTROFALNA

Ostatni akt konfrontacji związany jest z żądaniami władz w Damaszku, by kurdyjskie oddziały zintegrowały się z nową armią syryjską, przy czym miałoby to nastąpić na zasadach indywidualnych. Oznacza to, że eksdżihadyści, w przeszłości związani z Al-Kaidą, a czasem nawet z ISIS, dokonywaliby weryfikacji pod względem bezpieczeństwa bojowników kurdyjskich, którzy kilka lat temu z nimi walczyli. Ci, którzy zostaliby pozytywnie zweryfikowani, podlegaliby potem eksdżihadystycznym dowódcom. Kurdowie proponowali inne rozwiązanie, tj. wcielenie swoich sił do armii syryjskiej jako trzech odrębnych dywizji. Inaczej zdaliby się bowiem na łaskę i niełaskę tych, którzy chcieli ich wymordować, a takie miasta jak Kobane zrównać z ziemią. W przeciwieństwie do znacznej części polityków zachodnich, w tym Donalda Trumpa, nie uwierzyli bowiem w cudowną przemianę dżihadystów w strażników pokoju i stabilności.

Stało się tak, jak w czerwcu 2015 r. mówili mi w Suruc uciekinierzy z Kobane. Wrócili i odbudowali miasto, w którym mieszka obecnie ok. 300 tys. osób. Ale w połowie stycznia nad Kobane zawisła groźba powtórki z 2014 r., tyle że w znacznie gorszych okolicznościach międzynarodowych. 13 stycznia dżihadyści działający jako armia rządowa uderzyli na Kurdów, a przedstawiciel Trumpa, Tom Barrack, uznał, że USA powinno postawić na nowe władze w Damaszku, Kurdowie zaś są już zbędni. W kolejnych dniach na jaw wyszło wiele okrutnych mordów dokonywanych przez „armię rządową" na Kurdach, a w szczególności najbardziej znienawidzonych przez dżihadystów kobietach służących w wojsku kurdyjskim. Brali w ten sposób odwet za to, co YPG/YPJ zrobiło w latach 2014–2017. Kurdowie wycofali się na swoje etniczne tereny, a po drodze „armia rządowa" zajęła kilka więzień i obozów, w których przetrzymywani byli terroryści ISIS oraz ich rodziny. Wielu z nich uciekło lub zostało uwolnionych.

Około 20 stycznia dżihadyści znów oblegli Kobane, odcinając zasypane śniegiem miasto od prądu, wody, żywności i łączności. Sytuacja jest katastrofalna i są pierwsze sygnały o tym, że brakuje już podstawowych produktów, w tym chleba. Mimo to kurdyjscy pobratymcy z Turcji starają się do niego przedostać, a jeśli świat nie powstrzyma ofensywy dżihadystów, to rozpocznie się nierówna, krwawa walka o przetrwanie. W bitwie w 2014 r. zginęło ponad 700 bojowników YPG/YPJ i 2 tys. terrorystów ISIS, a w całej kampanii przeciwko ISIS poległo ponad 10 tys. syryjskich Kurdów. Kurdowie z Kobane mają opinię najtwardszych z twardych, ale to nie wystarczy, by pokonać liczniejszego i lepiej uzbrojonego wroga, jeśli świat odwróci się od Kobane. Wynegocjowane 20 stycznia przez USA zawieszenie broni nie powtrzymało ataków dżihadystów na Kobane. Trzeba też mieć świadomość, że jeśli miasto zostanie zdobyte, to mieszkańcom pozostanie jedynie ucieczka. Do Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464



FOT. ADOBE STOCK

NARKOTYK W KRASNALACH

Na lotnisku Kolonia/Bonn funkcjonariusze Głównego Urzędu Celnego znaleźli 25 kg ketaminy o wartości ponad miliona euro. Narkotyk był ukryty w pięciu złotych krasnalach ogrodowych, które miały lecieć do Australii i Kanady. Tropem dla funkcjonariuszy służb celnych okazały się nieprawidłowości widoczne na zdjęciach rentgenowskich. Na stopach rozpakowanych krasnali były wyraźne zmiany.

ZAWALONA KONSTRUKCJA

Osiemnaścioro młodych ludzi zostało rannych podczas sesji zdjęciowej z okazji ukończenia nauki na Uniwersytecie Veracruzana w Xalapie (Meksyk). Konstrukcja, na której pozowali do zdjęcia, się zawaliła. Absolwenci prawa upadli na betonową powierzchnię ku przerażeniu członków ich rodzin. Szesnaścioro z nich zostało przewiezionych do szpitala celem dalszego leczenia. Do podobnego wypadku doszło tydzień wcześniej na Uniwersytecie Iberoamerykańskim w mieście Meksyk.

URATOWAŁ KASK

Dużo szczęścia miał turysta, który podczas wspinaczki w Pine Creek Canyon koło Las Vegas spadł na grunt z wysokości 15 metrów. Skończyło się na ciężkich urazach głowy i pleców. Prawdopodobnie życie mężczyźnie uratował jego kask, choć uległ zniszczeniu. Skomplikowana akcja ratownicza trwała siedem godzin. Helikopter z ratownikami przybył w miejsce położone 180 metrów nad dnem wąwozu. Rannego turystę wyciągnięto przy pomocy lin.

ŻART

Dwudziestojednoletnia narciarka postanowiła dla żartu przestraszyć swoją siostrę bliźniaczkę. Do sytuacji doszło w ośrodku narciarskim w Big Bear Mountain Resort (Kalifornia). Trzy młode kobiety jechały wyciągiem krzesełkowym. W pewnym momencie jedna z nich zsunęła się z krzesełka i na nim zawisła – 20 metrów nad ziemią. Siostrę nastraszyła, ale nie mogła wrócić na krzesełko. Zaczął się horror. Ostatecznie jednak narciarce udało się w wiszącej pozycji dojechać do górnej stacji.

ORZECZENIE AI

Sąd Najwyższy Indii zagroził konsekwencjami prawnymi po tym, gdy wyszło na jaw, że pewien sędzia niższej instancji rozstrzygając spór majątkowy, oparł swój werdykt na sfałszowanych orzeczeniach wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Jak odnotowały indyjskie media, to już kolejny incydent, w którym AI zakłóciła przebieg postępowania sądowego. W tej sytuacji Sąd Najwyższy Indii wstrzymał wykonanie wyroku sądu niższej instancji. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Kto pierwszy na Księżyc?

Ludzkość już wkrótce – pierwszy raz po ponad pół wieku – ma powrócić na Księżyc. Zanim astronauci znów postawią stopę na Srebrnym Globie, w stronę naturalnego satelity Ziemi wystartować ma załogowa misja Artemis II. Jej celem jest orbita wokół Księżyca. Samo lądowanie tym razem nie jest bowiem planowane. Załoga ma jedynie okrążyć Księżyc, minąć jego niewidoczną z Ziemi stronę, by z prędkością ok. 40 000 km/h powrócić do atmosfery Ziemi.

Ma to być ważny krok w kierunku ustanowienia długotrwałej ludzkiej obecności poza niską orbitą okołoziemską (ma być to również kluczowy element przygotowań do załogowego lotu na Marsa). Wcześniej, pod koniec roku 2022, w ramach bezzałogowego lotu testowego Artemis I, udało się okrążyć Księżyc i bezpiecznie wrócić na Ziemię.

Pierwotnie czworo astronautów miało wystartować 6 lutego obecnego roku. Termin przełożono na 6 marca. Czworo astronautów już odbywało obowiązkową kwarantannę, gdy w ubiegłym tygodniu okazało się, że w najpotężniejszej rakiecie świata (Space Launch System) niespodziewanie wykryto poważną usterkę. Termin startu w Centrum Kosmicznym przełożono zatem na kwiecień. Od powodzenia tej misji zależy start misji Artemis III, czyli ponownego lądowania człowieka na Srebrnym Globie (wstępnie planowanej na koniec 2027 r.).

Pierwszy w XXI w. załogowy lot na Księżyc to ponoć oczko w głowie Donalda Trumpa, który chciałby, aby doszło do niego za jego kadencji. Kosmiczna misja jest również elementem geopolitycznej rywalizacji USA z Chinami, które swą pierwszą załogową misję na Księżyc planują wysłać jeszcze przed końcem obecnej dekady... ©℗

eprasa.pl 29d687f464



Jacek Przybylski z Barcelony



Targi przyszłości. Wersja 2.026

Na najważniejszych europejskich targach technologicznych MWC w stolicy Katalonii zaprezentowano najnowsze samochody, smartfony, roboty, inteligentne okulary, sterowane AI maszyny do treningu sportowców, najbardziej wydajne procesory oraz innowacyjne technologie łączności czy płatności, które mają być motorem napędowym branży nie tylko w tym roku, lecz także w latach kolejnych

W tegorocznych targach Mobile World Congress (MWC) w Barcelonie udział wzięło ok. 3 tys. wystawców z całego świata (w tym takie marki jak IBM, Google, Meta etc.) i ok. 100 tys. prezesów firm, menedżerów, urzędników i zwiedzających. I to mimo że najtańsza wejściówka na targi kosztowała 1 tys. euro (czyli równowartość 4,3 tys. zł).

REWOLUCJA W FOTOGRAFII MOBILNEJ

W tym roku tłumy zwiedzających przyciągnęło Xiaomi, chiński producent, który w 2025 r. awansował już na 297. miejsce na prestiżowej liście Fortune Global 500 (w 2019 r. zajmował w tym rankingu 468. pozycję).

W tym roku ten trzeci pod względem wielkości sprzedaży producent smartfonów na świecie pochwalił się m.in. najnowszą generacją flagowców opracowanych we współpracy z firmą Leica. Napędzany wydajnym procesorem Snapdragon 8 Elite Gen 5 model Xiaomi 17 z wyświetlaczem o przekątnej 6,3 cala, z baterią o pojemności 6330 mAh wyceniono w najtańszym wariancie (12 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci na dane) na 4199 zł.

Z kolei dla najbardziej zagorzałych miłośników smartfonowej fotografii zaprezentowano Xiaomi 17 Ultra z 6,9-calowym wyświetlaczem AMOLED, 1-calową matrycą LOFIC (Light Fusion 1050L) i procesorem Snapdragon 8 Elite Gen 5 wspieranym przez 16 GB pamięci RAM. Ten właśnie model rywalizuje w tym roku o tytuł nowego króla fotografii mobilnej. W globalnym rankingu DXOMARK znalazł się w pierwszej szóstce najlepszych fotosmartfonów (naszą recenzję tego modelu publikujemy na str. 77). W najtańszym wariancie Xiaomi 17 Ultra (16+512 GB) kosztuje 6499 zł, a w wersji 16+1 TB 6999 zł. Na MWC w Barcelonie chińska marka pokazała także m.in. najnowszą serię smukłych tabletów Xiaomi Pad 8 (od 1899 zł) i Xiaomi Pad 8 Pro (od 2599 zł).

Xiaomi – które w 2026 r. odzyskało pozycję światowego lidera na rynku urządzeń ubieralnych, wyprzedzając takie marki jak Apple, Huawei czy Samsung – postanowiło zwiększyć przewagę nad konkurentami, prezentując najnowszy model inteligentnego zegarka Watch 5, który jest już w pełni zintegrowany ze sztuczną inteligencją Google Gemini. Nie miałem okazji testować go dłużej, ale nawet po krótkim obcowaniu z tym urządzeniem trudno nie być pod wrażeniem. Można nim bowiem nie tylko płacić zbliżeniowo, lecz także prosić o wykonanie dość skomplikowanych poleceń. Na przykład wystarczy wypowiedzieć adres, aby zegarek nie tylko wskazał nam drogę, lecz także samodzielnie ocenił, czy w zakorkowanej Barcelonie szybciej będzie się dostać na miejsce pieszo, samochodem, komunikacją miejską czy taksówką. W Barcelonie Chińczycy pokazali także kompaktowy, ważący 10 g lokalizator Bluetooth, który potrafi współpracować zarówno z urządzeniami z systemem Android, jak i systemem iOS. W tym przypadku przebojem jest cena: 59 zł.

Na technologicznych targach w Barcelonie nie mogło też zabraknąć inteligentnych wearables (czyli urządzeń ubieralnych) innych niż zegarki. Wielu producentów chwaliło się zatem swoimi inteligentnymi okularami. Wśród nich był model Alibaba Qwen S1, a więc chińskie okulary z AI, które mają możliwościami dorównywać konkurencyjnym okularom od Meta. Są wyposażone w kamerę i słuchawki, mogą zatem ułatwić nawigację w obcym mieście. Dzięki aplikacji do tłumaczeń potrafią też bez najmniejszego problemu tłumaczyć rozmowę w czasie rzeczywistym. Jeszcze niedawno o tego typu sprzęcie marzyć mógł jedynie Agent 007. Inteligentne okulary ma też Xiaomi, ale na razie oferują one mniej przydatnych funkcji.

eprasa.pl 29d687f464



Xiaomi Vision Gran Turismo to pierwszy hypercar tej chińskiej marki. Na razie nie będzie jednak produkowany, a jedynie udostępniony graczom Gran Turismo FOT. JAP

Motorola z kolei pokazała w Barcelonie m.in. innowacyjny Projekt Maxwell, czyli sztuczną inteligencję zamkniętą w niewielkim kawałku biżuterii, a dokładniej w inteligentnym wisiorku. Urządzenie wyposażone w kamerę i mikrofony można zawiesić na szyi lub przypiąć np. do kołnierza koszuli lub marynarki. Kluczową funkcją jest integracja z Lenovo Qira, czyli nową generacją osobistego asystenta opartego na dużych modelach językowych. Na razie nie ma jeszcze informacji o tym, kiedy gadżet trafi do masowej produkcji ani ile będzie kosztował.

CZŁOWIEK X SAMOCHÓD X DOM

W ramach rozwoju ekosystemu Human x Car x Home (Człowiek x Samochód x Dom) zaprezentowano również najnowsze hulajnogi elektryczne Xiaomi Scooter 6 (też mają być wkrótce dostępne w Polsce). Jednym z największych hitów, który przyciągał na to stoisko dziennikarzy z całego świata, był samochód marzeń… Xiaomi Vision Gran Turismo. „Rzeźbione przez wiatr" hiperauto elektryczne pozwoliło chińskiej marce dołączyć do takich gigantów motoryzacji jak Mercedes, Lexus, BMW, Ferrari, Lamborghini, Bugatti czy Porsche, którzy przez ostatnich kilkanaście lat również prezentowali swoje „wielkie wizje" aut na wirtualne tory GT konsoli PlayStation. I chociaż Xiaomi tworząc swój samochód koncepcyjny, inspirowało się najszybszymi bolidami, to jednocześnie inżynierowie firmy kompletnie zmienili wnętrze tego typu auta: zamiast surowego kokpitu rozwinęli koncepcję „Sofa Racer", czyli wygodnej, „wyścigowej kanapy". Xiaomi zaprezentowało jednocześnie futurystyczny kokpit do simracingu. Nie wiadomo jednak jeszcze, ile będzie kosztował i kiedy pojawi się w sprzedaży.

Niestety, Xiaomi nie przewiduje na razie wprowadzenia zaprezentowanego w Barcelonie auta do produkcji. Na szczęście zgodnie z tradycją najnowszy model elektryka Xiaomi, aerodynamiczny w każdym calu (ze współczynnikiem oporu powietrza wynoszącym zaledwie 0,29), zostanie udostępniony graczom Gran Turismo 7 (będzie to 51. samochód koncepcyjny stworzony w ramach Vision Gran Turismo).

Mamy jeszcze jedną dobrą wiadomość dla polskich fanów chińskich aut. Z naszych informacji wynika, że w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy w Europie będzie można już kupić supersamochody marki Xiaomi. A producent ma się na tym polu czym pochwalić. Ma bowiem w portfolio zarówno model YU7 (to elektryczny SUV z napędem na wszystkie łapy i futurystycznym designem), jak i SU7 Ultra, czyli najwyższą wersję elektrycznego Sedana o mocy 1548 KM, który od zera do 100 km/h przyspiesza w zaledwie 1,97 s, potrafi rozpędzić się do 350 km/h i kosztuje równowartość ok. 500 tys. zł. Model ten sprzedawał się na początku 2025 r. lepiej niż świeże bułeczki. Rok temu w ciągu pierwszych 10 minut firma zebrała niemal 7 tys. zamówień, a w ciągu dwóch pierwszych godzin liczba kupujących przekroczyła 10 tys., co oznaczało realizację rocznego planu. Sprzedaż na poziomie 2–3 tys. egzemplarzy utrzymywała się do końca sierpnia, ale od września wyraźnie jednak spadła, bo jednocześnie wyczerpała się grupa tzw. wczesnych nabywców i jeszcze bardziej zaostrzyła konkurencja z segmencie luksusowych elektryków. Aby odnieść sukces na Starym Kontynencie, Chińczycy starannie przygotowują się do debiutu ich samochodów w Europie w 2027 r.



Cyfrowe, interaktywne zwierzęta, jak iMoochi, dotrzymują towarzystwa osobom, które nie mogą mieć psa lub kota FOT. JAP

– Nasza wizja polega na tym, by faktycznie pomagać obecnym i przyszłym użytkownikom w prowadzeniu życia bardziej „smart" – stwierdził Angus Kai Ho Ng, dyrektor ds. komunikacji i PR Xiaomi, odpowiadając na pytanie, jak to możliwe, że jedna firma sprzedaje zarówno elektryczne supersamochody, jak i smartfony, odkurzacze czy najróżniejsze produkty smart home.

DO TAŃCA I DO… ROBOTY

Do stolicy Katalonii przyleciało też całe stado różnego rodzaju robotów. Muszę zauważyć, że z roku na rok ich nie tylko przybywa, lecz także stają się coraz mądrzejsze i praktyczniejsze. Były zatem kilkudziesięciocentrymetrowe modele firmy Wotronics, które potrafią tańczyć do muzyki i rozmawiać w kilkudziesięciu językach z wykorzystaniem ChatGPT.

Dużo bardziej przydatny wydaje się zaprezentowany w Barcelonie przez markę Ecovacs robot do mycia okien z własną… minipralką. O co chodzi? Otóż Winbot W3 Omni to zaawansowany model, który nie tylko potrafi myć okna, lecz także samodzielnie dbać o czystość podkładek mopujących (wcześniej człowiek sam, niczym jaskiniowiec, musiał je odpinać i własnoręcznie prać). W przypadku Winbota W3 Omni wystarczy włożyć robota do pralki, by po minucie wyjąć go lśniącego i gotowego do dalszej ciężkiej pracy (już wkrótce test tego modelu na łamach „Do Rzeczy").

Jeszcze większe wrażenie robiły możliwości robotów ze stajni AgiBot. Przypominający psa czworonożny AgiBot z serii D nie tylko robi salta i podaje łapę, lecz także potrafi wziąć na „plecy" ładunek o wadze 100 kg i biegać z prędkością ok. 13 km/h. Bez trudu porusza się też w trudnym terenie i ma 6 km zasięgu.

W Barcelonie show dawały również humanoidalne AgiBoty A2, X2 i G2. Zaprojektowane do zastosowań komercyjnych i rozrywkowych potrafią nie tylko tańczyć do rytmu muzyki, lecz także chodzić

eprasa.pl 29d687f464

w tempie człowieka, mają wgranych ok. 30 różnych wyrazów „twarzy", potrafią podać dłoń na przywitanie etc. – Nasze roboty nie służą już tylko do rozrywki, ale potrafią wykonywać przydatne w biznesie i przemyśle czynności. Roboty potrafią przejmować od ludzi coraz więcej zadań. AgiBot D1 potrafi pracować jako inspektor ochrony i autonomicznie pilnować wskazanego terenu. Nasze humanoidalne roboty potrafią także przenosić ciężkie ładunki i nieustannie uczyć się nowych czynności – mówi „Do Rzeczy" Ronnie Hong, jeden z dyrektorów firmy AgiBot odpowiedzialny za Europę. – AgiBot X2 nie tylko potrafi tańczyć, lecz także może prowadzić zwyczajną rozmowę. Dzięki temu może witać klientów i pracować na recepcji, w informacji, wskazując drogę lub prowadząc gości do ich pokoi czy do wybranego sklepu. Roboty humanoidalne mogą też dotrzymywać towarzystwa starszym osobom, które mieszkają samotnie, a także autonomicznie identyfikować sytuację, w której ktoś wymaga pomocy, i wezwać pomoc, informując odpowiednie służby lub członków rodziny. W przyszłości nasze roboty będą też mogły podawać odpowiednie tabletki czy przynosić wodę pacjentom – wyjaśnia nam Ronnie Hong.

Towarzystwa osobom samotnym dotrzymywać mogą też cyfrowe, interaktywne zwierzęta, takie jak np. iMoochi. Urządzenia te reagują na głaskanie (np. gdy dłużej drapałem jednego za uchem, zaczynał mruczeć, a jego oczka zmieniały się w serduszka). Według przedstawiciela producenta cyfrowe zwierzaki – rodzinę cyfrowych pluszaków tworzą już cztery różne postacie – są ponoć bardzo skuteczne w redukowaniu stresu u najmłodszych, którzy nie mogą mieć prawdziwego psa lub kota. Na targach pojawiło się też urządzenie Heartelligence służące do monitorowania pracy serca czworonogów, które zebrane dane na bieżąco przesyła do odpowiedniej aplikacji.

OD AI PRZEZ WI-FI 8 AŻ PO 6G

Duże zainteresowanie na MWC wzbudzały również flagowe procesory: Qualcomm Snapdragon X105 do smartfonów oraz Snapdragon Wear Elite do inteligentnych zegarków. W dużym skrócie: są jeszcze mniejsze, jeszcze szybsze i lepiej radzą sobie z obsługą 5G.



Motorola sztuczną inteligencję zamknęła w niewielkim kawałku biżuterii FOT. JAP



AgiBot X2 potrafi nie tylko tańczyć, lecz także prowadzić rozmowę FOT. JAP



Heartelligence to niewielki czujnik, który wysyła dane do aplikacji i monitoruje stan serca psa FOT. JAP

Różni producenci pokazali też najnowocześniejsze rozwiązania łączności 6G, a także Wi-Fi 8. Z kolei sztuczna inteligencja (AI) na targach w Barcelonie była wręcz wszechobecna. Eksperci rozważali, czy sztuczna inteligencja może naprawdę pomóc markom w zdobyciu serca klienta. A handlowcy i PR-owcy pokazywali zwiedzającym kolejne rozwiązania, wykorzystujące zaszyte w urządzeniach AI (i nie chodzi tylko o lepsze zdjęcia w smartfonach).

Algorytmy AI wykorzystywane są np. do identyfikowania zaginionych psów lub kotów (na podstawie zdjęcia pyszczka kota lub psiego nosa, który pełni podobną funkcję co ludzkie odciski palców). Sztuczna inteligencja może zatem pomóc np. w wytrenowaniu nowej Igi Świątek. Robot PongBot Pace S Pro wykorzystuje algorytmy AI (wyćwiczone na ponad 100 tys. meczów), aby dynamicznie zmieniać prędkość, rotację, wysokość, odstęp między piłkami etc. Tym samym AI zmienia tradycyjne, pasywne maszyny do wyrzucania piłek w aktywnych partnerów treningowych.

Na tegorocznych targach MWC w Barcelonie kolejny raz widać było ogromną dominację chińskich producentów, którzy od dawna nie są już tylko tani, ale biją na głowę wielu Europejczyków również pod względem innowacyjności.

Przedstawiciele rządu w Warszawie podczas inauguracji polskiego stoiska na MWC zwrócili uwagę na znaczenie technologicznej suwerenności. Mówili o niej nie tylko oni. – Obecna sytuacja geopolityczna pokazuje, dlaczego warto dbać o to, aby najnowsze technologie były dostępne na naszym kontynencie. Cały proces projektowania naszych produktów odbywa się w Europie, używamy wyłącznie europejskich komponentów, a nasze sprzęty produkujemy w Polsce, niedaleko Wrocławia, w Niemczech i na Węgrzech. To ważne, bo możemy ściśle nadzorować jakość produkcji. A także skupić się na zapewnieniu najwyższego bezpieczeństwa danych naszych użytkowników – mówi „Do Rzeczy" Klaus von Kries z niemieckiej firmy FRITZ! produkującej routery, wzmacniacze sygnału oraz urządzenia Smart Home. – Technologiczna suwerenność kosztuje. Pracownicy pod Wrocławiem chcą przecież godnie zarabiać. Sprzęt kosztuje więc nieco więcej, ale dzięki temu zachowujemy w Europie miejsca pracy – dodaje Klaus von Kries.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 29d687f464



PROSTO ZYGZAKIEM

Czy ktoś jeszcze nad tym panuje?

PIOTR GABRYEL

Czyli: Czy ktoś jeszcze panuje nad długiem Polski? Nad jego wysokością, tempem i wszystkimi źródłami jego przyrastania? Bo odnoszę wrażenie, że już od dawna nie, a zgodne opinie analityków, wyrażone po opublikowaniu przez rząd „Strategii zarządzania długiem na lata 2026–2029" – sprowadzające się do konstatacji: „Rząd przyznał, że dług wymyka mu się spod kontroli" – są tego kolejnym potwierdzeniem.

A zatem: Ile wynosi „oficjalny" – liczony według krajowej metody, dług Polski, a ile „nieoficjalny" – liczony według metody unijnej, a więc wraz z miliardami poukrywanymi przez rząd w funduszach celowych, i ile jeszcze – dodatkowo – dług z tytułu uczestnictwa Polski w kredytach już pozaciąganych przez UE – za zgodą rządów Polski; wcześniej Morawieckiego, a teraz Tuska? Czy ktoś to wie i nad tym jeszcze panuje?

Jako że deficyt finansów Polski w 2025 r. i ten planowany na 2026 r. wynoszą po ok. 270 mld zł, nietrudno policzyć, że dług Polski codziennie przyrasta o ok. 750 mln zł – a to już całkiem niedużo do 1 mld zł. I zapewne wkrótce do tego miliarda złotych przyrostu zadłużenia dziennie „dobijemy" – ostatecznie dobijając budżet naszego państwa.

Tak czy siak, dług Polski liczony metodą krajową pewnie już przekroczył 2 bln zł, a ten sam dług liczony metodą unijną – 2,5 bln zł, a różnica między nimi – poukrywana przez „mistrzów" w tej dziedzinie, premierów Morawieckiego i Tuska w funduszach pozabudżetowych – szacowana jest dziś na od 450 mld do 550 mld zł. Dodatkowo KPO, czyli unijny dług KPO zaciągnięty przez Morawieckiego, a „skonsumowany" przez Tuska, to 770 mld zł plus odsetki. Także dodatkowo – SAFE, czyli unijny dług SAFE, zaciągnięty przez Tuska – to następne ok. 200 mld zł plus odsetki. I jeszcze dodatkowe miliardy złotych długu – na razie nie wiemy, ile z nich będą musieli spłacić polscy podatnicy – w zaciągniętych za zgodą Tuska przez UE 90 mld euro kredytu dla Ukrainy. I oczywiście kolejne, dodatkowe bimbaliony złotych już spłacane przez polskich podatników – za zaciągnięte przez UE za zgodą Morawieckiego i Tuska kredyty dla Ukrainy – jak ten, który wyszedł na jaw niedawno, a od którego Polska co roku spłaca ponad 100 mln zł odsetek. I tak… do 2068 r.

Czy wobec powyższego może kogokolwiek dziwić, że według szacunków m.in. Komisji Europejskiej dług publiczny Polski już w tym roku przekroczy poziom 60 proc. PKB (to limit zapisany z polskiej konstytucji), zbliżając się do 65 proc. PKB, a jeśli rząd w ciągu trzech lat nie „zaciśnie pasa", to czeka nas „scenariusz grecki", czyli dług w wysokości 107 proc. PKB już w 2036 r. i nadciągające bankructwo Polski – sprowadzone na nasze głowy przez tandem Morawiecki-Tusk? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Brawo dla Krakowa!

ŁUKASZ WARZECHA

W cieniu wojny na Bliskim Wschodzie w Krakowie dzieje się coś niesamowitego. W ciągu zaledwie 35 dni inicjatorom referendum w sprawie odwołania prezydenta miasta, Aleksandra Miszalskiego, udało się zebrać 101 947 podpisów, a więc o ponad 40 tys. więcej, niż jest to konieczne, żeby referendum się odbyło.

Jeśli prezydent Miszalski zostanie odwołany, to będzie miał dużo wolnego czasu na tańce, choć już niekoniecznie na dachu

Już samo to jest porażką dopieszczanego przez Koalicję Obywatelską miałkiego prezydenta Aleksandra Miszalskiego. To jednak coś więcej. Oto bowiem środowiska naprawdę bardzo różne, w większości niepartyjne, postawiły się w jednym z największych polskich miast układowi nie tylko lokalnemu, lecz także rządowemu. Inicjatorzy referendum już wygrali – nawet gdyby ostatecznie w głosowaniu wzięły udział mniej niż wymagane dla obligatoryjności jego wyniku 157 183 osoby (60 proc. uczestniczących w drugiej turze w roku 2024).

W krakowskiej mobilizacji nie chodzi tylko o strefę czystego transportu. To sprzeciw wobec arogancji układu, który nie zadbał nawet o to, żeby kandydatem na prezydenta inteligenckiego miasta zrobić kogoś z klasą. Kandydatem, a potem – rzutem na taśmę – prezydentem został jegomość malujący sobie na czole osiem gwiazdek i tańczący na dachu urzędu miasta przy akompaniamencie wulgarnej piosenki. Czy ze strony KO było to celowe zagranie na zasadzie „mamy gdzieś, co o nas myślicie, i pokażemy wam, że możemy zrobić prezydentem nawet kogoś na kształt Incitatusa" (przypominam: był to ukochany koń cesarza Kaliguli, którego ten zrobił senatorem) czy też absolutny brak wyczucia – wszystko jedno. Faktem jest, że okazało się, iż jest to „o jeden most za daleko".

Pierwszą porażką układu jest zebranie wystarczającej liczby podpisów znacznie szybciej niż w ustawowe 60 dni. Drugą byłoby, gdyby w referendum zagłosowało przynajmniej 160 tys. Krakowian. Absolutną jego klęską – gdyby pan Miszalski został odwołany. Czego mu z całego serca życzę. Wtedy będzie miał dużo wolnego czasu na tańce, choć już niekoniecznie na dachu. ©℗

eprasa.pl 29d687f464

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ulubione więzienie Rogatki



JACEK KOMUDA

Które z naszych zamków, oczywiście tych murowanych z kamienia albo cegły, są najstarsze? Znajdziemy je na Śląsku, gdzie pierwsze takie budowle zaczęły powstawać już w XII w. Dzielnica miała bowiem lepszy dostęp do rzemieślników z Zachodu i złoża kamienia, którego brakowało np. w Wielkopolsce czy na Mazowszu.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jako najstarsze wymienia się przede wszystkim: zamek w Legnicy, który jednak był wielokrotnie przebudowywany, oraz Wleń na Dolnym Śląsku, z którego pozostały tylko malownicze ruiny. Był to ziemno-drewniany gród kasztelański; w 1155 r. wymieniony jako „Valan" w „bulli wrocławskiej", w której Ojciec Święty Hadrian IV brał pod opiekę biskupstwo wrocławskie. Jeśli wierzyć pracy Mateusza Golińskiego „Wleński mikroregion osadniczy…", to budowę twierdzy rozpoczął ok. 1160 r. książę Bolesław Wysoki, który wzniósł tutaj najpierw murowany z kamienia budynek mieszkalny, znany później jako „dom romański". Powstał na szczycie skał górujących nad grodem, w którym z kolei posadowiono kamienny kościół Najświętszej Marii Panny.

Wczesnośredniowieczny zamek był zatem skromny – składał się z budynku i otaczającego go nieregularnego muru, który nie był nawet spajany zaprawą wapienną, ale gliną. Już jednak w wieku XIII zamek został powiększony o kaplicę, a także sześcioboczną wieżę obronną. Wówczas stał się ulubionym… więzieniem Bolesława II Rogatki, księcia krakowskiego, śląskiego, a potem już tylko legnicko-głogowskiego, znanego z rozbójniczego trybu życia. W 1257 r. we wspomnianej zamkowej wieży osadził biskupa wrocławskiego Tomasza w związku z konfliktem o pobieranie podatków z dóbr duchownych. W 1277 r. na zamku przetrzymywany był z kolei książę wrocławski Henryk IV Probus, porwany przez Rogatkę, który chciał wymusić na nim oddanie części jego księstwa.

Do początków XIV w. powstał we Wleniu jeden z najwcześniejszych w Polsce zamków romańskich, składający się z murowanego domu mieszkalnego, dwóch wież i kaplicy, a także dobudowanej w północno-wschodnim narożniku wieży mieszkalnej. Było to o wiele lat wcześniej, zanim zaczął się projekt budowy podobnych twierdz przez króla Kazimierza Wielkiego na ziemiach zjednoczonego Królestwa Polskiego.

Do końca stulecia na zamku zbudowano – na wprost kaplicy i domu romańskiego – ogromny, gotycki, trzypiętrowy dom mieszkalny, a także zabudowę gospodarczą. W tych czasach Wleń należał do księcia świdnickiego Bolka II Małego, syna Kunegundy, córki króla Władysława Łokietka. Ten przez długi czas opierał się agresji czeskiej, a hołd lenny złożył dopiero wtedy, kiedy Kazimierz Wielki zrezygnował z praw do księstw śląskich. Po jego śmierci wdowa Agnieszka z Habsburgów oddała Wleń w ręce kolejnych rycerzy ze swego dworu. Od 1372 r. zamek przeszedł już w ręce niemieckie – najpierw rodziny von Zedlitz, od której wkrótce nabył go ród von Kolditz, a od ok. 1391 r. – rodziny von Redernów.

Sto lat później zamek był już potężną budowlą, gdzie starą, romańską wieżę obronną zastąpiono cylindryczną, wzniesiono także kolejne murowane zabudowania, a przede wszystkim – leżący nieco poniżej skał – zamek średni. Nie uchroniło to jednak przed zdobyciem twierdzy przez najeżdżających Śląsk husytów w 1428 r.

W 1465 r. zamek przeszedł znowu we władanie rodu von Zeydlitz, a Hans von Zeydlitz zasłynął jako rycerz rozbójnik terroryzujący okolicę. Nowi właściciele byli w 1568 r. inicjatorami przebudowy części budynków, dodania renesansowych krużganków w skrzydle zachodnim, a także wzniesienia przejazdowej sieni pomiędzy wieżą mieszkalną i domem gotyckim. Zamek średni powiększył się o nowy budynek gospodarczy.

Wleń zniszczony został w trakcie śląskiego „potopu", który kilkakrotnie nawiedził tę odpadłą od Korony dzielnicę w trakcie wojny trzydziestoletniej. W 1646 r. był okupowany przez Szwedów. Forteca nie miała wprawdzie nowoczesnych fortyfikacji, ale jej położenie na skałach sprawiało, że była trudna do zdobycia. Dokonały tego jednak oddziały wojsk cesarskich dowodzone przez Włocha na służbie Habsburgów – gen. Raimunda Montecuccolego. Zdobytą warownię nakazał wysadzić w powietrze, aby nigdy nie przysłużyła się najeźdźcom. Od tamtego czasu Wleń nigdy nie został odbudowany. Nowy właściciel, francuski pułkownik Adam von Koulhas, który nabył ruiny w 1653 r., zbudował pod zamkiem własną rezydencję, która istnieje do dziś. ©℗

eprasa.pl 29d687f464

OMODA 5 HEV



FOT. JAP

Ten coraz bardziej popularny miejski SUV coupé z charakterystycznym futurystycznym grillem to kolejny model potężnego koncernu z Państwa Środka, który zrywa ze stereotypem „chińszczyzny". I chociaż producent nadal kusi klientów niską ceną, to tym razem wyjmuje z rękawa jeszcze kilka ważnych kart: wysoką moc (224 KM), duży zasięg (1000 km) i niskie spalanie (5,3 l/100 km).

Aby przekonać się, czy te zalety hybrydowego napędu nie występują wyłącznie na papierze, wzięliśmy ten samochód do testów jeszcze w czasie, gdy drogi były skute lodem, a wskazówka termometru wskazywała dwucyfrowe wartości na minusie. Czy napęd hybrydowy zdał egzamin w takich warunkach? Tak. Omoda 5 HEV okazała się znacznie bardziej dynamiczna od spalinowej siostry. Pod maską skrywa bowiem silnik spalinowy 1.5 T-GDI o mocy 143 KM, który współpracuje z silnikiem elektrycznym o mocy 204 KM. Łączna moc układu wynosi 224 KM. Wersja hybrydowa jest zatem istotnie mocniejsza od wariantu benzynowego (147 KM). Sprint od zera do 100 km/h zajmuje wersji HEV 7,9 s (o ponad 2 s mniej niż w wariancie benzynowym). Niższa jest jedynie prędkość maksymalna (175 km/h w odmianie HEV w porównaniu z 195 km/h w wersji benzynowej).

Samoładująca się hybryda ma też dużo mniejszy apetyt na paliwo od benzynowej odmiany (zimą średnia w cyklu mieszanym wyniosła 6 l/100 km), a przez to zasięg na jednym baku wynosi ponad 900 km.

Jak wygląda w środku? Jak na tę półkę cenową samochód jest wewnątrz wykończony naprawdę nieźle. Producent nie żałował dobrych jakościowo materiałów (w tym chromu, imitacji drewna czy ekoskóry), a także nowoczesnych technologii. Na pokładzie znajdują się m.in. dwa wyświetlacze o przekątnej 12,3 cala. Są też dwustrefowa, automatyczna klimatyzacja, bezprzewodowa obsługa Apple CarPlay i Android Auto, ośmiogłośnikowy system audio marki Sony, a także 20 zaawansowanych systemów wspierających kierowcę (m.in. z tego powodu Omoda 5 może się pochwalić pięciogwiazdkową oceną w testach Euro NCAP). Wersja Premium ma też system kamer 540 stopni, podgrzewanie i wentylowanie przednich foteli, bezprzewodową ładowarkę czy elektryczne podgrzewanie i składanie bocznych lusterek.

Omoda 5 HEV ma też kilka irytujących niedociągnięć. Przydałyby się np. większy zakres regulacji kierownicy, regulacja odcinka lędźwiowego, oddzielny panel do obsługi klimatyzacji czy wskaźnik informujący o tym, że kończy się... płyn do spryskiwacza. Ceną za hybrydowy napęd jest też mniejszy bagażnik – przy podniesionym oparciu tylnej kanapy kufer ma 372 l pojemności (w wersji benzynowej 442 l).

A ile kosztuje Omoda 5 HEV? Standardowa Comfort – i tak już z długą listą udogodnień wliczonych w cenę – kosztuje 116,5 tys. zł (produkcja 2025). Testowany wariant Premium został zaś wyceniony na 133,5 tys. zł. Ten SUV z napędem hybrydowym jest zatem zaledwie o kilka tysięcy droższy niż istotnie słabszy wariant spalinowy. ©℗

XIAOMI 17 ULTRA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Fantastyczne możliwości fotograficzne, duży i jasny wyświetlacz, wysoka wydajność, minimalistyczne wzornictwo i niezła bateria – to największe zalety najnowszego flagowca marki Xiaomi.

Elegancko wyglądający smartfon jest świetnie wykonany, smukły i stosunkowo lekki (219 g). Ma też certyfikat IP68, co oznacza wysoką odporność na kurz i wodę. Podobać może się 6,9-calowy wyświetlacz OLED o rozdzielczości 1.5 K z maksymalną częstotliwością odświeżania na poziomie 120 Hz. Jakość obrazu jest znakomita, kolory są nasycone, a czerń głęboka. Dzięki wynoszącej 3500 nitów jasności maksymalnej ekran sprawdza się nawet w ostrym słońcu.

Opracowany we współpracy z firmą Leica model 17 Ultra to świetny smartfon dla miłośników mobilnej fotografii. Imponują możliwości 1-calowej matrycy głównej (f/1.67) z sensorem w technologii LOFIC (która umożliwia zapisywanie bardzo jasnych partii obrazu bez przepaleń – zdjęcia/filmy ognia lub fajerwerków mają zatem więcej detali i wyglądają bardziej naturalnie). Dobre są też aparaty ultraszerokokątny (50 Mpx, f/2.0) oraz teleobiektyw ze zmienną ogniskową 75–100 mm i przysłoną (ƒ/2.39–2.96). Taki zestaw pozwala nawet amatorom na robienie świetnych zdjęć w trybie automatycznym. 17 Ultra szczególnie błyszczy jednak w trybie profesjonalnym (z możliwością zapisu w trybie RAW). Jakość uwiecznionych fotografii jest tak wysoka, że przez niektórych model ten może być już traktowany jako świetny aparat fotograficzny, który przy okazji jest smartfonem (a nie odwrotnie).

Sercem Xiaomi 17 Ultra jest wydajny Snapdragon 8 Elite Gen 5 współpracujący z 16 GB RAM oraz 512 GB pamięci w standardzie UFS 4.1. Bateria ma pojemność 6000 mAh. Nie jest to rekord, ale i tak najnowszy flagowiec Xiaomi przy zwyczajnym użytkowaniu potrafi wytrzymać z dala od gniazdka nawet do dwóch pełnych dni. Testowany model obsługuje zarówno szybkie 90-watowe ładowanie przewodowe, jak i wygodne 50-watowe ładowanie bezprzewodowe. Po stronie plusów trzeba też zapisać Wi-Fi 7, Bluetooth 6.0, Dual SIM (z obsługą eSIM). Producent obiecuje również pięć lat aktualizacji systemu Android. Zaskakująco dobre jest też brzmienie dwóch głośniczków stereo.

A wady? System HyperOS 3 ma zbyt dużo preinstalowanych aplikacji. Jednocześnie w pudełku próżno szukać ładowarki. To już jednak standard – wszystko w imię ekologii.

Xiaomi 17 Ultra w wersji 16 GB/512 GB kosztuje 6499 zł, a w wariancie 16 GB/1 TB 6999 zł. W promocji producent dorzuca wartościowe prezenty. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 29d687f464



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jedzcie dorsza

Czy warto jeść ryby? Dawni Polacy byliby zdumieni tym pytaniem, bo w polskiej kuchni historycznej ryby były serwowane bardzo często, a zwłaszcza te słodkowodne. Przodkowie nasi wiedzieli albo przeczuwali, że są one doskonałym źródłem łatwo przyswajalnego białka, zawierają nienasycone tłuszcze omega-3 i wiele witamin, w tym A, D, E, a także minerały – jod, żelazo i fosfor, więc ich wprowadzenie do naszego menu minimum dwa–trzy razy w tygodniu znacząco wpłynie na kondycję naszego serca i mózgu oraz układu odpornościowego.

Które zatem ryby są najzdrowsze? Wszystko zależy od potrzeb naszego organizmu – jedni potrzebują więcej omega-3, innym przydadzą się ryby chude, ale zawierające więcej białka. My zazwyczaj kierujemy się walorami smakowymi, najbardziej lubimy ryby białe o delikatnym smaku, czasem jednak wybieramy tłustą, którą pieczemy w piekarniku. Jednak bez dwóch zdań pierwszeństwo ma u nas dorsz!

Tak, tak, ryba, którą w PRL reklamowano nieco prześmiewczo: „Jedzcie dorsze, są rzeczy gorsze", teraz uważana jest za szlachetną i jedną z najzdrowszych ryb morskich. Lubimy zwłaszcza dorsza tradycyjnie smażonego w panierce, bo ten smak kojarzy nam się z rodzinnym domem – zawsze w piątki Mama smażyła mintaja albo dorsza i podawała z tłuczonymi ziemniakami i surówką z kiszonej kapusty. I taka ryba smakuje nam najbardziej! Dziś jednak, kiedy bardziej świadomie się odżywiamy i zwracamy uwagę na to, co jemy, często wybieramy rybę z pieca z warzywami albo potrawkę z ryby z warzywami. Łączymy tym samym zdrowe tłuszcze i białko z ryb z błonnikiem i węglowodanami pochodzącymi z warzyw. Takie danie jest pełnowartościowe i bardzo pożywne, a przy tym lekkostrawne.



FOT. ADOBE STOCK

Potrawka z ryby w sosie warzywnym

• 1 marchewka • 1 pietruszka • 1 cukinia • 30 g masła • 2–3 ząbki czosnku • 1 mały lub średni por • kilka ziaren ziela angielskiego, 1–2 liście laurowe • przyprawy: sól, pieprz biały, oregano, tymianek, czerwona papryka • 50 ml białego wina • 100 ml bulionu warzywnego • 600 g fileta z dorsza, mintaja lub łososia • 150 ml śmietanki słodkiej • zielona pietruszka, szczypior do dekoracji

Pora kroimy. Marchewkę, pietruszkę i cukinię ścieramy na tarce na grubych oczkach. Patelnię rozgrzewamy, rozpuszczamy na niej masło, dodajemy tarte warzywa i przeciśnięty czosnek, dolewamy wino i następnie bulion, dusimy kilkanaście minut do miękkości, doprawiamy przyprawami. Filety rybne kroimy na spore kawałki i układamy na warzywach, przykrywamy pokrywką i dusimy razem ok. 10 min. Na koniec dolewamy śmietankę, czekamy jeszcze 2 min. I wyłączamy. Podajemy z ziemniakami i dekorujemy natką lub szczypiorkiem. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Myśli nad żelazkiem

Widok mężczyzny w uprasowanej, świeżej koszuli budzi we mnie zawsze sympatię. Nieuchronne przechodzenie panów na T-shirty przyjmuję z przykrością. Koszulki polo jeszcze zniosę. Z krawatem pożegnaliśmy się już chyba nieodwracalnie, może z wyjątkiem najbardziej oficjalnych okoliczności – jakoś tego mi nie żal. Koszuli jednak tak.

Koszule są jak partie polityczne – dzielą się na dwie frakcje, bez możliwości wzajemnego porozumienia. Mój mąż, typ konserwatywny, lubi, żeby koszula była luźna, miała szerokie rękawy, guziki przy kołnierzyku, kieszonkę (na długopis) i nade wszystko, żeby nie wyłaziła ze spodni, do których oczywiście jest zawsze wpuszczona. O tym, żeby koszulę nosić na wierzchu, nie może być mowy – tak mówi stara szkoła. Te wszystkie wymagania spełniają w oczach pana Bojańczyka koszule francuskiej marki Bexley, które nosi od paru lat (wybaczcie reklamę). Nie, nie są szyte na zamówienie, to gotowce, od lat takie same. Ta stałość ma znaczenie, bo żyjemy w czasach, kiedy każdy producent wypuszcza co sezon nowe modele. Wcześniejszych szukaj wiatru w polu.

Kto to prasuje? Ja oczywiście i wcale nie czuję dyskryminacji. Każdy ma swoje obowiązki – nie umiem wbijać haków i rąbać drzewa. I przy tym pozostańmy.

Na mojej desce magistra prasowalnictwa poddaję badaniom także inny gatunek męskich koszul. To przedstawiciel młodszej generacji – dopasowany, krótki, z wąskimi, wysoko podciętymi rękawami i oczywiście wyrzucany na wierzch. Tak nosi się pokolenie, które jeszcze nie musi korzystać z korpogarnituru, ale któremu jednak T-shirt wydaje się zbyt luzacki na miejskie/zawodowe wymagania.

Przez moje ręce czy raczej żelazko przeszło już sporo koszul. Ich jakość oceniam nie tylko po rozmiarze i ilości zużytego materiału. Weźmy szwy. Pod pachami – punkt najdelikatniejszy i najbardziej narażony na rozprucie. Jeśli szwy nie są gęste i ścisłe albo wystają z nich nitki, to zły znak. Wiadomo, że szybko się poprują. Następna rzecz – kołnierzyk. W koszulach garniturowych powinien być sztywny, inaczej będzie krzywił się i „siadał".

Męskość męskością, ale pokusa sztuczek dodających męskiej koszuli fantazji, zacierających granice płci, jest długa: wykończenie wewnętrznej strony kołnierzyka lub linii zapięcia kolorowym materiałem, obszycie dziurki (jednej) kontrastowym kolorem (na czerwono przy koszuli białej), jeden z guzików w innym kolorze... Albo wzory: słoniki, pieski, parasole, samolociki, o kwiatkach nie mówiąc.

Nie jestem za. Jeśli już koniecznie, to chociaż niech będą uprasowane. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ale plama...

Prezydent Donald Trump nie raczył powiadomić włoskiego rządu o planowanym ataku na Iran. Ponoć uprzedził Niemców, Francuzów i Polaków. Z kolei „Corriere della Sera" twierdzi, że to humbug i fejk, bo wcześniej wiedziały tylko Kanada, Wielka Brytania, Australia i Nowa Zelandia. Jeśli chodzi o państwa unijne, to miało być jak w dziecięcej rymowance o sianiu maku: dziad wiedział, ale nie powiedział.

Jedno jest pewne: Włochów poinformował Izrael, ale dopiero po rozpoczęciu akcji militarnej. Używanie miała włoska opozycja. Dwóch byłych premierów, Renzi i Conte, a też szefowa Partii Demokratycznej Elly Schlein, natrząsali się z Giorgii Meloni, szczególnie z jej rzekomo uprzywilejowanych relacji z raptusem Trumpem.

W jeszcze większą kabałę wkopał się minister obrony Guido Crosetto. Najpierw wysłał rodzinę na wczasy do Dubaju. Gdy zaczęło się robić bardzo nieciekawie, poleciał liniowym samolotem do Dubaju, by pomóc bliskim powrócić do domu. Niestety, po irańskim ataku władze ZEA zawiesiły ruch lotniczy. Czyli wybuchła wojna, a szef włoskiego MON uziemiony w Dubaju (podobnie zresztą jak szef włoskiej policji)!

Crosetto przejechał 500 km samochodem do Omanu i wrócił do Rzymu rządowym samolotem. Miał na tyle przytomności umysłu, że zapłacił z własnej kieszeni trzykrotność ceny za taką usługę, a przede wszystkim nie zabrał ze sobą rodziny, która podzieliła los wszystkich włoskich obywateli, czekających na możliwość powrotu do kraju w Dubaju. Inaczej rozszarpałaby go opozycja, która i tak domaga się dymisji ministra.

W związku z eskalacją działań wojennych na Bliskim Wschodzie i przygodach Crosetta opozycyjne ugrupowania mają dla rządu Giorgii Meloni wiele bardzo ciekawych propozycji. Naturalnie pierwsza to natychmiastowe oddanie władzy, bo lewica z rządzeniem i polityką zagraniczną da sobie radę o wiele lepiej. Przewodnicząca Schlein już zapowiedziała, że jeśli opozycja dojdzie do władzy, to Donald Trump nie będzie pod żadnym pozorem sojusznikiem Italii. Jeszcze dalej idą parlamentarzyści „Sojuszu Zielonych i Lewicy". Domagają się natychmiastowego wystąpienia Italii z NATO. Ich europosłanka Ilaria Salis nazwała rzecz po imieniu: „Stany Zjednoczone i Izrael to oś faszystowsko-ludobójcza".

Pojawił się też postulat wykluczenia USA i Izraela z paraolimpiady. Pod ambasadą Iranu w Rzymie odbyła się demonstracja popierająca reżim brodaczy pod hasłem: „Śmierć imperializmowi i syjonizmowi", a zapowiadane są następne. Zajmują się tym głównie organizacje propalestyńskie i komuniści.

A pod ambasadą Rosji w Rzymie cicho, sielsko i anielsko. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Szpital przemienienia

Mieliśmy ostatnio do czynienia z ujawnieniem skandalu dotyczącego wymuszania na pacjentach przeznaczonych do operacji dotowania tzw. przyszpitalnej fundacji, po zasilaniu której przeskakiwało się cudownie w kolejce do zabiegu. Ministerstwo, które przeprowadziło kontrole „kolejkowania" w ramach NFZ, których było 2,2 tys. w 2025 r., podało uspokajające dane, że „tylko" 27 przypadków skierowano do prokuratury. Jest to manipulacja danymi, gdyż po prostu większość przypadków nie skończyła w prokuraturze, co wcale nie potwierdza, że podobne patologie nie są normą. Dowód na powszechność tego „systemu" leży gdzie indziej – w ramach kontroli nałożono ponad 160 mln zł kar, ale nie podano, w jakiej liczbie kontrolowanych placówek. Mamy do czynienia zatem raczej z nakładaniem kar pieniężnych za takie poczynania, w dodatku – jak widać – w sposób skrzętnie ukrywający rozległość procederu.

Same kary nakładane są na placówki… medyczne, nie wiem, czemu nie na fundacje, które można by obligować do zwrotu wpłat pacjentom. Płaci zatem podatnik. W przypadku naszego szpitala (warszawski Szpital MSWiA) mieliśmy do czynienia z nałożeniem ponad 507 tys. zł kary właśnie na… szpital. Placówka zadeklarowała regres tej kary w stosunku do szefa kliniki szpitalnej, kierującej na operację, i jednocześnie szefa fundacji, ale zobaczymy, jak to pójdzie. Popatrzmy – fundacja za pieniądze od pacjentów dawała im możliwość przeskakiwania w kolejce (97,1 proc. skontrolowanych przypadków), część swych dochodów (reszta szła na wycieczki, Ukrainę i automaty do kawy) przeznaczając na kupno i zaopatrzenie robota operacyjnego, do którego stała cała kolejka. Mieliśmy więc układ pompa – rów, w którym szpital był tylko najętą za darmo placówką, gdzie realizowano całkiem prywatne interesy. Mamy ciąg: składka na NFZ – słaby dostęp – prywatne pieniądze pacjentów – ułatwiony dostęp – patologia – kara – płaci podatnik.

Kiedy to państwo czytają, pewnie dziwią się, gdzie tu afera. Przecież to codzienna rzeczywistość polskiej służby zdrowia – dwukrotnie opodatkowanej. W sumie to nie ma co mieć pretensji do układu z fundacją. Gros tego dodatkowego strumienia idzie do kieszeni lekarzy bez subtelności – żadnych fundacji, pozorów, po prostu z kieszeni do kieszeni. Jesteśmy w zaklętym kręgu: jeśli się do tego systemowo zabierać, to służba zdrowia reaguje strajkiem włoskim, wszystko robi wtedy wedle procedur, co morduje dostęp do usług. I tylko od czasu do czasu wybucha medialna aferka, raczej by pokazać, że w ogóle „coś" się robi w znanym wszystkim procederze. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



SPODE ŁBA

Miasto polskich dzieci

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

W roku 1987 ukazała się w Londynie książka zatytułowana „Isfahan. Miasto polskich dzieci". Tak piszą jej autorki: „Główną treścią są dzieje dzieci i młodzieży polskiej, sierot i półsierot, ugrupowanych w kilkunastu szkołach w Isfahanie. Są to dzieje nie jednej szkoły, a całego ośrodka, którego stan, w okresie największego nasilenia, wynosił ok. 3000 osób; ogromną większość stanowiły dzieci i młodzież, od tych najmłodszych, dwu-, trzyletnich, do osiemnasto-, dziewiętnastoletnich uczennic gimnazjum. Młodzież ta, dziwnymi kolejami losu, znalazła schronienie w egzotycznym perskim mieście Isfahanie, który stał się dla nich oazą po przeżyciach w tajgach rosyjskich, w stepach Kazachstanu i pustyniach Turkmenii. Tam właśnie, wśród splendorów starego, historycznego i pięknego miasta, dawnej stolicy Persji, mogły te dzieci odbudować swoje młode, rozbite życie".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Niezwykle wzruszające są zawarte w książce wspomnienia ocalonych dziewczynek. „O, Isfahan…! Radosne uczucie powrotu do domu. Tyle czasu już nam Isfahan jest domem, że wreszcie stał się nim naprawdę" – czytamy w pamiętniku jednej z nich.

Dzieci zawędrowały do Iranu wraz z falą Polaków, którym udało się, po 1941 r., ewakuować z Sowietów. Władze Iranu otoczyły je opieką, miejscowa ludność, sama cierpiąca biedę, przyjęła życzliwie. „Gdy muezzin wyśpiewywał z minaretu kolejne wersety z Koranu, w polskich zakładach brzmiały kolędy lub pieśni majowe do Maryi. Wśród wschodnich zapachów i smaków jadało się tam krupnik i gołąbki, a jedynym celem życia była nauka i czekanie na powrót do Polski". W czasie wolnym od zajęć szkolnych polskie dzieci poznawały gościnny kraj. „Znowu wsiadamy do auta i z wielką ciekawością jedziemy do tamtejszego liceum. Trafiłyśmy właśnie na egzaminy, toteż nie mogłyśmy od razu pójść do dziewczynek. Po chwili dało się jednak wszystko załatwić i miejscowe uczennice, z pewnym wprawdzie strachem, podeszły do nas. Zawarcie znajomości nie trwało długo. Porozumiewałyśmy się z nimi po angielski i rosyjsku, poczem zaproszono nas do klasy. Śpiewałyśmy sobie nawzajem różne piosenki. Czas płynął szybko i przyjemnie. Niezmiernie zadowolone, że mogłyśmy poznać obcą szkołę, która dotąd, w naszym pojęciu, wyglądała zupełnie inaczej, opuściłyśmy gościnne miejsce".

Jak donoszą światowe media, w niedawnym ataku sił izraelsko-amerykańskich na szkołę w irańskim mieście Minab zginąć mogło ponad 160 irańskich dziewczynek. W pogrzebie zabitych dzieci wzięły udział miliony Irańczyków. Odezwał się nawet Komitet Praw Dziecka ONZ. „Komitet jest zaalarmowany doniesieniami o uderzeniach w infrastrukturę cywilną, w tym szpitale i szkoły, które zraniły i pozbawiły życia wielu najmłodszych".

Tymczasem w wypowiedziach większości polskich polityków króluje uczucie satysfakcji z „udanej" operacji wojsk Izraela i USA. „Polska powinna się cieszyć, że nasz główny sojusznik, USA, ma taką sprawczość, ma siłę, której – tak jak powiedział prezydent Donald Trump – nikt nie jest w stanie zagrozić" – ogłosił radośnie szef BBN prof. Sławomir Cenckiewicz. Na wieść o poległych żołnierzach US Army polscy politycy na wyścigi pośpieszyli z kondolencjami. Każda ludzka śmierć zasługuje na szacunek i współczucie. Śmierć wojskowych na polu walki od stuleci nazywana jest jednak śmiercią „żołnierską", będąc dla nich zaszczytną, lecz wpisaną w obowiązek ofiarą. Inaczej, w cywilizacji Zachodu, mają się sprawy z uczennicami. Ich przeznaczeniem wydają się raczej nauka i zabawa niż śmierć pod gruzami szkoły. Dlaczego nie słyszymy zatem w polskiej przestrzeni publicznej gromkich wyrazów bólu, kondolencji składanych rodzinom i apeli o nieatakowanie irańskiej ludności cywilnej? Dlaczego nie są podejmowane akcje humanitarne? Los irańskich dzieci nie budzi w polskich mediach nawet ułamka współczucia, które wylewało się z nich po ujawnieniu zbrodni w Buczy. A przecież, obok współczucia, Irańczykom należeć się może ze strony Polaków także wdzięczność. ©℗

eprasa.pl 29d687f464



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czarny Wokulski wśród Szlangbaumów

Opinię publiczną poruszyła kwestia obsady filmu „Troja" Christophera Nolana, szczególnie zaś aktorka, która ma zagrać słynącą z piękności Helenę. Otóż okazało się, że w kobietę, o którą wybuchła jedna z najsłynniejszych wojen w dziejach, wcielić ma się Lupita Nyong'o. Szkopuł w tym, że jest ona czarnoskóra. Trudno tego wyboru nie traktować jako prowokacji twórców filmu, mającej na celu podbić zainteresowanie tematem. Co też skutecznie się udało. Tak jak wcześniej zainteresowanie podbijała czarnoskóra Kleopatra, murzyńscy arystokraci z serialu „Bridgertonowie" opowiadającego o XIX-wiecznej Anglii, a nawet mulatka jako Mała Syrenka.

Jestem niezwykle ciekaw, jak w ekranizacjach „Lalki" zostanie ukazany wątek stosunków polsko-żydowskich w XIX w.

W Polsce na razie nikt nie obsadził np. Omeny Mensah w roli Izabeli Łęckiej, a Wilfredo Leon nie zagra Stanisława Wokulskiego – a mimo braku takich prowokacji dwie ekranizacje „Lalki", film i serial, wywołują spore zainteresowanie. Gdzieniegdzie sugeruje się co prawda, że jedna z produkcji opowie historię Izabeli jako strong, independent woman, a druga pokaże Wokulskiego jako starego stalkera, i będą to oczywiście ekranizacje zgodne z duchem nowej epoki. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale w ogóle bym się nie zdziwił, a nawet lekko bym ziewnął – wszystko dziś bowiem odczytywane jest przez pryzmat feminizmu, metoo i innych wokeizmów.

Jedno, co interesuje mnie w kwestii zbliżających się premier serialu i filmu na podstawie prozy Prusa, to kwestia żydowska. Otóż jestem niezwykle ciekaw, jak w ekranizacjach zostanie ukazany wątek stosunków polsko-żydowskich w XIX w. Powszechnie wiadomo, że Prus bardzo wiernie odtwarzał język i poglądy różnych warstw społecznych – niemała część z nich dzisiaj z całą pewnością mogłaby zostać określona mianem „antysemickich", bez względu na to, czy odzwierciedlała prawdę czy nie.

Przypomnijmy tylko, że jeden z ciepło zapamiętanych bohaterów „Lalki", Ignacy Rzecki, w toku powieści stopniowo staje się, jak powiedzieliby dziś niektórzy politycy, judeo-realistą. „To jest okropne, że Stach ma więcej zaufania do Żydów aniżeli do mnie…" – mówi w pewnym momencie, wcześniej zauważając jednak, że „do starozakonnych rośnie niechęć; nawet ci, którzy przed kilkoma laty nazywali ich Polakami mojżeszowego wyznania, dziś zwą ich Żydami. Zaś ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo. Słuchając tego, czasem myślę, że na ludzkość spada jakiś mrok duchowy, podobny do nocy". Czy w scenariuszu nowej „Lalki" dla tych słów nie zabrakło miejsca? W roli Rzeckiego wystąpi Marek Kondrat – usłyszeć takie passusy z ust tak tolerancyjnie i postępowo nastawionego artysty byłoby doświadczeniem doprawdy onirycznym.

Jakby tego było mało, w salonach arystokratycznych, na których gościł Wokulski, pojawiają się sugestie, że Żydzi opanowują handel i kierując się wyłącznie zyskiem, zagrażają ekonomicznie polskim kupcom. Po tym, jak Wokulski powierza zarządzanie sklepem Henrykowi Szlangbaumowi, część klientów reaguje oburzeniem i bojkotem – ale sam Wokulski pozostaje z nim w przyjaźni. Może zatem polska arystokracja zostanie przedstawiona jako uprzedzona, antysemicka, o poglądach nieomal faszystowskich? To wydaje się możliwe szczególnie w kontekście drugiej, „Netflixowej" produkcji, gdyż reżyserem serialu jest Paweł Maślona, człowiek, który swoim niedawnym filmem „Kos" postanowił opluć i podeptać sienkiewiczowski mit polskiego szlachcica.

Nie sądzę, by oryginalna „Lalka" w swej wymowie była „antysemicka", ale Prusowi – pisarzowi realistycznemu – dobrze udało się oddać ówczesne, dość różnorodne przecież, postawy Polaków względem Żydów. I odwrotnie. Wydaje się jednak, że tak jak zachodni półświatek filmowy zadaniowany został na fałszowanie historii pod względem rasowym, tak polska szkoła filmowa naszych czasów może mieć pewne zadania na froncie tutejszej mniejszości.

Czekam zatem na obie premiery, by odpowiedzieć sobie samemu, czy się mylę. A może po prostu Wokulski będzie czarnoskóry? Może Izabela? Rzecki? Szlangbaumowie? ©℗

eprasa.pl 29d687f464

ŻYDZI KAZALI



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jedynym prezydentem USA, który postawił się Żydom, był J.F. Kennedy. Izrael chciał mieć bombę atomową, Kennedy powiedział NIE. Potem zginął w zamachu, a jego następca zgodził się na wszystko.

O tym, kto organizował zamach na Kennedy'ego, wiemy ze źródeł oficjalnych. Organizatorem było CIA (zamach na prezydenta we własnym kraju), a pomocy udzielił izraelski wywiad. Tego ostatniego kawałka układanki nie ujawnił nawet Trump w trakcie pierwszej kadencji. Zrobił to dopiero niedawno. Jakie były powody opóźnienia w ujawnianiu danych? Reperkusje. Teraz sprawa jest już tak stara, że po żadnej ze stron nie żyją osoby odpowiedzialne, nie ma kogo karać ani nawet do kogo mieć pretensji. W CIA to była inna epoka i w Izraelu też. O sprawie najlepiej zapomnieć, bo i tak nie mamy z tym co zrobić, a Izrael jest naszym ważnym sojusznikiem. Podobnie zachowują się w Polsce kolejne władze w sprawie Wołynia. Nasz sojusznik zrobił coś okropnego, ale nie gadajmy o tym teraz, bo to nasz sojusznik.

***

Po śmierci Kennedy'ego żaden z jego następców nigdy nie powiedział Izraelowi NIE. Byli tacy, którzy współpracowali mniej chętnie, ale nadal współpracowali. Barack Husajn Obama nie lubi Żydów i było to widać. Murzyni w USA są często antysemitami i tego nie kryją. Murzyn jest mniejszością rasową, więc nic mu nie zrobią za antysemityzm. No to Obama nie zapraszał Netanjahu do Białego Domu oraz po złości współpracował z Iranem, ale nadal podpisywał kwity na dostawy broni i pieniędzy do Izraela.

***

Amerykańscy prezydenci od czasów Kennedy'ego do dziś godzą się na żądania lub prośby Izraela, który jest „najważniejszym sojusznikiem USA". Państewko liczące 9 mln ludzi stawia warunki Ameryce liczącej 350 mln ludzi. Państewko bardzo mocne w nowoczesnych technologiach, ale bez zaplecza przemysłowego, bo na tym ich małym terenie nie ma gdzie stawiać wielkich zakładów zbrojeniowych. Sprzęt wojenny do Izraela dostarcza Ameryka i utrzymuje to państwo. Bez dotacji z USA Izrael by upadł.

W Kongresie żadna z partii nie kwestionuje tych dotacji. Padają czasem pojedyncze pytania o to, jaki interes ma przeciętny obywatel USA w płaceniu na Izrael. Odpowiedzi są nijakie. Są podobne do odpowiedzi polskich władz w sprawie finansowania Ukrainy. „Oni nas tam bronią". No i Izrael „nas tam broni", bo jest jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie ple, ple…

Stany Zjednoczone mają na Bliskim Wschodzie innych sojuszników. Mocnych i bogatych. Mówienie więc o tym, że tylko Izrael, to nieprawda.

***

Trump się wpakował w wojnę z Iranem. Nie powiedział Izraelowi NIE.

Być może się z tego jakoś wykaraska, ale ja nie widzę jak. Mądrzejsi ode mnie też nie widzą jak. Wojna musiałaby się skończyć teraz i musiałoby to być zwycięstwo totalne nad Iranem. Wtedy być może da się przed Amerykanami jakoś uzasadnić ten atak. Zwycięzcy przynoszą łupy wojenne i się im wtedy wybacza koszt wojny. No ale na razie Trump dostarcza kolejne trupy amerykańskich żołnierzy i jeszcze rykoszetem wciągnął do wojny wszystkich arabskich sojuszników w regionie.

Oni tam nie lubili Iranu, ale… w czasach Trumpa postawili na spokojne robienie interesów, na rozwój i inwestycje, na czyste ulice w kurortach i na lśniące wieżowce, a nie na strzelaninę ze starym wrednym wrogiem. W ostatnich latach miłość do spokojnych interesów była ważniejsza niż nienawiść wobec Iranu. Z ich punktu widzenia Izrael rzucił się na Iran, Ameryka nie umiała powstrzymać Izraela, czyli jest silna, ale słaba, a bomby lecą na hotele i lotniska w Dubaju i innych luksusowych miejscach. Niedobrze. Ta wojna właśnie rozwala to, co Trump mozolnie wybudował w trakcie pierwszej kadencji.

***

Sekretarz Stanu Marco Rubio na konferencji prasowej powiedział oficjalnie, jak było. Izrael zawiadomił Trumpa, że zamierza zaatakować Iran. Z Ameryką lub bez. Ameryka może się przyłączyć i zrealizować także swoje cele lub może stać z boku.

Trump zdecydował, że lepiej się przyłączyć, bo wtedy zamieszanie potrwa krócej, a konsekwencje dla regionu i świata będą mniejsze. Ale wyborcy MAGA nie chcą tego słuchać. Oni wybierali prezydenta, który nie rozpocznie żadnej nowej wojny. Tłumaczenie im, że to nie jest nowa wojna, bo Iran walczy z krajami Zachodu od 47 lat, że wydał wyrok śmierci na każdego kolejnego prezydenta USA, że Iran sponsorował najgorsze organizacje terrorystyczne (Hamas, Hezbollah, Al-Kaida i ci piraci z Jemenu), że Iran ma pociski, które są w stanie dolecieć do Krakowa, że Iran produkuje drony dla Putina… To wszystko prawda, ale tej prawdy nikt teraz słuchać nie chce. Ludzie widzą inny kawałek prawdy: Izrael wywołał kolejną wojnę, a Ameryka płaci i wykonuje większą część brudnej roboty.

***

Jakie są cele USA? Niejasne. Zmiana reżimu w Iranie? Na jaki? Kolejnych kandydatów do przejęcia władzy się na razie zabija. Czyli kto miałby objąć władzę? Na rozpadającym się kraju pogrążonym w chaosie nikomu nie zależy (poza Izraelem, bo tylko w interesie Izraela leży, aby wszyscy sąsiedzi w regionie byli słabi). Iran ma nie mieć ani broni jądrowej, ani środków do przenoszenia pocisków na teren Europy i docelowo USA – OK, to jedno rozumiem. Dlatego mają nie mieć floty wojennej oraz dlatego rozwalono w Iranie całe lotnictwo do zera. OK, to też rozumiem, z grubsza. Cele międzynarodowe: Rosja straciła mocnego sojusznika i dostawy broni (Iran dostarczał Rosji amunicję, pociski i drony). Chiny straciły dostawy taniej ropy najpierw z Wenezueli, teraz z Iranu, w sumie 20 proc. dostaw. To też z grubsza rozumiem. Ale to są cele na tak wysokim poziomie, że tego wyborca w Pensylwanii nie zrozumie. On produkuje ziemniaki i chce mieć tanią benzynę i stabilne rynki zbytu. Podobnie jak producent ziemniaków pod Krakowem.

Trump prowadzi tę wojnę bardzo sprawnie, ale nie potrafił uzasadnić, czemu to robi. Ludziom rozumującym prosto i zwyczajnie wychodzi więc jedno: Żydzi kazali, to zrobił. ©℗

eprasa.pl 29d687f464

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~763 ZŁ~~

309,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 29d687f464





ZAMACH WRZEŚNIOWY: OBALENIE PREZYDENTA WIENIAWY

Francuzi wymieniają Polsce głowę państwa – wydarzenia paryskie z września 1939 r. można uznać za zamach stanu. Prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski został pozbawiony władzy przez Francuzów, przy współudziale gen. Władysława Sikorskiego

Cud na wzgórzu Tepeyac – niezwykły wizerunek połączył dwa światy: Azteków i Hiszpanów, sprawiając, że kolonizatorzy inaczej patrzyli na podbitą ludność. Nie sposób zrozumieć dzisiejszego Meksyku bez poznania tej historii

Zagłębiowski Dziki Zachód – Rewolucja lat 1905–1907 w Polsce pod zaborem rosyjskim miała miejsce nie tylko w Warszawie czy w Łodzi, lecz także w Zagłębiu Dąbrowskim. Wybuchały wówczas nie tylko strajki w fabrykach, lecz także bomby, padały strzały w kierunku Rosjan, kozaków i prowokatorów

Moskwa albo śmierć – upadek sowieckiej stolicy miał być fundamentem zwycięstwa III Rzeszy. Hitler planował stworzyć w miejscu sowieckiej stolicy wielki zbiornik wodny

Gorąca głowa i zimne serce Konwickiego – niezależnie od naszych ocen jego twórczość, zarówno pisarska, jak i filmowa, jest nie do podrobienia. Przekonali się o tym jego naśladowcy, którzy jak jeden mąż ponieśli klęskę – pisze Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 29d687f464